TRĘDOWATA
Losy Gronkiewicz-Waltz to symbol sytuacji PO

CZYM PACHNIE KOLĘDA
Początkujący proboszcz odwiedza parafian

OBEJŚĆ NIEPODLEGŁOŚĆ
Ile dla Polaków znaczą święta narodowe

SZARA OBYWATELKA
Porzucona przez polityków, nie ma zamiaru się poddać

Kraków 28 stycznia 2018 nr 5 (3577) cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Jerzy Turowicz Jan Paweł II

Historia pewnego kłamstwa

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

SOS WIOSKI DZIECIĘCE

SZUKAMY
RODZICÓW SOS

Zostań zastępczym rodzicem SOS w Wiosce Dziecięcej.
Tutaj opuszczone i osierocone dzieci znajdują swój nowy dom i rodzinę.
Pomóż zastąpić niezastąpionych.

Dowiedz się więcej na **www.rodzicesos.org** lub zadzwoń **22 460 92 51**

Patronat medialny:

TVP 2 Jedynka POLSKIE RADIO

KS. ADAM

Boniecki: *Nieokrągła rocznica*

Tego samego dnia, 27 stycznia, przypada rocznica śmierci dwóch ludzi, którzy wywarli decydujący wpływ na moje życie. 91 lat temu zmarł bł. abp Jerzy Matulewicz, który przywrócił do życia i gruntownie odnowił Zgromadzenie Marianów, do którego – pociągnięty jego wizją Kościoła i życia zakonnego – także wstąpiłem 65 lat temu. W tym dniu upływa 19 lat od śmierci Jerzego Turowicza, który 54 lata temu przyjął mnie do redakcji „Tygodnika Powszechnego". Bez względu na to, czy rocznica jest okrągła, czy nie, bo w końcu jakie to ma znaczenie, 27 stycznia jest dla mnie ważnym dniem.

Jerzy Giedroyc podziwiał Turowicza za to, że potrafił stworzyć zespół, który jego dziełu, „Tygodnikowi Powszechnemu", zapewnił trwałość. Coraz mniej jest już redaktorek i redaktorów „Tygodnika", którzy osobiście znali Jerzego Turowicza, ale nie mam wątpliwości, że nadal jest to jego pismo. „Tygodnik nie taki sam, lecz ten sam" – jak mawiał Jerzy. Śmiem twierdzić, że w redakcji na Wiślnej jest nie tylko jego piękny portret, ale też jest jego duch.

Obdarzony nieprzeciętną inteligencją, z prawdziwą pasją, którą bym się ośmielił nazwać miłością, doszedł do wybitnej znajomości Kościoła, jego historii, teologii, filozofii, polityki itd. Osobiście poznał ludzi, którzy wywarli ogromny wpływ na życie Kościoła i z wieloma nawiązał głęboką przyjaźń. Była to u Jerzego Turowicza nie tylko erudycja, ale mądrość podbudowana szeroką znajomością rzeczy. I godzi się powiedzieć, że Jerzy Turowicz jako ekspert i autorytet został doceniony. Można by tu wyliczać odznaczenia czy przypomnieć doktorat *honoris causa*, ale dużo ważniejsze jest to, że dla hierarchów kierujących Kościołem w Polsce Jerzy Turowicz stał się i autorytetem, i partnerem.

Dowodzi tego korespondencja z metropolitą krakowskim, potem papieżem Janem Pawłem II, i słowa tych, którzy byli świadkami ich rozmów. Nie przypadkiem Jan Paweł II zaprosił Jerzego Turowicza na synod biskupów, by mówił do zgromadzonych tam hierarchów o parafii. W trudnych sytuacjach szukano jego pomocy i rady. Tak było, gdy zaproszony przez kardynała Macharskiego odegrał kluczową rolę w pracach nad rozwiązaniem konfliktu z Żydami w związku z klasztorem na terenie obozu w Oświęcimiu. Jego korespondencje z Soboru Watykańskiego II były tak ważne dla Kościoła w Polsce, że kiedy na jednej sesji nie mógł być w Rzymie, zastąpił go w ich pisaniu arcybiskup Wojtyła. Jeśli Prymas Tysiąclecia podejmował z nim polemiki, jeśli publicznie zareagował krytycznie na jego artykuł o kryzysie w Kościele, to dlatego, że Turowicz był dla Prymasa godnym partnerem sporu. Prymas zresztą wyznał, że nigdy w prawość ani dobrą wolę Turowicza nie zwątpił. Był zapraszany do uczestniczenia w wielu kościelnych, roboczych gremiach, wygłosił mnóstwo konferencji jako ten, którego głos ma specjalną wagę, jego artykuły liczyły się w posoborowej debacie o Kościele, liczyły się też i w latach następnych.

Jak każdy, nie wyłączając kanonizowanych świętych, kto poważnie się angażuje w sprawy Kościoła, Turowicz doznawał od pełniących w nim urzędy afrontów i przykrości. O wielu z tych dostojników – jak napisał ktoś dowcipnie – w przyszłości będzie wiadomo tylko tyle, że żyli w czasach Jerzego Turowicza. ©℗

ZAPRASZAMY NA SPOTKANIA Z KS. ADAMEM BONIECKIM

TYCHY, czwartek, 25 stycznia, godz. 18, Miejska Biblioteka Publiczna w Tychach (budynek Mediateki), al. Piłsudskiego 16.
KATOWICE, czwartek, 8 lutego, godz. 17, Miejska Biblioteka Publiczna w Katowicach, ul. Wajdy 21 (Osiedle Bogucice).

Podczas spotkań będzie można kupić książki ks. Adama Bonieckiego.

MSZE ŚW. I SPOWIEDŹ:

Msze św. – kościół zgromadzenia marianów na Stegnach (ul. Bonifacego 9, Warszawa), soboty godz. 18, niedziele godz. 8.30.
Spowiedź – bazylika św. Floriana (ul. Warszawska 1b, Kraków), wtorki godz. 18-19.

Kontakt ws. organizacji spotkań z ks. Adamem: kuczminska@tygodnik.com.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Polska-Niemcy: lepszy klimat i co dalej? WOJCIECH PIĘCIAK

6-11 Wiadomości / Komentarze

20 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

44 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

22 Trędowata
ANDRZEJ STANKIEWICZ: *Los Hanny Gronkiewicz-Waltz jak sytuacja PO*

26 Obywatelstwo po nokaucie
TADEUSZ SŁAWEK: *Gdy państwo odwraca się od spraw kobiet*

28 PiS w kurniku
JAROSŁAW FLIS: *Zmiany w kodeksie wyborczym ściągną kłopoty na rządzących*

29 Do kogo należą nasze miasta
BEATA CHOMĄTOWSKA

■ ■ WIARA

34 Zapach owiec
ROZMOWA Z KS. GRZEGORZEM KRAMEREM SJ: *Czym pachnie chodzenie po kolędzie*

38 Diabeł nie jest projekcją
KS. JACEK PRUSAK SJ: *Egzorcyści trywializują tajemnicę zła*

40 Święty człowiek Siuksów
BARTOSZ HLEBOWICZ: *Szaman, katecheta, błogosławiony*

42 Jedność wymaga, byśmy się słuchali ZUZANNA RADZIK: *Franciszek w Chile i Peru*

■ ■ ŚWIAT

46 Wszystko, co pod niebiosami
PIOTR BERNARDYN *o ekspansji Chin*

50 Miecz Bannona nad głową Trumpa
JAN SMOLEŃSKI: *Rosyjskie śledztwo w Waszyngtonie nabiera tempa*

ARTURO MARI / ARCHIWUM TYGODNIKA POWSZECHNEGO

■ TEMAT TYGODNIKA ■

12 Historia pewnego kłamstwa
MICHAŁ OKOŃSKI

W roku 1995, na pięćdziesięciolecie „Tygodnika Powszechnego" papież Jan Paweł II rzekomo postanowił przywołać do porządku ważne dla niego niegdyś pismo (albo, jak powiedział w niedawnym wywiadzie dla Onetu abp Marek Jędraszewski, „pismo, które niegdyś lansował"). Nie, lepiej powiedzieć: skrytykować. Albo, bez owijania w bawełnę: zarzucić zdradę.

Fragmentem listu papieża do Jerzego Turowicza od lat bije się w pismo i w jego redaktora. Odsłaniamy kulisy manipulacji tym dokumentem.

■ FELIETONY ■

33 ANNA DZIEWIT-MELLER
45 SZYMON HOŁOWNIA
63 WOJCIECH BONOWICZ
76 JAN KLATA
77 PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: JERZY TUROWICZ
Fotografia: KRZYSZTOF WÓJCIK / FORUM
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

53 Antyk i geopolityka
PIOTR OLEKSY: *Macedonia zmieni nazwę? Nowe negocjacje z Grecją*

54 Brzuchem za chlebem
MICHAŁ KUCHARSKI: *Coraz więcej mieszkańców Bałkanów emigruje*

■ ■ HISTORIA

56 Śledztwo Juliana Leszczyńskiego
PIOTR LITKA, ZDZISŁAW LOREK, GRZEGORZ PAWLIKOWSKI: *Nieznane akta początków Zagłady*

■ ■ NAUKA

60 Czy drzewa będą świecić
MIROSŁAW DWORNICZAK

62 Na wojnie kleszczojadów
ŁUKASZ KWIATEK: *Ptaki i przewaga własnego boiska*

■ ■ KULTURA

64 Niepodległość obchodzona
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Rok 2018 może ustanowić nowe rozumienie niepodległości przez Polaków*

68 Amerykański sen Oprah
PIOTR TARCZYŃSKI: *Demokracja i oglądalność*

70 Koci los
ROBERT KASPRZYCKI
Fenomen Cata Stevensa

73 Lament po żonkilu
BARTEK DOBROCH: *Pożegnanie Dolores O'Riordan z Cranberries*

74 Obcowanie dusz, obcowanie ciał
ANITA PIOTROWSKA *o „Duszy i ciele"*

75 Warto zobaczyć w TV

76 Poza szlakami
LEKTOR *o „Hajstrach" Robińskiego*

■ ■ ZMYSŁY

78 Muzeum najmniejsze
ADAM ROBIŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Magdalena Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Teresa Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Joachim Trenkner, Marek Zając
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem Ⓟ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

Jacek Czaputowicz, minister spraw zagranicznych RP, i Wolfgang Schäuble, przewodniczący Bundestagu, Berlin, 17 stycznia 2018 r.

BERND VON JUTRCZENKA / DPA / PAP

Polska-Niemcy: lepszy klimat i co dalej?

WOJCIECH PIĘCIAK

Jacek Czaputowicz ma istotną zaletę: nie jest Witoldem Waszczykowskim ani Ryszardem Czarneckim. Czego zresztą nowy minister spraw zagranicznych sam nie zaniedbał zaznaczyć, już w pierwszych dniach urzędowania dystansując się publicznie od sztandarowego projektu poprzednika (kwestia niemieckich reparacji za II wojnę światową) i od języka wiceszefa Parlamentu Europejskiego (obelga „szmalcownik", której Czarnecki użył wobec oponentki).

W sytuacji, gdy po dwóch latach rządów Prawa i Sprawiedliwości klimat polityczny (i interpersonalna „chemia") na linii Warszawa-Berlin i Warszawa-Bruksela są takie, jakie są, to już niemało. A sądząc po pierwszych wypowiedziach i wizytach Czaputowicza (w tym w Berlinie, w minionym tygodniu), nowy szef MSZ nie tylko jest świadomy bonusa nowości, ale również i tego, że nie potrwa on długo. Zwłaszcza jeśli gabinet Morawieckiego będzie rządem kontynuacji w tych sferach polityki wewnętrznej i zagranicznej, które prowadziły ostatnio do coraz ostrzejszej polemiki w kraju i Europie.

Relacje polsko-niemieckie są lepsze niż ich reputacja: taką opinię od ponad dwóch lat powtarzają – z biegiem czasu z coraz większą determinacją – ludzie z obu krajów, którym autentycznie zależy, by konstatacja taka nie stała się myśleniem życzeniowym. Rzeczywiście, substancja tych relacji (w tym skala i wielość powstałych w ciągu 28 lat więzi) – choćby w sferze gospodarczej, społecznej czy wojskowej – wydaje się nadal odporna na klimat „na górze". A także na przekaz, zwłaszcza państwowej telewizji, gdzie chętnie sięga się po „niemiecką maczugę".

Ale oceniając punkt startu ministra Czaputowicza i jego próbę nowego otwarcia w relacjach z Berlinem – choćby (na początek?) przez ocieplenie klimatu – warto pamiętać, że wiele kwestii, za sprawą których trudno mówić dziś o polsko-niemieckiej wspólnocie interesów (aby przypomnieć życzenie sprzed 28 lat), nie pojawiło się po 2015 r. One narastały od dawna – by wspomnieć gazociąg Nord Stream 2 (groźny dla Polski, a forsowany przez Berlin), politykę wobec Rosji (nie idzie tu o ocenę Putina, bo ona jest podobna, lecz o to, jak adekwatnie reagować, także militarnie) czy spory historyczne (przecież Muzeum II Wojny Światowej, sztandarowy projekt rządu Tuska, pomyślano również jako odpowiedź na nowe tendencje w polityce historycznej i pamięci zbiorowej w Niemczech).

Dlatego naiwny byłby pogląd, że gdy kiedyś PiS przegra wybory, relacje z Berlinem automatycznie będą jakościowo inne. Budowanie polskiej polityki wobec Niemiec – takiej, która byłaby asertywna, ale bez retorycznego zadęcia i instrumentalizacji dla celów wewnętrznych (co robi wielu polityków PiS) – to proces długiego trwania. Ale zacząć trzeba od małych kroków. Jeśli minister Czaputowicz ma taki cel, pozostaje mu kibicować. Nawet jeśli jego pole manewru jest w dużym stopniu zależne od okoliczności, na które on sam nie ma już wpływu. ©℗

W SKRÓCIE

PANI COGITO. „Dama o świetnym umyśle i wielkiej wrażliwości, a jednocześnie bardzo samodzielna, idąca pod prąd" – powiedział europoseł Ryszard Legutko o Julii Przyłębskiej. „Przyznam, że zaskoczyła mnie ta ocena ze strony pana profesora" – powiedziała skromnie prezes TK w wywiadzie dla tygodnika „Sieci Prawdy", który przyznał jej tytuł „Człowieka Wolności". Sama Przyłębska, wygłaszając laudację dla Bronisława Wildsteina (został laureatem nagrody Pan Cogito, przyznawanej przez Akademicki Klub Obywatelski im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego), powiedziała: „Nie wyobrażacie sobie państwo, jak wiele jego postawa znaczy dla mnie w codziennym życiu, kiedy jestem opluwana, codziennie niemalże, patrzę w przeszłość, w nasze rozmowy z Bronisławem, i zastanawiam się, co Bronek zrobiłby w tym momencie, i robię, wydaje mi się, właśnie to, co on".

JAKUB KACZMARCZYK / PAP

REKONSTRUKCJA SCHODZI W DÓŁ. Zmiany w rządzie pociągnęły zmiany w będącej jego tubą TVP: prezes Jacek Kurski pozbawił stanowiska szefa Telewizyjnej Agencji Informacyjnej Klaudiusza Pobudzina. „Od kongresu PiS w Przysusze, na który Pobudzin pojechał bez wiedzy Kurskiego, zaczęło się między nimi na poważnie psuć" – mówi Onetowi osoba znająca kulisy. A w MON straciło stanowiska trzech wiceministrów związanych z Antonim Macierewiczem.

FARBĄ O ŚCIANĘ. „Rzeczywiście, na Nowogrodzkiej rzucaliśmy w drzwi siedziby PiS balonami z czerwoną farbą. To był nasz happening" – powiedziała pisarka i działaczka stowarzyszenia Obywatele RP Klementyna Suchanow portalowi Oko.press. Policja, która zatrzymała uczestników „happeningu" informuje, że administrator partyjnej siedziby zawiadomił o uszkodzeniu mienia.

Skok na leśną kasę

ADAM ROBIŃSKI

Odwołując dyrektora generalnego Lasów Państwowych Konrada Tomaszewskiego, nowy minister środowiska Henryk Kowalczyk wprawił obserwatorów w osłupienie. Tomaszewski, daleki kuzyn Jarosława Kaczyńskiego, uchodził za postać nieusuwalną. Jako protegowany Jana Szyszki dyrektorem był już w czasach AWS, za pierwszych rządów PiS zajmował utworzone dla niego stanowisko głównego analityka LP. Był też współautorem obowiązującej od 1991 r. ustawy o lasach. Według jej zapisów LP to organizacja samofinansująca się, wyłączona z państwowego budżetu, która zyski z produkcji drewna przeznacza głównie na własne funkcjonowanie. Tomaszewski nazywał ten system optymalnym, dla którego w polskich realiach nie ma alternatywy.

W ostatnich miesiącach zasłynął m.in. obrażaniem obrońców Puszczy Białowieskiej. Jego odwołanie może być więc na pierwszy rzut oka odebrane jako zmiana wizerunkowa. W tle toczy się jednak rozgrywka o duże pieniądze – już kilku premierów i ministrów finansów chciało, by LP hojniej wspierały finanse państwa. W 2016 r. podobne zakusy czynił Mateusz Morawiecki, jednak sprzeciwiał się im Szyszko. Kiedy w Puszczy pracowały harwestery, a na manifestacje poparcia dla ministra delegacje wysyłało każde nadleśnictwo w kraju, wcale nie chodziło o walkę z kornikiem, lecz o utrzymanie leśnego *status quo*. Teraz, bez Szyszki i Tomaszewskiego (zastąpił go Andrzej Konieczny, podsekretarz stanu w Ministerstwie Środowiska), za to z Morawieckim w roli premiera, na horyzoncie widać zmiany nie tylko personalne, ale i systemowe. ©℗

Idźcie po nich

„SZOK I NIEDOWIERZANIE" – tak najkrócej można określić reakcje po emisji reportażu TVN „Polscy neonaziści", w którym pokazano m.in., jak 13 maja 2017 r. grupa Polskich Narodowych Socjalistów w lesie pod Wodzisławiem świętowała 128. urodziny Adolfa Hitlera (gwoli ścisłości: Hitler urodził się 20 kwietnia). Premier Morawiecki i szef MSW Joachim Brudziński zapewnili, że nie ma przyzwolenia na propagowanie faszyzmu, poseł Ryszard Terlecki wniósł o rozpatrzenie sprawy na najbliższym posiedzeniu Sejmu, a prokurator generalny Zbigniew Ziobro nakazał wszcząć śledztwo.

Wszystkie te reakcje są oczywiście słuszne, ale śmierdzą hipokryzją. To pod rządami PiS wprowadzono taryfę ulgową dla skrajnej prawicy, uznając przestępstwa z nienawiści za „margines marginesów", likwidując Zespół ds. Ochrony Praw Człowieka przy MSWiA i Radę ds. Przeciwdziałania Dyskryminacji Rasowej i Ksenofobii. To za czasów Ziobry prokuratura domagała się złagodzenia wyroku dla Piotra Rybaka, który spalił kukłę Żyda na wrocławskim rynku, umorzyła śledztwo w sprawie działaczki ONR krzyczącej na wiecu o „islamskim ścierwie" i „żydowskich imperialistach" oraz wycofała akt oskarżenia przeciwko Mateuszowi S., występującemu w materiale TVN w przebraniu oficera SS. Mam wymieniać dalej?

Pięć lat temu minister Bartłomiej Sienkiewicz powiedział skinheadom: „idziemy po was". Niech ktoś wreszcie pójdzie. ©℗

KALINA BŁAŻEJOWSKA

Długi pewne jak w banku

Z KODEKSU POSTĘPOWANIA CYWILNEGO zniknie prawdopodobnie kontrowersyjny zapis o windykacji długów na podstawie ksiąg bankowych. Sektor bankowy w Polsce sprywatyzowano dawno temu, ale banki z ociąganiem pozbywają się resztek przywilejów z epoki, w której były instytucjami państwowymi. Tak było z bankowym tytułem egzekucyjnym, który umożliwiał im windykację na skróty, aż w 2015 r. wytrącił im ten instrument z ręki Trybunał Konstytucyjny. Banki nadal mogą jednak dochodzić swych roszczeń wyłącznie na podstawie wyciągów z ksiąg bankowych, które sądy traktują jak dokument urzędowy. Do wydania nakazu zapłaty wystarcza im jedynie informacja z banku o skali zadłużenia klienta i krótkie postępowanie, w którym wniosek o nakaz sprawdza się wyłącznie od strony proceduralnej. Sąd nie musi – i rzadko kiedy chce – badać, czy zadłużenie faktycznie powstało i czy osiągnęło wzmiankowaną wysokość. Przeciwko bankowej windykacji na skróty protestował Rzecznik Praw Obywatelskich. Za wykreśleniem kontrowersyjnego zapisu z KPC opowiada się także Ministerstwo Sprawiedliwości. ©℗

MR

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

„SKRADZIONA SPRAWIEDLIWOŚĆ" – pod takim hasłem w polskich miastach odbyły się w weekend nieme protesty przeciwko łamaniu konstytucji, polityce historycznej oraz zmianom w sądownictwie przeforsowanym przez PiS. Na zdjęciu: protestujący na Rynku Głównym w Krakowie. ©℗

Litość prezesa

W SIEDZIBIE EUROPARLAMENTU otwarto wystawę „Odeślijmy futra do historii" pod patronatem grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, a na jej otwarciu zjawili się prominentni politycy PiS-u. Z ekranu swoje przesłanie wygłosił Jarosław Kaczyński. „Każdy porządny człowiek powinien mieć litość dla zwierząt" – mówił w ubiegłym roku Kaczyński w krótkim nagraniu dla fundacji Viva, dodając, że zakaz hodowli zwierząt futerkowych to jeden ze sposobów na europeizację Polski – do nas przenosi się bowiem sporo takich hodowli, uznanych gdzie indziej w Europie za nieetyczne. Można wytknąć, że litość dla zwierząt często przegrywa w PiS z chaosem (to najłagodniejsze wytłumaczenie przyjęcia ustawy ułatwiającej życie myśliwym). Oraz że z litością dla ludzi, np. uchodźców, jest raczej krucho. Nie wspominając już o litości dla państwa prawa. Ale raz na jakiś czas można kibicować prezesowi, by jego wola stała się szybko prawem. ©℗ PB

Biedny Czarnecki

MICHAŁ OKOŃSKI

Wataku Ryszarda Czarneckiego na Różę Thun (w telewizji ARTE skrytykowała stan demokracji w Polsce) najciekawszy był jego język. „Podczas II wojny światowej mieliśmy szmalcowników, a dzisiaj mamy Różę von Thun und Hohenstein" – powiedział Czarnecki. I porównaniem tym, jak ironizował na Twitterze Michał Szułdrzyński, rozpowszechnił w Europie pojęcie „szmalcownik", oddając „niewysłowioną przysługę polskiej polityce historycznej, która od lat stara się przekonać świat, że Polacy ratowali Żydów, a nie mordowali ich pospołu z Niemcami".

Fascynujące jest zaiste to wyparcie. Zakopana, wydawałoby się, przybita gwoździkiem albo osinowym kołkiem, sprawa stosunków polsko-żydowskich w czasie okupacji niemieckiej wciąż wraca, niezależnie od tego, ile konferencji o naszej szlachetności zorganizowałyby hojnie dotowane przez rząd media o. Tadeusza Rydzyka.

Gdyby nie szkoda było tego robić w tak trywialnym kontekście, można by właściwie przywołać obraz drążącego tunel strażnika-kreta ze słynnego wiersza Miłosza, i zadawane przezeń nieprzyjemne pytania sumieniu chrześcijan.

Prościej zapytać samemu: skoro w czasie II wojny wszystko było anielskie i piękne, skąd tak mocne zakorzenienie w naszej podświadomości słowa „szmalcownik"? O czym jeszcze mówić nie chcemy, a samo się nam z ust wyrywa? ©℗

To nie jest ostatnie słowo Franciszka

ARTUR SPORNIAK: Czy Amazonia, którą papież odwiedził podczas ostatniej pielgrzymki, jest ziemią niczyją, którą można dowolnie eksploatować?

O. STANISŁAW JAROMI OFM CONV.: Według Franciszka to ziemia święta, choć oskalpowana, rabowana, dręczona – tych przymiotników było w papieskich przemówieniach wiele. Jest to ziemia ofiarowana przez Boga wszystkim – zarówno potomkom Indian, którzy mieszkają w „dobrowolnej izolacji", jak i Peruwiańczykom oraz całemu światu. Franciszek apelował o obronę ziemi, obronę życia przyrody i ludzi, o wzajemną solidarność, walkę z korupcją i innymi patologiami, które zatruwają społeczeństwa.

Mówił, że to ziemia Matki, nawiązując do nazwy regionu, z którego mieszkańcami m.in. się spotkał: Madre de Dios.

Niezwykle mocne jest zakończenie tego przemówienia: „Miłujcie tę ziemię, czujcie, że jest wasza. Powąchajcie ją, posłuchajcie jej, podziwiajcie ją. (...) Strzeżcie jej. Nie używajcie jej jak zwykłego przedmiotu, który można odrzucić, ale jako prawdziwego skarbu, którym można się cieszyć, uprawiać i przekazywać waszym dzieciom". Ziemia ma rys Matki wcielonego Boga – to teologia w naszym zachodnim świecie raczej nieobecna.

Czy ekologiczne przesłanie tej pielgrzymki ma moc coś zmienić?

Indianie podczas spotkania cytowali we własnych językach encyklikę „*Laudato si'*". Papieski przekaz trafił do nich, wręcz mówili o swoich problemach słowami Franciszka. Czy świat się tym przesłaniem przejmie? Papież pokazuje, że mamy narzędzia, by bardziej sprawiedliwie zarządzać zasobami naturalnymi. Poza tym, to nie jest jego ostatnie słowo – w przyszłym roku odbędzie się synod dla Amazonii. ©℗

Więcej o pielgrzymce w dziale Wiara.

BOGDAN KRĘŻEL

O. STANISŁAW JAROMI *jest franciszkaninem, przewodniczącym Ruchu Ekologicznego św. Franciszka z Asyżu – REFA.*

W SKRÓCIE

ŻONACI KSIĘŻA W PRZYSZŁOŚCI. Prefekt Kongregacji ds. Duchowieństwa kard. Beniamino Stella potwierdził, że na etapie studium przed przyszłorocznym synodem dla Amazonii pojawiła się propozycja wyświęcania w Amazonii i na wyspach Pacyfiku mężczyzn żonatych „w dojrzałym wieku" (viri probati) – podał portal Vatican Insider. Nie oznacza to zniesienia celibatu, który nadal będzie obowiązywał wyświęconych księży i kandydatów do kapłaństwa w pozostałych rejonach świata.

PAPIEŻ RANI. „Wypowiedź papieża Franciszka jest źródłem wielkiego bólu dla ofiar seksualnego wykorzystywania ze strony duchowieństwa" – powiedział kard. Sean Patrick O'Malley. Przewodniczący Papieskiej Komisji ds. Ochrony Nieletnich skomentował w ten sposób słowa papieża, który stwierdził, że nie widział dotąd żadnych dowodów przeciwko chilijskiemu bp. Juanowi Barrosowi, oskarżonemu o ukrywanie pedofilii. Zdaniem kardynała z wypowiedzi papieża można wyciągnąć wniosek: „Jeśli nie możesz udowodnić swoich stwierdzeń, nie można ci uwierzyć". (Zob. relację Zuzanny Radzik z pielgrzymki w dziale Wiara).

CYFROWA TACA. Katolicka parafia Saint-François de Molitor w Paryżu wprowadza możliwość płacenia na tacę za pomocą terminala – informuje Associated Press. Podczas mszy wierni będą mogli wybrać sposób przekazania ofiary: albo tradycyjnie do koszyka, albo zbliżeniowo, wybierając wysokość datku na ekranie cyfrowego urządzenia.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM w czwartek 25 stycznia o godz. 16.00.
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl

Krakowska pielęgniarka będzie beatyfikowana

WIKIPEDIA

BYŁA OSOBĄ NIEZWYKLE WYTWORNĄ. Już sam jej wygląd wzbudzał szacunek. Znała języki. Pisała powieści. Spotykałem ją w Teatrze Starym na premierach. Hanna Chrzanowska (1902–1973), krakowska pielęgniarka, prekursorka pielęgniarstwa rodzinnego, kulturę wyniosła z domu – była córką profesora literatury Ignacego Chrzanowskiego. Przez matkę spokrewniona z rodziną Szlenkierów – wielkich przemysłowców warszawskich. Wychowywała się w środowisku ludzi zamożnych, ale o wielkiej tradycji filantropii.
Poznałem ją w latach 60., gdy prowadziłem duszpasterstwo akademickie w św. Annie. Szukała wolontariuszy, opowiadała o ludziach samotnych, zostawionych samym sobie. Chodziła do tych ludzi. To była opieka kompleksowa, obejmująca fachową pielęgniarską pomoc. Świetna organizatorka i mądra osoba. Choremu przydzielała zawsze dwóch wolontariuszy, żeby nie było takiej sytuacji, że on czekał, a ktoś nie przyszedł. Na warsztatach dla studentów przedstawiała bardzo praktyczne zasady, np. żeby sprzątając dom chorego, nic mu w nim nie zmieniać. To ważne, żeby okazywać szacunek dla mentalności człowieka skazanego na samotność.
Była osobą głęboko wierzącą, ale to nie była taka pani, która mówi chorym ciągle o Panu Bogu. Nie była dewotką. Jej pogrzeb – prowadzony przez kard. Karola Wojtyłę – był wielką manifestacją uznania dla jej miłości do chorych. Pamiętam, że kiedyś podczas obiadu u Jana Pawła II rozmowa zeszła w rejon spekulacji o nowych kandydatach na ołtarze. Papież powiedział, że wspaniałym kandydatem byłaby właśnie Chrzanowska. Jej beatyfikacja odbędzie się w Krakowie 28 kwietnia. ©℗

KS. ADAM BONIECKI

Pokój w cieniu nacjonalizmu

„POKÓJ! POKÓJ DALEKIM I BLISKIM" (Iz 57, 19) – brzmiało hasło Dnia Judaizmu. Obchody rozpoczęła modlitwa przy grobie Żydów z getta warszawskiego: bp Rafał Markowski oraz naczelny rabin Polski Michael Schudrich odmówili Psalm 122. – Droga do pokoju to zakaz kłamstwa i fałszu – mówił potem Schudrich podczas sympozjum w Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN.
Przewodniczący KEP abp Stanisław Gądecki opublikował list nt. nacjonalizmu. „Trudno zapomnieć o niemieckim narodowym socjalizmie, którego wyznawcy judaizmu byli ofiarami" – napisał. Skrytykował postawy szowinistyczne, pełne wrogości „wobec własnych mniejszości narodowych i innych narodowych wspólnot". Zaznaczył, że Kościół „krytycznie postrzega nacjonalizm, gdyż stawianie narodu na szczycie hierarchii wartości może prowadzić do bałwochwalstwa". Kilka dni wcześniej kard. Kazimierz Nycz komentował czyn kibiców-pielgrzymów na Jasną Górę, którzy z hasłem „Tylko Polska narodowa" na ustach zaatakowali manifestację antyrasistowską. – Tego typu rzeczy wymagają oceny negatywnej – stwierdził kardynał. – Rozwiązaniem jest wzajemne poznanie i edukacja. ©℗

MACIEJ MÜLLER

Najpierw Chrystus, potem wspólnota

„POWINNIŚMY GŁOSIĆ EWANGELIĘ, żyć Nią, aby w ten sposób przyciągać do Chrystusa, żeby fascynować Chrystusem. Nie naszą wspólnotą, nie nami samymi, ale Chrystusem! Mamy przyciągać do Chrystusa, a nie werbować nowe osoby" – mówił bp Krzysztof Nitkiewicz podczas centralnego nabożeństwa Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan. Dodawał, że największymi zagrożeniami dla ekumenizmu są synkretyzm i prozelityzm. – Dopasowywanie się do innych, kosztem własnej tożsamości, niesie dewastujące skutki. Rujnuje nas samych i innych. W dialogu ekumenicznym każdy musi wiedzieć, kim jest.
Z kolei podczas krakowskich obchodów ks. Jarosław Antosiuk, proboszcz tutejszej parafii prawosławnej, podkreślał, że „czasy Kościoła, oprócz dat schizm i podziałów, wyznacza jeszcze jedna, bardzo ważna data: 1908 rok, czyli rozpoczęcie działań ekumenicznych". Obchody Tygodnia trwały od 18 do 25 stycznia, w jego trakcie wierni różnych obrządków chrześcijańskich spotykali się na nabożeństwach oraz debatach, tegorocznym hasłem tygodnia jest zdanie z Księgi Wyjścia: „Prawica Twoja wsławiła się mocą". ©℗

BS

Życie wszędzie, byle nie u nas

JEŚLI DO KOŃCA MARCA nie wyjedziesz, wyślemy cię do więzienia. Taki komunikat otrzymało od władz Izraela ok. 35 tys. azylantów, głównie z Erytrei. Ci, którzy zdecydują się opuścić kraj, zostaną wysłani do „państwa trzeciego" – Rwandy – i dostaną po 3,5 tys. dolarów w gotówce. W ulotkach, które wręcza się Erytrejczykom w ośrodku zatrzymań Holot na pustyni Negew, jest zapewnienie, że w nowym miejscu będą bezpieczni. Ale ONZ od dawna krytykuje Izrael za politykę względem uciekinierów z Rogu Afryki (którzy od 12 lat po przekroczeniu granicy są przewożeni do Holot i uznawani za „infiltratorów"). W tym przypadku rzecz dotyczy Erytrejczyków, obywateli kraju nazywanego „afrykańską Koreą Północną", którym gdzie indziej (np. w Szwecji) ochrona przyznawana jest automatycznie. Od 2009 r. Izrael przyznał

SEBI BERENS / FLASH90 / FORUM

status uchodźcy zaledwie ośmiu Erytrejczykom. Teraz za każdego przyjętego azylanta Rwanda otrzyma po kilka tysięcy dolarów. „Handel krzywdą" – tak mówią o akcji obrońcy praw człowieka. Tymczasem rabini z organizacji Rabbis for Human Rights zapowiedzieli (cytując m.in. historię Anne Frank), że będą ukrywać Afrykańczyków w swoich domach, a przed ewentualną deportacją oprowadzą ich po Ogrodzie Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. ©℗ MARCIN ŻYŁA

LICZBA TYGODNIA

38

– tyle miliardów dolarów zaległych podatków zapłaci amerykańskiej skarbówce Apple. Na biednego akurat nie trafiło: firma ma dziś na kontach ok. 250 mld dolarów. Dla porównania polskie rezerwy walutowe to dziś ok. 110 mld dolarów.

MOHAMED MESSARA / EPA / PAP

TYSIĄCE TUNEZYJCZYKÓW wyszło w ostatnich dniach na ulice, aby zaprotestować przeciw obniżeniu dotacji do niektórych towarów oraz wzrostowi podatków i cen. Władze zgodziły się na zwiększenie pomocy socjalnej, ale w kraju, w którym wskaźnik bezrobocia wśród młodych wynosi 30 proc., to może nie wystarczyć. Tunezja była pierwszym krajem, w którym (w 2010 r.) rozpoczęła się „arabska wiosna". Na zdjęciu: rocznica tamtych protestów w Tunisie, 13 stycznia 2018 r. ©℗ ŻYM

Rozpacz w Ramallah

KAROLINA PRZEWROCKA -ADERET Z TEL-AWIWU

Nie wiadomo, czego oczekiwał Donald Trump, tak na początku stycznia zapowiadając na Twitterze wstrzymanie dopływu 65 mln dolarów dla ONZ na rzecz pomocy Palestyńczykom: „Nie otrzymujemy żadnej wdzięczności ani szacunku. Nie chcą nawet negocjować opóźnionego traktatu pokojowego z Izraelem. Najtrudniejszy wątek, Jerozolimę, usunęliśmy już wprawdzie ze stołu negocjacyjnego, ale Izrael miałby za to zapłacić więcej. Ale skoro Palestyńczycy nie chcą już rozmawiać o pokoju, dlaczego mamy ich dalej finansować?". W minionym tygodniu administracja Trumpa ogłosiła, że decyzja wejdzie w życie.

Odpowiedź Ramallah była tyleż gwałtowna, co rozpaczliwa. Podczas spotkania z radą Organizacji Wyzwolenia Palestyny prezydent Mahmud Abbas nazwał działania Trumpa „wymierzeniem policzka" i rzucił w jego stronę arabskie przekleństwo: „niech twój dom zostanie zburzony!". „To dzień, w którym upada porozumienie z Oslo. (...) Trump grozi, że odetnie finansowanie, bo negocjacje upadły. A kiedy, do diabła, się w ogóle zaczęły?!" – krzyczał Mahmud Abbas, dodając, że bierze już pod uwagę tylko międzynarodową społeczność jako negocjatora: „Nie zaakceptujemy przewodnictwa Ameryki".

Abbas poprosił kraje europejskie i arabskie o pomoc w zapełnieniu finansowej luki w UNRWA, powstałej na skutek amerykańskich cięć.

Swoimi dotychczasowymi działaniami Donald Trump opowiedział się już po jednej – izraelskiej – stronie konfliktu, co nie przeszkadza mu oczekiwać, że zmusi Palestyńczyków do rozmów, i to na swoich zasadach. Rola prezydenta jako negocjatora w procesie pokojowym przestaje być wiarygodna, problem jednak w tym, że nie ma w tej chwili nikogo innego, kto mógłby go w niej zastąpić. Palestyńczycy są osamotnieni i sfrustrowani. Z Ramallah słychać już krzyk rozpaczy. ©℗

Brexit: spotkania, decyzje, gesty

DO SUKCESU NEGOCJACJI w sprawie Brexitu jak było daleko, tak jest. Ale spotkanie Theresy May i Emmanuela Macrona w minionym tygodniu przyniosło jakiś sukces: Francuzi zgodzili się pożyczyć Brytyjczykom słynną XI-wieczną Tkaninę z Bayeux. Ma 70 metrów długości i pokrywają ją hafty przedstawiające m.in. bitwę pod Hastings w 1066 r., która przesądziła o podboju Brytanii przez Normanów. Bezcenna tkanina nigdy nie opuszczała Francji. Gest Macrona uciął dyskusje muzealników – ma podkreślać wielowiekowe związki między Francją a Wielką Brytanią. Gesty w dyplomacji są ważne, ale ważniejsze są interesy i Macron o nich nie zapomina. Zapowiedział więc ponownie, że po wyjściu z Unii Brytyjczycy mogą zachować dostęp do wspólnego rynku tylko, jeśli zaakceptują unijne zasady, jak wolny przepływ osób czy jurysdykcja Trybunału Sprawiedliwości. To zaś Londyn odrzuca.
Premier May może więc podkreślać, że oba kraje łączy „wyjątkowo bliski związek", ale realiów to nie zmieni i nadal nie wiadomo, jak ma wyglądać przyszły układ Londyn–Unia. Macron sugeruje za to, że na zmianę zdania ws. Brexitu nie jest za późno. Na Wyspach też coraz częściej mówi się o nowym referendum. Jednak May to wyklucza, a Izba Gmin przegłosowała właśnie projekt „wielkiej ustawy uchylającej" – przenosi ona przepisy unijne do prawa brytyjskiego, aby zapewnić ciągłość prawną po opuszczeniu Unii. ©℗

PATRYCJA BUKALSKA

NAZEER AL-KHATIB / AFP / EAST NEWS

Tureckie wozy pancerne niedaleko granicy w Bab al-Salamah, 21 stycznia 2018 r.

Z „Gałązką Oliwną" przeciwko Kurdom

WOJSKOWI MIEWAJĄ osobliwe poczucie humoru. „Gałązka Oliwna" to nazwa operacji, którą Turcy zaczęli w minioną sobotę w regionie Afrin. Zaczęli z impetem: nalotami i ofensywą sił pancernych. Politycznym celem akcji – wymierzonej w siły syryjskich Kurdów (YPG), kontrolujące większość północnej Syrii, w tym Afrin – jest niedopuszczenie, aby Kurdowie połączyli swe enklawy w *quasi*-państwo. Choć tutaj chodzi raczej nie (tylko) o czarny humor, lecz o propagandę: tureccy politycy przedstawiają „Gałązkę Oliwną" jako akcję antyterrorystyczną, która „wyzwoli" ludność Afrin i zniszczy „korytarz terroru" (tj. tereny pod kontrolą YPG). Dla Kurdów musi to być gorzka lekcja geopolityki. Ciężar walk z tzw. Państwem Islamskim ponosili właśnie żołnierze YPG – wspierani zachodnimi nalotami i dostawami broni. Ich liderzy flirtowali też z Rosją, która posłała do Afrin „doradców" i miała założyć tam bazy. Teraz Kreml sygnalizuje, że wycofał swych żołnierzy i zgodził się na turecką akcję. I pewnie przygląda się z satysfakcją, jak USA miotają się między dwoma sojusznikami – teoretyczno-strategicznym (Turcją) i faktyczno-doraźnym (Kurdami) – ograniczając się do wyrażania „troski" o rozwój sytuacji. ©℗

WOJCIECH PIĘCIAK

W kosmosie Chińczycy trzymają się mocno

NA NIEBIE POJAWIA SIĘ SPADAJĄCY OBIEKT. Spoza kadru słychać nerwowy śmiech. Kiedy obiekt uderza w ziemię i wybucha kilkaset metrów za zabudowaniami, na nagraniu rozlegają się ironiczne wiwaty.
Co innego zrobić, gdy kluczowy element kolejnej Pięciolatki spada niemal na twój dom? Gromem z niebios w mieście Xiangdu był silnik wspomagający rakiety Długi Marsz 3B, wystrzelonej z kosmodromu Xichang. Chiński program kosmiczny nie ma ostatnio dobrej passy: kosmiczne laboratorium Tiangong-1 na początku marca spadnie na ziemię i nie ma pewności, że odbędzie się to w sposób kontrolowany. Podobne niepowodzenia zdarzały się wszystkim kosmicznym mocarstwom. A Chinom trudno odmówić ambicji. Planują stworzenie stacji kosmicznej porównywalnej z ISS, wysłanie kolejnych lądowników na Księżyc i Marsa. Budują największe radioteleskopy (najnowszy, o 110-metrowej, ruchomej czaszy, ma nasłuchiwać sygnałów od obcych) i rozważają rozprawę z kosmicznymi śmieciami przy pomocy laserowych dział. Ostatni pomysł spotkał się z chłodnym przyjęciem innych kosmicznych mocarstw, których śmieci na orbicie nie martwią tak bardzo jak wycelowane w kosmos chińskie lasery. Dla USA kosmos w latach 60. XX w. był głównie areną propagandowych igrzysk. To paliwo kończy się szybko. Dla Chin wydaje się on elementem większego planu rozwoju rodzimej nauki i techniki. W kosmosie dopiero się rozgrzewają. © WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Pokaż swoją twarz

MAKAKI JAPOŃSKIE równie skutecznie jak ludzie potrafią wyszukiwać twarze osobników własnego gatunku wśród innych obiektów – donosi zespół Ryuzaburo Nakaty na łamach „Animal Cognition". Skuteczność wyszukiwania twarzy zarówno przez ludzi, jak i małpy zwiększa się, gdy ilustracje twarzy przedstawione są bardziej schematycznie i w niższej rozdzielczości – co może sugerować, że mózgi ludzkie i małpie posiadają zakodowane schematyczne wzorce „właściwej" twarzy. Mechanizm ułatwia interakcje społeczne u gatunków żyjących w stadach. Inne badania wykazały, że gdy jeszcze przed narodzinami dzieciom prezentuje się schematyczne „twarze" oraz inne „obiekty", to chętniej zwracają uwagę właśnie na „twarze". © ŁK

FRANK GUALTIERI / FG2 / WIKIPEDIA.ORG

BADACZOM Z GREAT MAYA AQUIFER PROJECT udało się znaleźć przejście łączące dwa podwodne systemy jaskiń: Sac Actun i Dos Ojos na półwyspie Jukatan. Połączony system ma długość 347 km, co czyni go największym tego typu obiektem na świecie. W zalanych dziś jaskiniach odnaleziono ponad sto miejsc archeologicznych, dokumentujących życie pierwszych kolonizatorów Ameryki, a także cywilizacji Majów, dla których jaskinie były miejscem religijnych rytuałów. ©℗

PREDRAG VUCKOVIC / ISTOCK / GETTY IMAGES

Co dalej ze Starym Teatrem

ANNA GOC

Aktorzy Narodowego Starego Teatru w Krakowie powołali Radę Artystyczną (w jej skład weszli m.in. Anna Dymna, w Starym od 45 lat, Dorota Segda, rektor krakowskiej PWST, i Roman Gancarczyk; skład zatwierdził dyrektor Marek Mikos). W uzasadnieniu czytamy o „rozdźwięku pomiędzy propozycjami artystycznymi" dyrektora a oczekiwaniami zespołu.

– Rada ma mieć prawo weta, decydować m.in. o tym, z którymi reżyserami współpracujemy i na które festiwale wyjeżdżamy. Chcemy przejąć współodpowiedzialność za kształt artystyczny sceny – mówi Radosław Krzyżowski, aktor NST [więcej: powszech.net/stary].

Oświadczenie ukazało się w symbolicznym momencie – dzień po pierwszej premierze za dyrektury Marka Mikosa – „Domu Bernardy A." w reż. Alejandra Radawskiego. Premierze nie tylko spóźnionej, ale też – jak oceniają recenzenci – nieudanej.

Aktorzy NST jeden sezon już stracili. Głównym celem Rady ma być przedstawienie propozycji repertuarowych na sezon 2018/2019. Zapewne chodzi też o porozumienie z powstałą w ubiegłym roku Gildią Reżyserów i Reżyserek Teatralnych, która gromadzi najwybitniejszych polskich twórców. Bez Rady trudno sobie wyobrazić porozumienie między Gildią i Starym pod dyrekcją Mikosa. Uratowanie teatru będzie zależało od współpracy reżyserów z zespołem. ©℗

Kobiety żyją dłużej, także w czasach katastrof

I JEST JUŻ NA TO DOWÓD – badania naukowców z Danii i Niemiec, którzy przeanalizowali dane na temat przeżywalności płci podczas siedmiu kryzysów: niewolnictwa na Trynidadzie i epidemii wśród niewolników wracających do Liberii (XIX w.), klęsk głodu w Szwecji (1773), Irlandii (1845-49) i na Ukrainie (1933) oraz epidemii odry na Islandii (1846 i 1882). W prawie każdej z tych sytuacji kobiety miały większe szanse przeżycia; tylko na Trynidadzie przewagę mieli mężczyźni (jako niewolnicy mieli większą wartość dla swoich właścicieli, byli więc nieznacznie lepiej traktowani). Co ciekawe, przewaga kobiet była widoczna głównie w dzieciństwie, kiedy różnice behawioralne między płciami są minimalne; dla naukowców to wskazówka, że ich większa przeżywalność może mieć podłoże biologiczne. Jakie? Tego nie stwierdzono, choć badacze odnotowali, że estrogeny (żeńskie hormony) działają jako przeciwutleniacze i mogą wzmacniać system odpornościowy. ©℗

ŻYM

W SKRÓCIE

LIDIA OSTAŁOWSKA NIE ŻYJE. Wybitna reporterka od 1989 r. pracowała w „Gazecie Wyborczej". Pisała przede wszystkim o wykluczeniu społecznym oraz mniejszościach etnicznych i narodowych. Wydała m.in. zbiór reportaży „Cygan to Cygan", a książka „Farby wodne" o Dinie Gottliebovej malującej w Auschwitz portrety Romów została nominowana do literackiej Nagrody Nike.

WYKA DLA ŁUKASIEWICZ. Tegoroczną laureatką przyznawanej w Krakowie Nagrody im. Kazimierza Wyki została Małgorzata Łukasiewicz, eseistka, autorka m.in. książki o Tomaszu Mannie, a przede wszystkim tłumaczka literatury niemieckojęzycznej, w tym dzieł Nietzschego, Hessego, Sebalda czy Süskinda.

COGITO DLA WILDSTEINA. Akademicki Klub Obywatelski im. Lecha Kaczyńskiego przyznał Bronisławowi Wildsteinowi nagrodę Pan Cogito – „za działalność w sferze kultury". List gratulacyjny przysłał minister Piotr Gliński, który tak pisze o powieściach laureata: „Pańska proza bowiem jest – w myśl wskazań Stendhala – jak zwierciadło, które przechadza się po gościńcu i odbija to, co dla przemierzających go podróżnych najbardziej dojmujące: dzisiejszą niedolę życia w atrapie europejskiej cywilizacji, wydrążonej z własnej tożsamości, wyzbytej metafizycznego ładu i moralnego porządku, które generowały jej potęgę".

RDC POLSKIE RADIO

BEATA CHOMĄTOWSKA, autorka tekstu o polskich miastach (s. 29), będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 24 stycznia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

ANDRZEJ HEIDRICH

TEMAT TYGODNIKA

HISTORIA PEWNEGO KŁAMSTWA

Fragmentem listu papieża Jana Pawła II do Jerzego Turowicza na 50-lecie „TP" od lat bije się w pismo i w jego redaktora. Odsłaniamy kulisy manipulacji tym dokumentem.

MICHAŁ OKOŃSKI

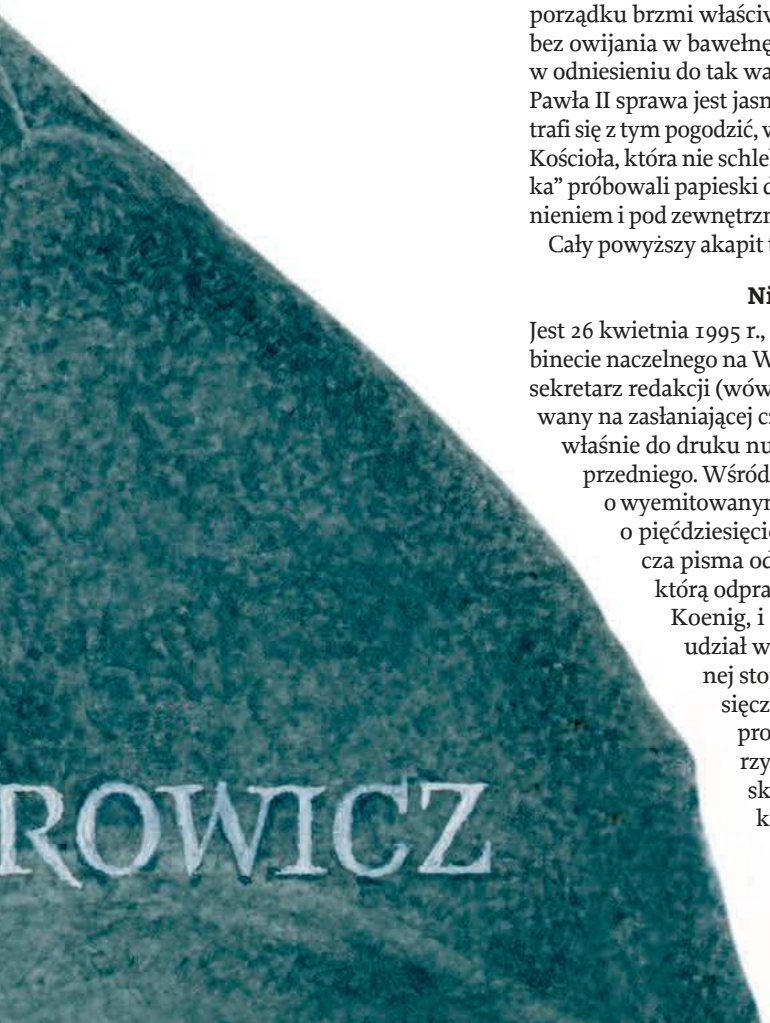

W roku 1995, na pięćdziesięciolecie „Tygodnika Powszechnego" papież Jan Paweł II postanowił przywołać do porządku ważne dla niego niegdyś pismo (albo, jak powiedział w niedawnym wywiadzie dla Onetu abp Marek Jędraszewski, „pismo, które niegdyś lansował"). Nie, przywołać do porządku brzmi właściwie za słabo. Lepiej powiedzieć: skrytykować. Albo, bez owijania w bawełnę: zarzucić zdradę. „Tygodnik" zdradził przecież, i to w odniesieniu do tak ważnej kwestii jak ochrona życia. W świetle słów Jana Pawła II sprawa jest jasna jak słońce, i tylko środowisko „TP" do dziś nie potrafi się z tym pogodzić, wciąż relatywizując prawdę i nie przekazując tej wizji Kościoła, która nie schlebia ludziom. Już wtedy zresztą redaktorzy „Tygodnika" próbowali papieski dokument ukryć, a w końcu opublikowali go z opóźnieniem i pod zewnętrznym naciskiem.

Cały powyższy akapit to nieprawda.

Niespodzianka na zebraniu

Jest 26 kwietnia 1995 r., zebranie redakcji „Tygodnika Powszechnego" w gabinecie naczelnego na Wiślnej 12. Porządek obrad ustalony od dziesięcioleci: sekretarz redakcji (wówczas był nim Piotr Mucharski) prezentuje rozrysowany na zasłaniającej część półek szkolnej tablicy plan przygotowywanego właśnie do druku numeru, a później następuje omówienie numeru poprzedniego. Wśród zostawionych na koniec spraw różnych mowa m.in. o wyemitowanym przez TVP filmie dokumentalnym Pawła Woldana o pięćdziesięcioleciu „Tygodnika". W ramach obchodów półwiecza pisma odbyła się wówczas msza w kościele dominikanów, którą odprawił emerytowany metropolita Wiednia kard. Franz Koenig, i sesja naukowa w auli Collegium Maius, w której udział wzięli m.in. wpisany z okazji jubileuszu do redakcyjnej stopki ks. Józef Tischner, a także młody naczelny miesięcznika „Znak" Jarosław Gowin; osobnymi punktami programu były oczywiście koncert zaprzyjaźnionej z Jerzym Turowiczem Piwnicy pod Baranami i mecz piłkarski młodszej części redakcji z reprezentacją TVP, której kapitanem był Wiesław Walendziak.

Od tamtej pory minął jednak miesiąc, więc wydaje się, że Jerzy Turowicz prosi o głos w innej ↦

↦ sprawie. Jest parę minut po dwunastej, redaktor naczelny „TP" zdążył już wziąć udział w odbywającej się w Urzędzie Miasta uroczystości wręczenia Andrzejowi Wajdzie i Krystynie Zachwatowicz medali Cracoviae Merenti. Teraz, zgodnie ze swoim zwyczajem, przysłuchuje się w milczeniu mówiącym stanowczo zbyt dużo współpracownikom i cierpliwie czeka na swoją kolej. Kiedy w końcu zaczyna mówić, zapada cisza.

Cisza zapada zawsze, gdy się odzywa. „Trudno mi sobie wyobrazić bardziej małomównego szefa" – zauważył Piotr Mucharski we wstępie do jednego z rozdziałów jego „Pism wybranych". Milczący, nieobnoszący się z władzą, jest jednak tym bardziej słyszany. „Jeśli już o coś prosił (bo niemal nigdy nie żądał), albo mówił »veto« – kończyła się dyskusja" – pisał dalej obecny redaktor naczelny „Tygodnika".

Tym razem jednak można odnieść wrażenie, że cisza jest bardziej intensywna niż zwykle. Siedzący przy swoim biurku, a więc nieco z boku, Szef wyciąga z teczki niedużą kopertę, rozkłada kilka znajdujących się w niej kartek maszynopisu i zaczyna czytać. Czyta spokojnie, swoim głębokim lirycznym barytonem, zdanie po zdaniu. Trwa to dobrych parę minut, bo tekst jest długi. Kiedy kończy, pyta (choć sam zdanie ma już wyrobione), czy zdaniem zgromadzonych ów tekst został przeznaczony do publikacji.

Mowa o liście, który Jan Paweł II wysłał do redaktora naczelnego „TP" po lekturze wydanego w marcu jubileuszowego numeru pisma.

Wojna na górze

Pytanie Pana Jerzego jest zasadne – wcześniejszym jubileuszom „Tygodnika" i okrągłym rocznicom urodzin Naczelnego towarzyszyły zwykle listy, najpierw metropolity krakowskiego Karola Wojtyły, później zaś papieża Jana Pawła II. Listy ukazywały się drukiem, będąc świadectwem nie tylko wieloletniej więzi łączącej ich autora z redakcją (tutaj debiutował jako publicysta, tutaj zamieszczał swoje wiersze, korzystał z porad literackich redaktora i felietonisty „TP" Marka Skwarnickiego, szykując je do druku) i jej Szefem (drobne świadectwo: książki, pożyczane przez biskupa Wojtyłę z biblioteki Turowiczów przed wyjazdami na wakacje), ale też parasola ochronnego, rozkładanego nad „Tygodnikiem" w czasach komunistycznych.

Teraz jednak komunizm upadł, a ściśle związany niegdyś z krakowskim Kościołem „Tygodnik" zaczyna – na dobre i złe – przypominać jeszcze jeden ukazujący się w Polsce, choć nadal kładący nacisk na sprawy Kościoła i wiary, tygodnik opinii. W dodatku jego opinia o „wojnie na górze" z początków III RP różni się diametralnie od poglądu większości Kościoła instytucjonalnego – redakcja popiera wówczas, tracąc wielu czytelników, Tadeusza Mazowieckiego, większość biskupów i księży sympatyzuje z Lechem Wałęsą.

> Tak było: redakcja dyskutowała ze swoim autorem, protektorem i przyjacielem. **Nikt inny do tej pory** nie przyznał się do sporów z Janem Pawłem Wielkim.

Na Wiślną wciąż docierają, owszem, informacje, że papież czyta „Tygodnik" od deski do deski, że domaga się przez zaufanych gości, by recenzje teatralne zawierały bardziej szczegółowe opisy spektakli z myślą o tych miłośnikach Melpomeny, którzy nie będą mieli okazji ich zobaczyć, a nawet że... poprawia zauważone literówki. Z drugiej strony z Watykanu dochodzą słuchy, że przystęp do papieskiego stołu znajdują często osoby nieżyczliwe środowisku „TP" i że ówczesne spojrzenie Jana Pawła II na polskie sprawy faktycznie różni się w wielu kwestiach od tego z Wiślnej 12.

Być może to jest powód, dla którego niejeden słuchacz tekstu czytanego wówczas przez Jerzego Turowicza znajduje się w stanie niemal euforycznym. Oto – rozumuje ów słuchacz – głowa Kościoła pisze do Szefa długi list, będący podziękowaniem za wieloletnią pracę dla Kościoła i kraju, a także podkreślający osobisty związek piszącego z „Tygodnikiem".

Owszem: list ma również niewielki fragment krytykujący niektóre aspekty polityki redakcyjnej po 1989 r., ale – co za chwilę wykażemy, pokazując dokonywane na papieskim tekście manipulacje – natychmiast osłabiony uwagą, że opisywana przez Jana Pawła II sytuacja uległa zmianie, uzasadniony troską o los tak bliskiego pisma, i kończony w duchu niekwestionowanej serdeczności.

Młoda redakcja

Byliśmy w stanie euforycznym, my, młodsza wówczas część redakcji „TP". Niektórzy z nas byli rok wcześniej gośćmi Jana Pawła II na obiedzie, zorganizowanym po zaproszeniu wystosowanym z Watykanu i naszym wcześniejszym liście, będącym efektem poczynionej w innej korespondencji z Jerzym Turowiczem uwagi, że tzw. młodej redakcji papież nie zdążył już poznać osobiście. Mogliśmy wówczas przekonać się, jak dokładnie nas czyta („Wy mogliście tego pewnie nie zauważyć" – mówił o jakimś zdaniu z opublikowanego parę miesięcy wcześniej w „TP" przeglądu prasy...), i do jakiego stopnia dopuszcza otwartą rozmowę na temat naszej polityki redakcyjnej.

Teraz, słuchając czytającego list Pana Jerzego, myśleliśmy o tym, czy jest jeszcze jakaś gazeta w świecie, która cieszyłaby się podobnym świadectwem otrzymanym od papieża; czy jest jakieś katolickie medium w Polsce traktowane z równą powagą. Krytyczny fragment przyjmowaliśmy ze spokojem, po pierwsze widząc go w kontekście, a po drugie uważając do pewnego stopnia za uzasadniony (w redakcji narastała świadomość popełnionych po 1989 r. błędów, choćby tak jednoznacznego zaangażowania w kampanię Mazowieckiego; Jerzy Turowicz napisze o tym wprost w ankiecie „Więzi" z 1996 r., kiedy warszawski miesięcznik zapyta o błędy i zaniedbania przedstawicieli różnych środowisk kościelnych, przygotowując rachunek sumienia na trzecie tysiąclecie chrześcijaństwa), po trzecie zaś dostrzegając polityczną perspektywę, w jakiej słowa krytyki osadzał sam papież.

Pisząc dalej o pozytywnej przemianie, jaka miała dokonać się w „TP", Jan Paweł II wiązał ją z reakcją na zwycięstwo SLD w wyborach parlamentarnych, więc chyba nie do końca chodziło mu o sprawy Kościoła i wiary. Warto może w tym miejscu przypomnieć, że powodem odwołania w 1991 r. asystenta kościelnego pisma, ks. Andrzeja Bardeckiego, było dopuszczenie do publikacji listu pasterskiego tutejszego metropolity w sąsiedztwie artykułu krytycznego wobec Lecha Wałęsy...

Powiedzmy i to: naszej euforii zdecydowanie nie podzielali starsi koledzy, i z perspektywy czasu trudno im się dziwić. Już wtedy, podczas zebrania na Wiślnej, pojawiły się głosy o możliwej manipulacji papieskim tekstem i o tym, że nieżyczliwym odbiorcom jeden *passus* przesłoni całą resztę. Ale Jerzy Turowicz nie miał wątpliwości: niezależnie od wszystkiego list na-

leży opublikować, po uzyskaniu – rzecz jasna – wyraźnej zgody autora.

Kalendarium wydarzeń

Zgodę autora uzyskuje się wówczas, w czasach przed internetem i telefonią komórkową, dzwoniąc do Watykanu, na biurko ks. Stanisława Dziwisza. W kalendarzu Jerzego Turowicza za rok 1995 nie znajdujemy informacji, kiedy naczelny „TP" dodzwania się do papieskiego sekretarza (znajdujemy za to notatkę, że dzień po spotkaniu w redakcji telefonuje z domu do mieszkającego w Rzymie ks. Adama Bonieckiego, wówczas generała Zgromadzenia Księży Marianów), ale z późniejszego listu Jerzego Turowicza do Jana Pawła II wiemy, że papieski sekretarz jest zdania, iż sprawę trzeba uzgodnić z metropolitą krakowskim, czyli kard. Franciszkiem Macharskim („Było także dla mnie zrozumiałe, że Ojciec Święty nie chce, by publikacja miała miejsce – że tak powiem – ponad głową czy też za plecami Księdza Kardynała Franciszka" – pisze do Jana Pawła II Turowicz 20 maja 1995 r.).

Rozmowa na Franciszkańskiej odbywa się 6 maja. „O dziesiątej u Macharskiego w sprawie listu JP II! Długa i trudna rozmowa. Ale sukces!" – notuje w kalendarzyku redaktor naczelny „TP", a dwa tygodnie później pisze do papieża: „zgodę uzyskałem, acz – przyznaję – nie bez trudności...".

Nie wiemy, jakiego charakteru obiekcje zgłaszał ówczesny metropolita krakowski: obaj uczestnicy rozmowy nie żyją, więc nie możemy ich zapytać. Ale w tym momencie istotniejsze jest coś innego. Otóż na liście kłamstw, których dopuszczano się po publikacji papieskiego listu, poczesne miejsce zajmowało to o rzekomym oporze redakcji i o tym, że została ona właściwie przymuszona do jego wydrukowania.

Byli nawet tacy autorzy, którzy – ignorując fakt, że „Tygodnik" zawsze ukazuje się z datą niedzielną w tygodniu tę niedzielę poprzedzającym – twierdzili, że potrzebna była dopiero depesza KAI, żeby krakowska redakcja poczuła się zobligowana do zamieszczenia listu. Otóż w serwisie Katolickiej Agencji Informacyjnej pismo Jana Pawła II pojawiło się dopiero w sobotnie południe, 13 maja 1995 r., kiedy sprzedaż tego numeru w zasadzie dobiegała końca: drukowany we wtorek wczesnym popołudniem „Tygodnik" trafiał do kiosków we środę. Dziennikarze KAI, jak zresztą przedstawiciele całego czytającego świata, sięgnęli po prostu po papierowe wydanie „TP".

JACEK MARCZEWSKI / FORUM

W gabinecie na Wiślnej 12, w tle tablica z rozrysowanym planem numeru „TP", Kraków, lata 90.

Kalendarium wydarzeń wyglądało więc następująco: jubileuszowy numer „Tygodnika", drukowany 21 marca, dzień później dostarczany z redakcji do kurii, na papieskie biurko trafia zapewne – wysyłany samolotem z Balic – w okolicy weekendu. Sam jubileusz odbywa się w Krakowie w dniach 25-26 marca. List Jana Pawła II jest datowany na 5 kwietnia – nie wiemy, kiedy zostaje wysłany i doręczony. Zebranie redakcyjne – 26 kwietnia. Rozmowa Turowicz-Macharski – 6 maja. Druk listu w „TP" natychmiast – 9 maja.

Papieskie wspomnienia

Przejdźmy jednak do sprawy zdecydowanie najważniejszej: do tego, co napisał papież. Cały list przypominamy na naszej stronie internetowej [pod adresem: powszech.net/listpapieza], tu zauważmy tylko, że po otrzymaniu jubileuszowego numeru „TP" („Czytam z zainteresowaniem teksty, jakie w nim zamieszczono. »Czytam i wspominam...« – jak kiedyś napisała pani Starowieyska-Morstinowa. Jest to bowiem równocześnie jakiś ważny i długi fragment mojego własnego życia") Jan Paweł II streszcza zarówno historię pisma, jak i swoich z nim związków.

„Kiedy zaczął wychodzić »Tygodnik Powszechny« byłem jeszcze seminarzystą i studentem teologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zostałem wyświęcony w roku 1946 i wysłany przez Księcia Kardynała Sapiehę na studia do Rzymu. Mogłem wówczas, w ciągu wakacji roku 1947, zapoznać się z środowiskami katolickimi w Zachodniej Europie, w szczególności zaś we Francji, Belgii i Holandii. A po powrocie w roku 1948 opublikowałem w »Tygodniku« swój pierwszy artykuł pt. »Czy Francja jest krajem misyjnym?« [autora zawiodła pamięć: tekst 28-letniego debiutanta ukazał się, zresztą na pierwszej stronie, pod tytułem „Mission de France"]. Taki był początek. Potem publikowałem wielokrotnie. Były to artykuły i utwory poetyckie – pisał papież. – Tak więc Złoty Jubileusz »Tygodnika Powszechnego« przeżywam nie tylko w znaczeniu przedmiotowym, ale także jako cząstka tego podmiotu, którym on był – przynajmniej do roku 1978".

Rok 1978 to oczywiście data wyboru Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową. „Po odejściu do Rzymu, zarówno Pan jak i jego Małżonka oraz różni członkowie Redakcji »Tygodnika« i »Znaku« odwiedzali mnie w Watykanie i to właściwie trwa do dzisiaj" – pisze Jan Paweł II. A potem wspomina wspólne przeżywanie zmagań z totalitaryzmem, ale także kościelnych przemian, zwłaszcza soborowych; wspomina spotkania z redakcją i listy wysyłane w tamtym czasie do Jerzego Turowicza. „»Tygodnik« oddawał wówczas Kościołowi w Polsce wielkie usługi, ale były też momenty pewnych napięć i trudności, które trzeba było wspólnym wysiłkiem wyjaśnić i rozwiązywać" – dodaje.

Zatrzymajmy się na chwilę przy tym zdaniu. Wskazuje ono, po pierwsze, że „napięcia i trudności" w relacjach „Tygodnika" z biskupem Wojtyłą zdarzały się już wcześniej – nie robiliśmy z nich zresztą tajemnicy, publikując w 2006 r. obszerny – również dostępny w całości w internecie [pod ↦

↦ adresem: powszech.net/papiez-turowicz] – dodatek zawierający odnalezioną w archiwum Jerzego Turowicza korespondencję. „Nikt do tej pory się nie przyznał, że kiedykolwiek z Janem Pawłem Wielkim się spierał, że Papież, czy przyszły Papież, za coś go ganił, z jakiegoś powodu napominał. Publikowane dotąd wspomnienia i listy to sam miód i błogosławieństwa" – zauważał na marginesie tamtej publikacji ks. Adam Boniecki.

Tak było: redakcja toczyła nieraz spory ze swoim autorem i protektorem, zarówno na piśmie, jak podczas regularnych spotkań w pałacu arcybiskupów krakowskich. Kluczowe było jednak poczucie, że – jak pisał dalej w 2006 r. nasz redaktor senior – „można się w ważnych sprawach różnić, można się o nie spierać, a jednocześnie darzyć się szacunkiem. Bo spór – jak się okazuje – nie musi ludzi dzielić, jeśli towarzyszy mu wzajemne zaufanie i niezachwiana pewność, że to, co najważniejsze, jest dla stron sporu wspólne, i że silniejsze jest mimo wszystko to, co łączy".

Człowiek, który w 1969 r. pisał do Jerzego Turowicza: „Boli nas, gdy Kościół w Polsce czuje się raczej nieobecnym na szpaltach »Tygodnika«, nieinteresującym i przemilczanym. Boli nas, gdy czołowy organ katolicki traktuje Kościół w Polsce i sprawy, którymi on żyje, marginesowo" (to była dopiero krytyka!), po latach podsumowywał tę dyskusję jako „wspólnym wysiłkiem wyjaśnioną i rozwiązaną".

Urwany cytat

Najpowszechniej cytowany fragment papieskiego listu dotyczy tego, co wydarzyło się w Polsce po 1989 r. Nie ma tu mowy – zauważmy od razu, odsłaniając kolejną manipulację – o kwestiach związanych z parlamentarnymi i publicystycznymi sporami o kształt ustawy antyaborcyjnej („Tygodnik" opowiadał się wówczas za obowiązującym do dziś kompromisem, sprzeciwiając się pomysłom karania więzieniem przerywających ciążę kobiet) czy np. o prowadzonej na łamach „TP" w 1990 i 1991 r. dyskusji o tym, czy lepiej katechizuje się dzieci i młodzież przy parafiach, czy w szkolnej klasie.

Diagnoza papieska z kwietnia 1995 r. brzmiała: „Odzyskanie wolności zbiegło się paradoksalnie ze wzmożonym atakiem sił lewicy laickiej i ugrupowań liberalnych na Kościół, na Episkopat, a także na Papieża. Wyczułem to zwłaszcza w kontekście moich ostatnich odwiedzin w Polsce w roku 1991. Chodziło o to, ażeby zatrzeć w pamięci społeczeństwa to, czym Kościół był w życiu Narodu na przestrzeni minionych lat. Mnożyły się oskarżenia czy pomówienia o klerykalizm, o rzekomą chęć rządzenia Polską ze strony Kościoła, czy też o hamowanie emancypacji politycznej polskiego społeczeństwa. Pan daruje jeżeli powiem, iż oddziaływanie tych wpływów odczuwało się jakoś także w »Tygodniku Powszechnym«. W tym trudnym momencie Kościół w »Tygodniku« nie znalazł, niestety, takiego wsparcia i obrony, jakiego miał poniekąd prawo oczekiwać; »nie czuł się dość miłowany« – jak kiedyś powiedziałem".

Papież był zaskoczony i zmartwiony interpretacjami listu. Nie wiedział, jak to naprawić. Próbą zadośćuczynienia było spotkanie z Turowiczem podczas pielgrzymki w 1997 r.

W tym miejscu niemal wszyscy przywołujący list Jana Pawła II zamykają cudzysłów. Zapominają nie tylko o zdaniu następnym, stanowiącym fragment tego samego akapitu – „Dzisiaj piszę o tym z bólem, gdyż los »Tygodnika Powszechnego« i jego przyszłość bardzo leżą mi na sercu", zmieniającym przecież emocjonalny wydźwięk zdań poprzednich, ale także o kilku zdaniach kolejnych: „Ponieważ »Tygodnik Powszechny«, a także »Znak« czytałem i nadal czytam dość regularnie, mogłem zauważyć, że orientacja o której wspomniałem, uległa pewnej zmianie po krytycznych wyborach do parlamentu we wrześniu 1993 roku. I ten nowy trend, jak mi się wydaje, utrzymuje się do dzisiaj, co budzi zrozumiałe nadzieje. Można nawet powiedzieć, iż powiększyła się ilość publikacji o charakterze religijnym, teologicznym i chrześcijańskim. Cenną komponentą »Tygodnika« pozostaje obfita informacja o problemach Kościoła i świata". Dopiero w tym miejscu Jan Paweł II kończy swój wywód.

Akapit kolejny przynosi podsumowanie, podziękowanie i papieskie błogosławieństwo: „Panu Bogu za pięćdziesiąt lat »Tygodnika Powszechnego«, a może bardziej jeszcze za pięćdziesiąt lat tej życzliwości, jaką mi Pan okazywał jako Redaktor Naczelny. Życzę, ażeby Pan Bóg błogosławił Panu Jerzemu i Pani Annie oraz »Tygodnikowi«. Są to zarazem moje serdeczne życzenia Wielkanocne. »Tygodnik Powszechny« zaczął wychodzić na Wielkanoc 1945 roku, a jego Jubileusz Pięćdziesięciolecia wypadł w Niedzielę »*Laetare*« [Chodzi o IV niedzielę Wielkiego Postu, której nazwa pochodzi od pierwszych słów antyfony „Wesel się, Jeruzalem", księża noszą wówczas ornaty koloru różowego, co ma oznaczać radość wśród pokuty]. Jest to z pewnością jakiś wyznacznik chrześcijańskiego optymizmu".

Odpowiedź Naczelnego

Czego jak czego, ale chrześcijańskiego optymizmu Jerzy Turowicz potrzebował w następnych miesiącach bardzo wiele. Tekstów krytycznych pod adresem „Tygodnika" i jego samego, audycji radiowych i telewizyjnych, jakie przyniosły następne tygodnie i miesiące, nie sposób zliczyć (22 maja Szef notuje w kalendarzu np.: „19 godzina *Puls Dnia*!!! [mowa o emitowanym wówczas w TVP1 programie publicystycznym, poświęconym najważniejszemu, zdaniem redakcji, tematowi dnia] JPII, list do TP – Ewa Polak, Krąpiec!").

Już odpisując 20 maja na list Jana Pawła II Naczelny wspominał, że „»Tygodnik« jest bardzo często przedmiotem brutalnych ataków" i że „niejednokrotnie odzywały się publiczne głosy twierdzące, że »Tygodnik Powszechny« nie jest pismem katolickim". „Nikt nigdy nie brał nas w obronę, musieliśmy się bronić sami" – dodawał, wskazując na jeszcze jeden kontekst papieskiego listu: „Milczenie ze strony Kościoła z okazji naszego 50-lecia zdawało się przyznawać rację tym oskarżeniom. List Ojca Świętego pomaga nam te oskarżenia odrzucać". To rzeczywiście paradoks: „Z okazji naszego jubileuszu otrzymaliśmy bardzo liczne życzenia, gratulacje i wyrazy uznania niemal ze wszystkich stron, poczynając od Prezydenta RP i premiera, od polityków, naukowców, intelektualistów i artystów, z kraju i z zagranicy, z wyjątkiem... Kościoła".

Co do samego papieskiego zarzutu Jerzy Turowicz pisał prosto: „Krytyczne uwagi Ojca Świętego na temat linii »Tygodnika« po roku 1989 przyjmujemy z należną pokorą i skruchą, niewątpliwie bowiem nieraz popełnialiśmy błędy. Ale – niech mi wolno będzie powiedzieć, że jeśli Kościół, rozumiem: polski Kościół, czuł się – jak mówi Ojciec Święty – »nie dosyć przez nas miłowany«, to nie musi to oznaczać, że myśmy ten Kościół nie dosyć miłowali! A – po wtóre – obraz obecnej sytuacji Ko-

ścioła w Polsce, jaki wynika z relacji osób, które Ojca Świętego odwiedzają, w tym i Księży, i Biskupów – w moim przekonaniu – dość znacznie odbiega od rzeczywistości".

Odpowiedzi na ten list nie znamy, być może jej nie było. Zapewne zresztą zachowywały aktualność słowa o dwa lata wcześniejsze, kończące poprzednią szczerą wymianę zdań na temat sytuacji w Kościele i „Tygodniku". „Jeżeli napisałem tak, jak napisałem – tłumaczy papież w liście z 4 lipca 1993 r. – to nie, by sprawić Panu przykrość, ale – no po prostu dlatego, że ja sam czuję się związany z tym tygodnikowym dziedzictwem. Miałem w nim jakąś »cząstkę« nie tylko jako piszący, ale także jako Wasz Biskup. I zapewne, nie tylko ja miałem jakąś »cząstkę« w »Tygodniku«, ale i on miał swą »cząstkę« we mnie, w mojej drodze, w moim powołaniu. Pamiętam, jak Pan przeżywał wydarzenie z 16 października 1978 r. Cóż? Ja nie chcę tego utracić. Staram się jakoś być wierny »przymierzu«, którym się związałem".

ARCHIWUM „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Podczas audiencji dla dziennikarzy po wyborze kard. Wojtyły na papieża, Watykan, 1978 r.

Stoły pełne wycinków

Lista inwektyw i obelg, które po publikacji listu Jana Pawła II spotkały Jerzego Turowicza, jest długa. Postanowiliśmy darować sobie przytaczanie jej na tych łamach, nie tylko dlatego, że niniejszy tekst powstaje w rocznicę śmierci Pana Jerzego; jeżeli kto ciekaw, może przecież skorzystać z internetowej wyszukiwarki. Powiedzmy tylko tyle: autorzy tych inwektyw i obelg odnieśli perwersyjny sukces. Adresat zapoznawał się z nimi pilnie. Bolało.

Oto dlaczego w tej historii następuje jeszcze jeden ważny moment. Kiedy wiele miesięcy po jubileuszu „TP" w Polsce gości generał marianów, Jerzy Turowicz zaprasza go do Krakowa, do swojego mieszkania, gdzie zresztą ćwierć wieku wcześniej ks. Adam był sublokatorem. Ks. Boniecki wspomina, że gdy wspiął się wreszcie na trzecie piętro kamienicy przy Lenartowicza, w gabinecie naczelnego zastał biurko i kilka stołów pokrytych rozłożonymi książkami i wycinkami z niewybrednymi atakami na niego, z reguły opatrzonymi cytatami z listu papieża.

– Widziałem, że jest udręczony tymi atakami i bezradny – wspomina nasz redaktor senior. – Czytał mi fragmenty tych tekstów, były naprawdę podłe.

Po powrocie do Rzymu generał marianów pisze więc do ks. Stanisława Dziwisza ostry list, opisując dokładnie całą sprawę.

– Chciałem, by wiedział, czym stał się tamten list, jaka krzywda się dzieje Turowiczowi, który całe życie służył Kościołowi, jakim to jest dla Jerzego cierpieniem – opowiada.

Spotkanie przyjaciół

Wkrótce od Jana Pawła II nadchodzi zaproszenie na kolację.

– Byliśmy tylko my dwaj, nie było księdza Dziwisza – relacjonuje ks. Boniecki. – A przy nakryciu papieża leżał mój list.

Wedle wspomnień ks. Adama Jan Paweł II był zaskoczony i zmartwiony obrotem spraw: – Powiedział, że nie miał takiego zamiaru i że nie wie, jak to naprawić, że zaczynał kilka razy pisać do Jerzego, ale czuł, że tego listem się nie załatwi. Pytał, co – moim zdaniem – mógłby zrobić. Poradziłem, żeby podczas niedalekiej wtedy podróży do Polski [chodzi o pielgrzymkę z 1997 r.] spotkał się z całą redakcją „Tygodnika". To podkreśliłem: nie tylko z Jerzym, ale z całą redakcją, nawet na minutę, ale tak, żeby było to publicznie wiadome. Taki znak będzie doskonale czytelny i wytrąci broń z ręki oszczerców. To się Ojcu Świętemu wyraźnie spodobało, powiedział, że sprawę omówi z księdzem Dziwiszem, który jednak zadzwonił do mnie nazajutrz i mocno poirytowany pytał, czy zwariowałem, bo pielgrzymka jest już zaplanowana w każdym detalu i papież co najwyżej może się spotkać z Turowiczem. Na tym, ostatecznie, stanęło.

Mowa o spotkaniu, do którego doszło 8 czerwca 1997 r. w krakowskim Pałacu Arcybiskupim. Spotkaniu mającym zresztą dramatyczny przebieg. Mocno schorowany już Jerzy Turowicz zostaje na nie przywieziony karetką z kliniki prof. Andrzeja Szczeklika na Skawińskiej. Musi długo czekać na swojego rozmówcę, silne wzruszenie na widok dawno niewidzianego papieża powoduje pogorszenie stanu zdrowia. Z powrotem w klinice, dyktuje spod maski tlenowej ks. Bonieckiemu komunikat o spotkaniu i o tym, że „nie mogąc z powodu napiętego programu pielgrzymki przyjąć całej redakcji »Tygodnika Powszechnego«, papież chciał przynajmniej spotkać jej redaktora naczelnego".

Tydzień później o kulisach podróży Jana Pawła II opowie mi jej koordynator, nieżyjący już bp Jan Chrapek. Będzie mówił o wzruszeniu, z jakim przyjmował papieską „pamięć o Przyjacielu", i o tym, jak Jan Paweł II bardzo chciał, by doszło do spotkania z Turowiczem. W czasach, gdy wielu przedstawicieli Kościoła hierarchicznego starało się wciąż „Tygodnik" izolować, było to ważne świadectwo.

Jeszcze jeden list

Zresztą w archiwum Jerzego Turowicza zachował się jeszcze jeden papieski list z tamtego czasu: na dwa miesiące przed pielgrzymką Jan Paweł II wysyła go do swojego przyjaciela, redaktora i byłego asystenta kościelnego „TP", ks. Andrzeja Bardeckiego.

W marcu 1997 r. wzburzony ks. Bardecki pisze do papieża list, w którym relacjonuje burzę, jaka wybuchła w Polsce po publikacji „Dzienników" Stefana Kisielewskiego, zawierających także notowane na gorąco przez wieloletniego felietonistę „TP" zdania krytyczne ↦

↦ i złośliwości na temat redakcyjnych kolegów, w tym naczelnego. „Oczywiście, że publikacja »Dzienników« jest przykrym zaskoczeniem, w szczególności jest wielką krzywdą wyrządzoną Jerzemu Turowiczowi, ale nie tylko jemu – odpowiada Jan Paweł II ks. Bardeckiemu. – Wszyscy, przynajmniej ludzie mojego pokolenia, pamiętają, czym był »Tygodnik Powszechny« i jak opatrznościowa była inicjatywa Ks. Kard. Sapiehy, który powołał ten organ zaraz po zakończeniu II wojny światowej. Ufam przeto, że wielu ludzi nawet po publikacji »Dzienników« Kisiela zachowa właściwą ocenę 50-letniego dorobku »Tygodnika«, chociaż popularność Kisiela może przyczynić się do zachwiania opinii. Jeżeli chodzi o młodsze pokolenie, to ono nie bardzo się orientuje, o co chodzi".

Kolejny akapit listu przynosi potwierdzenie informacji zawartych już w tym tekście: „Telefonowałem do Jerzego Turowicza i zawiadomiłem go też, że pragnąłbym się spotkać z nim w czasie pobytu w Krakowie". I dalej: „Codziennie modlę się za niego, za żyjących i zmarłych członków Tygodnika".

Czy naprawdę tak bardzo chciałby się spotykać z człowiekiem, który go zawiódł?

Ostatni list Jana Pawła II kard. Franciszek Macharski odczytywał już w tynieckim opactwie, nad trumną Jerzego Turowicza. Redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego" od 1945 r. (z trzyletnią przerwą po tym, jak komunistyczne władze doprowadziły w 1953 r. do zamknięcia pisma za odmowę druku nekrologu Stalina), zmarł w styczniu 1999 r., w wieku 87 lat.

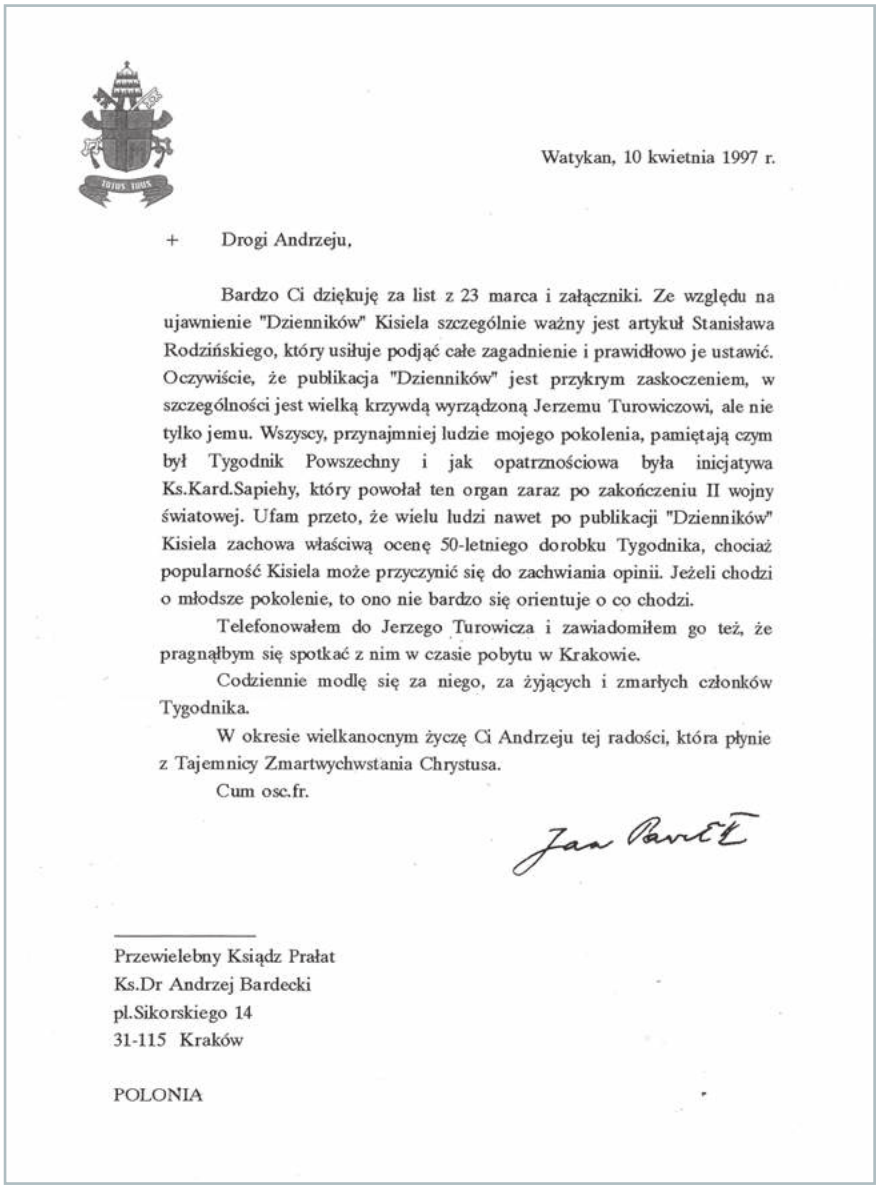

Watykan, 10 kwietnia 1997 r.

+ Drogi Andrzeju,

Bardzo Ci dziękuję za list z 23 marca i załączniki. Ze względu na ujawnienie "Dzienników" Kisiela szczególnie ważny jest artykuł Stanisława Rodzińskiego, który usiłuje podjąć całe zagadnienie i prawidłowo je ustawić. Oczywiście, że publikacja "Dzienników" jest przykrym zaskoczeniem, w szczególności jest wielką krzywdą wyrządzoną Jerzemu Turowiczowi, ale nie tylko jemu. Wszyscy, przynajmniej ludzie mojego pokolenia, pamiętają czym był Tygodnik Powszechny i jak opatrznościowa była inicjatywa Ks.Kard.Sapiehy, który powołał ten organ zaraz po zakończeniu II wojny światowej. Ufam przeto, że wielu ludzi nawet po publikacji "Dzienników" Kisiela zachowa właściwą ocenę 50-letniego dorobku Tygodnika, chociaż popularność Kisiela może przyczynić się do zachwiania opinii. Jeżeli chodzi o młodsze pokolenie, to ono nie bardzo się orientuje o co chodzi.

Telefonowałem do Jerzego Turowicza i zawiadomiłem go też, że pragnąłbym się spotkać z nim w czasie pobytu w Krakowie.

Codziennie modlę się za niego, za żyjących i zmarłych członków Tygodnika.

W okresie wielkanocnym życzę Ci Andrzeju tej radości, która płynie z Tajemnicy Zmartwychwstania Chrystusa.

Cum osc.fr.

Jan Paweł II

Przewielebny Ksiądz Prałat
Ks.Dr Andrzej Bardecki
pl.Sikorskiego 14
31-115 Kraków

POLONIA

List Jana Pawła II do ks. Andrzeja Bardeckiego, 1997 r.

Dar wolności

Wróćmy jeszcze raz do 1995 r. Z perspektywy czasu wypada go uznać za wyjątkowy w radzeniu sobie przez ludzi Kościoła z „nieszczęsnym darem wolności". Z każdym kolejnym rokiem poczucie tkwienia w oblężonej twierdzy będzie słabło. Także surowy w wielu miejscach ton Jana Pawła II z pielgrzymek w 1991 i 1995 r., którego ślad można przecież znaleźć również w języku krytycznego fragmentu listu do Jerzego Turowicza, zmieni się – podczas kolejnych podróży, w 1997, 1999 i 2002 r., papież jest coraz bardziej serdeczny, z radością błogosławiąc polskim przemianom („Ale nam się wydarzyło" – powie np. do członków Zgromadzenia Narodowego w 1999 r.; „Jakże dziś nie dziękować Bogu w Trójcy jedynemu za to wszystko, co na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat odczytujemy jako Jego odpowiedź na tamto wołanie" [mowa o słynnym wołaniu do Ducha Świętego z 1979 r., by „odnowił oblicze ziemi"]). Nieufni wobec mediów hierarchowie idą w ślady osamotnionego w 1995 r. sekretarza Episkopatu, bp. Tadeusza Pieronka, coraz chętniej rozmawiając z dziennikarzami. Pluralizm staje się normą – przynajmniej do czasu katastrofy smoleńskiej i kolejnej „wojny na górze".

Także na łamach „Tygodnika" znajdujemy paletę nazwisk z dzisiejszej perspektywy pewnie nieoczywistych. Półtora roku po liście Jana Pawła II do Jerzego Turowicza ks. Dariusz Oko wraz z dwoma dziennikarzami „TP" przeprowadza w redakcji wywiad z ks. prof. Paulem Zulehnerem o wierze Europy. Dwa i pół roku po liście ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski (z Jerzym Owsiakiem zresztą) odbiera z rąk Jerzego Turowicza Medal św. Jerzego. Pięć lat po liście – i rok po śmierci Szefa – bp Marek Jędraszewski publikuje tu obszerny tekst o Emmanuelu Levinasie.

Kilka ważnych przyczyn

Opowiadając tę historię w 19. rocznicę jego śmierci, chciałoby się jeszcze raz powiedzieć rzecz oczywistą: Jerzy Turowicz był człowiekiem, który całe swoje życie poświęcił służbie Kościołowi – Kościołowi, który kochał. W tej służbie sprawą może najważniejszą było przeżywanie i opisywanie pontyfikatu kogoś, kogo znał tak długo i dobrze.

Nie wiem, czy znajdzie się na to lepszy dowód niż karteczka, którą napisał dla siebie samego podczas ostatniego pobytu we Włoszech, 22 kwietnia 1994 r., odnalezio-

na po wielu latach w jego archiwum. „Nie jestem w najlepszej formie fizycznej, mam te 81 lat na karku, co dzień naokoło umierają młodsi ode mnie, może i mnie wkrótce pożegnać się z tym światem" – notuje w jednej ze swoich ukochanych rzymskich kawiarni. „Tu chciałbym zapisać kilka przyczyn (nie najważniejszych!), dla których – jeśli Pan Bóg pozwoli – chciałbym pożyć jeszcze trochę, by zrobić, czy też powiedzieć, kilka rzeczy, które uważam za ważne. Mianowicie chciałbym jeszcze napisać kilka artykułów (takich, których się nie da napisać na kolanie...)".

Jakie to artykuły? Wymieńmy pierwsze dwa, bo pokazują całego Turowicza, jego stosunek do świata, do Kościoła, także do Jana Pawła II. „1) O wspaniałym, profetycznym projekcie Ojca Świętego, spotkania – w związku z nadchodzącym tysiącleciem – na górze Synaj przedstawicieli chrześcijaństwa, judaizmu i islamu oraz o potrzebie, by Kościół zrobił »rachunek sumienia« ze swoich grzechów. (Nikt tego tak jasno przed Janem Pawłem II nie powiedział!) 2) Artykuł o Małej Siostrze Magdalenie od Jezusa i o założonej przez nią wspólnocie Małych Sióstr, jednym z najważniejszych i najpiękniejszych »znaków czasu« w życiu Kościoła dziś. (Artykuł ten »noszę« w sobie od 5 lat, w napisaniu jego ciągle mi przeszkadzają tematy bynajmniej nie ważniejsze, ale – na pozór przynajmniej – pilniejsze.)".

Dalej mowa o tekstach o narodzie, nacjonalizmie, patriotyzmie, internacjonalizmie, kosmopolityzmie i szowinizmie, a także o suwerenności państwowej i ograniczeniu jej przez prawa człowieka, oraz o antysemityzmie. A na koniec: „Kościół ubogich". „Pisałem na ten temat dwa albo trzy razy. Nie dosyć. Ludzie nie rozumieją, że ubodzy mają pierwsze miejsce w Kościele Chrystusowym i co z tego wynika...".

Bilety do raju

Zanotujmy na marginesie, że te najważniejsze dla niego sprawy nie schodzą wciąż z „Tygodnikowej" agendy. Bez porównania istotniejsze jest jednak to, że nie schodzą z agendy kościelnej.

„Niektórzy mówią, że czas jest niedobry dla Kościoła. Że wiara i Kościół są z wielu stron atakowane. Co by napisał Pan Jerzy? – pytał bp Grzegorz Ryś w kazaniu podczas mszy za Annę i Jerzego Turowiczów w styczniu 2012 r. – Zapytałby zapewne, dlaczego katolicy w Polsce nie mają być traktowani jak dorośli ludzie. I napisałby coś więcej, bo tak pisał 50 lat temu, kiedy zaczynał się Sobór i kiedy w komunistycznej Polsce było rzeczywiście ciężko: że jeśli Kościół znalazł się w sytuacji, która mu nie sprzyja, to tym bardziej musi być radykalny, tym bardziej musi żyć Ewangelią i tym dokładniej musi robić rachunek sumienia".

WOJCIECH DRUSZCZ / ARCHIWUM „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Na kolegium redakcyjnym, Kraków, 1995 r.

Jest taki tekst Pana Jerzego, który obecny metropolita łódzki uczynił wówczas sednem swoich rozważań: „Źródłem postawy otwartej w Kościele nie jest poczucie zagrożenia Kościoła, lecz poczucie zagrożenia świata. Zagrożenia przez rosnącą niewiarę, dechrystianizację"... „To niesamowite stwierdzenie – komentował bp Ryś. – Kiedy w świecie rośnie niewiara, dechrystianizacja, to zagrożony jest świat, nie Kościół – w tej obserwacji zawiera się rzeczywiste rozumienie tego, po co Kościół jest. Bo Kościół nie ma się bać świata, on ma się bać o świat. I nie ma się bać człowieka, ale o człowieka – tym bardziej ma się o niego bać, kiedy ten człowiek jest zdechrystianizowany. W ostateczności przecież wszystkie problemy świata i człowieka są pochodną kryzysu duchowego – rodzą się (najgłębiej rzecz ujmując) na poziomie ducha. A kto – jeśli nie Kościół – ma zejść z człowiekiem i światem na ten właśnie poziom, z odpowiednim do niego lekarstwem?!". Słowa te padły ponad rok przed wyborem kard. Jorgego Bergoglia na papieża i półtora roku przed wywiadem, w którym Franciszek mówił o Kościele jako szpitalu polowym...

Kiedy Jerzy Turowicz umierał, można było myśleć, że za lata swojej pracy dla Kościoła nie otrzymał należnej mu nagrody na ziemi (co do nagrody w niebie, mówił kiedyś w wywiadzie dla KAI, że jego biletem do raju jest to, że starał się służyć bliźnim, służyć ludziom, służyć Kościołowi i służyć Panu Bogu, tak jak umiał, a bezpośrednio – że biletem tym jest... „Tygodnik Powszechny"). W posłowiu do jego „Pism wybranych" Krzysztof Kozłowski, odpowiadając na pytanie, czy jego przyjaciel i szef mógł mieć poczucie porażki albo goryczy, mówił jednak, że problem nie polegał na niechęci ze strony części hierarchii i prawicowych publicystów po liście Jana Pawła II. „Wydaje mi się, że miewał momenty, kiedy zadawał sobie pytanie, czy całe jego życie, praca miały jakiś sens". Chodziło jednak o kwestie bardziej fundamentalne, np. czy świat stanie się choć odrobinę „bardziej ludzki", o co nierzadko upominał się w swojej publicystyce.

Na pytanie, czy świat stał się „bardziej ludzki", każdy z nas odpowiada pewnie po swojemu. Podczas swoich 85. urodzin Jerzy Turowicz mówił, że największy dar, jaki człowiek może dostać na ziemi, już otrzymał. Był to dar miłości i przyjaźni.

©℗

MICHAŁ OKOŃSKI

Andrzej Heidrich, autor portretu Jerzego Turowicza na str. 12-13, to jeden z najwybitniejszych polskich grafików. Zaprojektował wszystkie polskie banknoty używane od lat 70. Portret jest częścią jego plakatu na 70-lecie „Tygodnika", który ukazał się w pierwszym numerze „Kanonu", zawierającego najlepsze teksty z historii „TP".

PAWEŁ

Śpiewak:
Spryt Batszeby

Batszeba pojawia się w opowieści o Dawidzie trzykrotnie. Za pierwszym razem dowiadujemy się, że na podwórzu pałacowym naga brała kąpiel. Podejrzał ją Dawid i pod wpływem nagłej żądzy kazał, by się natychmiast przed nim stawiła. Tak też się stało. Dawid posiadł ją. Przedstawiona została jako bierna ofiara męskiej chuci. Kilka tygodni czy miesięcy później słyszymy pierwszy raz jej słowo: informuje Dawida, że jest w ciąży.

W drugiej scenie Batszeba jest już odwrotnością ofiary. Konspiruje z prorokiem Natanem, chcąc umieścić swego syna Salomona na tronie. Oszukuje męża, powołując się na fikcyjną (jak się wydaje) jego obietnicę i na litość. Okazało się, że była dość wprawiona w dworskich grach o władzę. Wiedziała, że gdyby Adonijah, starszy syn Dawida, został królem, oznaczałoby to śmierć dla niej i dla całej grupy spiskowców. Promuje swojego syna i udaje jej się niemal drogą zamachu osiągnąć swój cel. Z bliżej nieznanego powodu Dawid każe bezzwłocznie, w szabat, koronować jej syna, tak by uprzedzić jego brata szykującego się do przejęcia władzy i postawić go przed faktami dokonanymi.

Batszeba pojawia się po raz trzeci w przedziwnej i mało wiarygodnej opowieści (1 Krl 2,12nn). Adonijah prosił ją o wstawiennictwo u króla Salomona, by ten zgodził się oddać mu nałożnicę Dawida, Abiszag, za żonę. Salomon miał poczucie, że jego brat spiskuje przeciw niemu i że w ten sposób chce odebrać mu koronę. Cała ta historia wygląda nieprawdopodobnie i zdaje się być tylko usprawiedliwieniem zabójstwa przyrodniego brata. Ale pozostaje pytanie: dlaczego w tej scenie pojawia się Batszeba. Czy rzeczywiście chciała pomóc Adonijahowi, czy też ostrzegła swego młodziutkiego syna przed niebezpieczeństwem i poradziła mu, by pozbył się na dobre konkurenta do tronu.

Gdy znamy już wszystkie sytuacje, w których pojawia się nęcąca Batszeba, możemy spojrzeć uważniej na pierwszą historię, w której występuje jako ofiara chuci królewskich. Komentatorzy uważali, że Dawid został przez Batszebę pokuszony do grzechu i że zrobiła wszystko, by tylko mieć z nim dziecko. W kulturze biblijnej (począwszy od historii Tamar i Judy) kobieta może stać się kimś, zyskać władzę i wpływy tylko przez seks. Batszeba wiedząc, że Dawid był łasy na urodziwe, młode dziewczyny, tak zaaranżowała swoją kąpiel, by król zechciał ją zobaczyć z tarasu i do siebie przywołać. To zapewniało jej przyszłość. To, że miała już męża Uriasza, znaczyło niewiele. Pozbyli się go szybko i Batszeba znalazła się na królewskim dworze. Po urodzeniu drugiego dziecka uznała, że musi zadbać o nie i tym samym o swoją przyszłość. Imię Salomon ma wiele znaczeń. Dla jednych pochodzi od słowa pokój (*szalom*), ale bywa też rozumiane jako „zastępujący". Czy miał zastępować przedwcześnie zmarłe dziecko, Uriasza, a może Dawida? To ona nadała Salomonowi imię i mogła je wybrać właśnie z taką dalekowzroczną myślą.

Batszeba miała więcej sprytu, zaradności, charakteru, niż to wydaje się po pierwszej lekturze Księgi. Osiągnęła wyjątkowo dużo. Stała się matką i pramatką królów. O niej i jej synu czytamy tysiące książek i legend. Weszła do wielkiego mesjańskiego kręgu, a stało się to dzięki cudzołóstwu. Zostało ono ukarane śmiercią jej pierworodnego, nagrodzone synem, królem zjednoczonego Izraela i Judy. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Przerażający Bóg

Izraelici, przerażeni sposobem objawiania się Boga, proszą Mojżesza: „Niech już więcej nie słyszę głosu Pana, mojego Boga, ani nie oglądam tego wielkiego ognia, abym nie umarł". Bóg odpowiedział: „Słusznie powiedzieli. Wzbudzę im proroka spośród ich braci, takiego jak ty, i pouczę go, co ma mówić, a on powie im wszystko, co rozkażę". Za apostołami wierzymy, że tym prorokiem, i kimś jeszcze nieskończenie więcej, jest Chrystus, a Jego obecność potwierdza „świeckie" życie, zwyczajny chleb, wino, woda, mowa, obrzęd, liturgia, a przede wszystkim to, jak Jezus zmienia naszą mentalność.

Mimo to Bóg nadal przeraża, choć trudno nam to przyznać. Rodzi się jak każdy człowiek, szuka schronienia w zagrodzie dla zwierząt i w sąsiednim kraju, Bóg kompromitowany, nękany, wydany na pastwę skorumpowanych polityków i kapłanów, wiszący na krzyżu, opuszczony prawie przez wszystkich, i na koniec umierający, wykrztuszający z siebie przerażające słowa: „Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił", po których nie wiadomo, czy postawić znak zapytania, czy wykrzyknik, czy może jedno i drugie. Przeraża nas, a nawet gorszy słabość Boga tak bardzo, że czasami, na różne sposoby, chcemy Bogu dodać blasku, mocy, potęgi.

Przeraża też coś jeszcze innego. Jezus był prześladowany i skazany na mocy prawa wydanego przez Boga. Oskarżono Go przecież o to, że jest fałszywym prorokiem, przypisującym sobie cechy Boga. Jednak to nie ogrom cierpienia i podłości, na jakie został wystawiony Jezus, najbardziej przeraża, ale raczej Jego postawa wobec wszystkiego, co go spotkało. Czujemy bowiem podskórnie, że podobnie jak w sposobie życia Jezusa odzwierciedlał się styl życia Boga, tak i w naszym życiu powinno dziać się podobnie.

Paweł Apostoł mówi: „Bądźcie więc naśladowcami Boga jak umiłowane dzieci i żyjcie w miłości na wzór Chrystusa, który nas umiłował i samego siebie wydał za nas jako dar i ofiarę dla Boga, jako miłą woń".

Miła woń, za papieżem Franciszkiem możemy powiedzieć: po zapachu naszych słów i czynów powinniśmy poznać, jakiego jesteśmy ducha – Złego czy Dobrego? Simone Weil zauważa: „Nie po sposobie, w jaki człowiek mówi o Bogu, ale po sposobie, w jaki mówi o rzeczach ziemskich, poznajemy najlepiej, czy jego dusza była w ogniu miłości do Boga. Żadne przebranie nie jest tu możliwe. Bywają naśladownictwa miłości do Boga, ale nie można naśladować przemiany, jakiej dokonuje ona w duszy, bo nie ma się żadnego pojęcia o tej przemianie, jeżeli się przez nią samemu nie przeszło".

A zatem, jak np. pachnie takie zdanie: „Wezwania (Franciszka) do przyjmowania i otwierania się na imigrantów uważam za przejaw nieroztropności". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Stań w środku!

Jeśli nie chcesz odpaść od miłości Boga, nie pozwól bratu zasnąć zagniewanym na ciebie, ani sobie nie pozwól zasnąć zagniewanym na brata.

MAKSYM WYZNAWCA

Rabbi Lewi Icchak powiedział: „Zazdroszczę faraonowi. Jaka chwała dla Imienia Pańskiego wyrosła z jego zatwardziałości".

Z OPOWIEŚCI CHASYDÓW

DOMENA PUBLICZNA X2

Wybrał PIOTR SIKORA

Czytamy ostatnio w kościele na Eucharystii Ewangelię św. Marka. Kilka dni temu byliśmy świadkami sporu Jezusa z faryzeuszami, oburzonymi zachowaniem Jego uczniów: oto w szabat – idąc za Jezusem – „zaczęli po drodze zrywać kłosy" (łamiąc przykazanie szabatowego odpoczynku, zob. Mk 2, 23-28).

„To szabat został ustanowiony dla człowieka, a nie człowiek dla szabatu" – odpowiedział Jezus swoim adwersarzom. I tę ogólną tezę poparł przykładem: „Czy nigdy nie czytaliście, co uczynił Dawid, kiedy był głodny on i jego towarzysze? Jak wszedł do domu Bożego... i jadł chleby pokładne, które tylko kapłanom jeść wolno, i dał również swoim towarzyszom" (por. 1 Sm 21).

„Szabat został ustanowiony dla człowieka" – nie chodzi o to, że człowiek ma być centrum wszystkich religijnych instytucji, i że mają się one kręcić wokół niego, służąc wyznaczanym przez niego celom.

Chodzi natomiast o to, że ogłaszając człowiekowi Boże prawa i wzywając go do posłuszeństwa Bożym przykazaniom, trzeba się zwracać do niego z Bożą miłością. Prawo i kult, nakazy i zakazy – są podarowane człowiekowi przez kochającego go Boga. W tym sensie są „dla niego"; nigdy nie są „przeciw" niemu. Bóg nie daje przykazań człowiekowi po to, by go ograniczać (wręcz okraść), czegokolwiek pozbawiać i unieszczęśliwiać.

Kto nie chce patrzeć na człowieka Bożymi oczyma, niech nie waży się ogłaszać mu Bożej nauki.

Bóg nie zabiera (nie kradnie) – Bóg obdarowuje. Właśnie dlatego Bóg chciał się podzielić „swoim" chlebem z Dawidem i jego towarzyszami.

Byli w potrzebie.

Byli głodni.

To wystarczyło, by mogli się nasycić chlebami podarowanymi Bogu.

Zresztą, czy otrzymali wówczas od Pana jedynie chleb? Czy Pan zaspokoił wtedy jedynie ich fizyczny głód? Czy Jezus bez powodu przypomina – znającym się przecież na przepisach świątynnych – faryzeuszom, że tamte chleby mogli spożywać jedynie kapłani?

A może Bóg pozwolił wówczas Dawidowi i jego żołnierzom odkryć na nowo prawdę, że każdy z nich należy do „Ludu Kapłańskiego"? Że noszą w sobie kapłańską godność – że stanowią szczególną Bożą własność: że należą do Pana – tak jak owe chleby pokładne; mogą więc po nie (nie bez należnej bojaźni) sięgnąć.

Pan nie zadowala się zaspokojeniem jedynie naszych elementarnych potrzeb. Dając nam chleb, prowadzi nas dalej – ku darom, bez których nie możemy być jako ludzie w pełni nasyceni.

Ostatecznie liczy się przecież nie to, co od Niego otrzymujemy, lecz to, kim się w relacji z Nim stajemy.

Wszystko to potwierdza zaraz następny Markowy epizod: Jezus w szabat uzdrawia w synagodze człowieka, który ma uschłą rękę. Zanim to uczyni, wydaje mu polecenie: „Stań w środku!" (Mk 3, 3).

Właśnie tak. W centrum – „w środku" – rzeczywistości Kościoła, jego działań, duszpasterstwa i myślenia musi zostać postawiony człowiek (w szczególności cierpiący człowiek). A nie prawo: struktury, rytuały i przepisy. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (28 I – 4 II)

4. niedziela zwykła: Pwt 18, 15-20; Ps 9; 1 Kor 7, 32-33; Mk 1, 21-28;
Poniedziałek: 2 Sm 15, 13-14. 30; 16, 5-13a; Ps 3; Mk 5, 1-20;
Wtorek: 2 Sm 18, 9-10. 14b. 24-25a. 31 – 19, 3; Ps 86; Mk 5, 21-43;
Środa: 2 Sm 24, 2. 9-17; Ps 32; Mk 6, 1-6;
Czwartek: 1 Krl 2, 1-4. 10-12; 1 Krn 29, 10-11ab. 11cd-12; Mk 6, 7-13;
Piątek, Święto Ofiarowania Pańskiego: Mi 3, 1-4; Ps 24; Hbr 2, 14-18; Łk 2, 22-40;
Sobota: 1 Krl 3, 4-13; Ps 119; Mk 6, 30-34;
5. niedziela zwykła: Hi 7, 1-4. 6-7; Ps 147A; 1 Kor 9, 16-19. 22-23; Mk 1, 29-39.

TRĘDOWATA

Los Hanny Gronkiewicz-Waltz to symbol sytuacji, w jakiej znalazła się cała Platforma Obywatelska. Niegdyś niepokonana, dziś tonie pod ciężarem własnych błędów, pychy i niefrasobliwości.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA GAZETA

To koniec jednej z najważniejszych politycznych karier ostatniego ćwierćwiecza. Gdy rok temu Hanna Gronkiewicz-Waltz zdała sobie sprawę, że rozwijająca się w stołecznym Ratuszu przez trzy kadencje jej rządów afera reprywatyzacyjna to nie przelewki, na gwałt zaczęła szukać ratowników, którzy wyciągną ją z kłopotów. Było już jednak za późno – najlepsi czarodzieje politycznego marketingu odmówili, uznając, że sprawa jest beznadziejna i nie chcą się stać twarzami porażki. W tym samym czasie od pani prezydent zaczęła się odsuwać jej własna partia, której była przez lata wiceszefową. Dziś Gronkiewicz-Waltz jest zupełnie sama. Tak odchodzą politycy upadli.

Sojusz z liberałami

Nie była związana ze środowiskiem gdańskich liberałów, w którym zrodziła się Platforma. Ale – paradoksalnie – dzięki temu jej życiorys idealnie ilustruje budowanie potęgi i upadek PO. Trafiła do niej bowiem w kluczowym dla partii momencie – tuż przed podwójnymi wyborami w 2005 r., sensacyjnie przegranymi z PiS.

Wróciła akurat z zagranicy – od 2001 r. pracowała w londyńskiej centrali Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju, gdzie spotykała m.in. byłego premiera i lidera liberałów gdańskich Jana Krzysztofa Bieleckiego. Po powrocie do Polski szukała dla siebie miejsca w polityce w nowo tworzonych prawicowych partiach, które miały ambicje przejąć władzę po upadającym SLD Leszka Millera. Odpadał PiS, bo od lat 90. miała z braćmi Kaczyńskimi nie najlepsze relacje.

Platforma była więc pragmatycznym wyborem. Relatywnie młoda, licząca niespełna pięć lat partia, zaczęła w tamtym czasie rozszerzać swe wpływy poza dawne środowisko gdańskich liberałów i przyciągała takich jak ona polityków centroprawicy, bezprizornych i antykaczyńskich. To był początek zjawiska, która wkrótce wyniosło PO do władzy i pozwoliło ją utrzymać przez dwie kadencje.

Twarz wojny z PiS

Gdy po wyborczym zwycięstwie PiS utworzyło kontrowersyjną koalicję z Samoobroną oraz Ligą Polskich Rodzin, Platforma obrała wyraźny kurs na zwarcie z Kaczyńskimi. To wyniosło Gronkiewicz-Waltz jeszcze wyżej. Stała się twarzą pierwszej jawnie wrogiej kampanii wyborczej obu ugrupowań – w wyborach samorządowych w 2006 r. zdobyła fotel prezydenta Warszawy, pokonując nieznacznie byłego premiera z PiS Kazimierza Marcinkiewicza.

Antypisowska metropolia kupiła ją w obawie przed rządami PiS w stołecznym Ratuszu. Od tej pory podobnie będzie we wszystkich kolejnych wyborach – to także zjawisko zbieżne z linią całej Platformy, która przez lata budowała swą pozycję na straszeniu Jarosławem Kaczyńskim.

To z jej Warszawy Platforma poprowadziła polityczny atak strachem, który skończył się odebraniem PiS władzy jesienią 2007. Lider PO Donald Tusk przeniósł się z Gdańska na stołeczną listę PO, żeby zderzyć się wprost z Jarosławem Kaczyńskim – po zwycięstwie Gronkiewicz wiedział, że ten pojedynek wygra w cuglach. Dostał ponad pół miliona głosów, podczas gdy Kaczyński niespełna 274 tys. W stolicy PO zyskała 54 proc. poparcia, PiS dwukrotnie mniej. W ten sposób Tusk został premierem, a Gronkiewicz umocniła się na stanowisku wiceszefowej Platformy.

Jej wszyscy patroni

Choć nigdy nie należała do ścisłego dworu Tuska, bez wątpienia to on był jej patronem, bez niego byłaby w partii ciałem obcym. Zresztą zawsze w polityce miała takich patronów. Pierwszym był Lech Wałęsa, drugim próbował być – nieudolnie – Ryszard Czarnecki, trzecim – nieco przez przypadek – stał się Aleksander Kwaśniewski.

Hanna Gronkiewicz-Waltz, Muzeum Warszawy, październik 2017 r.

Do polityki trafiła na początku lat 90. dzięki Wałęsie. Ówczesny prezydent wskazał ją na prezesa Narodowego Banku Polskiego – była specjalistką od prawa bankowego. Rekomendował ją Wałęsie jego kontrowersyjny prawnik prof. Lech Falandysz, ekspert od naginania konstytucji. Znali się z Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego.

Już wcześniej Gronkiewicz-Waltz sympatyzowała z Wałęsą – kandydowała do parlamentu z list prowałęsowskiej, marginalnej partyjki Victoria. W wyborach 1991 r. partia zyskała żenujące poparcie, kilka tysięcy głosów, głównie w Warszawie.

Niechętny Wałęsie Sejm początkowo jej nie wybrał i – objęła stanowisko dopiero za drugim podejściem, wiosną 1992 r., gdy posłowie ugięli się pod groźbami Wałęsy, że ich rozgoni.

Falandysz specyficznie reklamował ją podczas sejmowej prezentacji:

„Nie powinniśmy przeceniać znaczenia praktyki kandydata w dotychczasowym systemie bankowym. Podobnie mało przydatny byłby dzisiaj fachowiec z Zachodu. Zachodnie standardy i przyzwyczajenia jeszcze do nas nie pasują. Nieporozumieniem jest także pogląd, że szefem banku centralnego powinna być znana osobistość polityczna. Wielkie osobistości nie lubią ani zamiatać, ani uprzątać gruzu. Potrzebny jest człowiek, który nie będzie traktował swojej pracy jako kolejnego szczebla w wielkiej karierze. Czy muszę więc Sejmowi przypominać stare polskie porzekadło o tym, kogo trzeba posłać tam, gdzie nawet sam diabeł nie może?". Ten sztampowy *bon mot* wywołał oklaski i wesołość na sali. A historia odda sprawiedliwość tej decyzji.

Z ust papieża

Zdradziła Wałęsę w najtrudniejszym dla niego momencie. W wyborach prezydenckich 1995 r. wyzwanie rzucił mu popularny lider SLD Aleksander Kwaśniewski. Nie stanęła po stronie swego patrona, przeciwnie – wbiła mu nóż w plecy, ogłaszając swój start i próbując odebrać mu elektorat.

To wówczas po raz pierwszy publicznie zaczęła się prezentować jako polityk ultrakonserwatywny, bliski Kościołowi. Popierały ją same partie i organizacje prawicowe.

Jarosław Kaczyński tak to wspominał w książce „Polska naszych marzeń": „Od 1994 roku pracowałem nad wspólnym kandydatem szerszego obozu prawicowego. Nie byliśmy w stanie znaleźć kandydata. Później już Wałęsa, jego zaplecze i służby zaczęli prawicę rozgrywać. Wykorzystano Hannę Gronkiewicz-Waltz, ↦

WOJCIECH DRUSZCZ / AGENCJA GAZETA

Hanna Gronkiewicz-Waltz jako kandydatka na urząd Prezydenta RP wraz z Ryszardem Czarneckim podczas kampanii wyborczej na bazarze w Lublinie, październik 1995 r.

↦ aby jej kandydatura usunęła strach prawicy przed Wałęsą. Powstał pomysł, że niby Wałęsa akceptuje Gronkiewicz-Waltz i ona zostanie prezydentem, a po jej kadencji znowu wystartuje Wałęsa. To było zręczne, bo duża część prawicy poparła Gronkiewicz-Waltz, sądząc, że nie wchodzi ona w konflikt z Wałęsą. Jej kandydatura zamknęła możliwości znalezienia jakiegoś innego wspólnego kandydata, co i tak pewnie byłoby bardzo trudne. Później ją »załatwiono«, mówiąc, że miała jakieś fatalne incydenty w życiu".

W kampanii jej głównym patronem pragnął zostać ówczesny lider ZChN Ryszard Czarnecki, dzisiejszy europoseł PiS. Tak po latach wspominał: – Nasza kandydatka nikogo nie słuchała, popełniała kardynalne błędy w kampanii i na dodatek skłóciła się z Radiem Maryja. Prosiłem, by wycofała się z wyborów, bo rozdrabnia głosy obozu solidarnościowego, a ona zaczęła mi tłumaczyć, że sondaże są nieistotne, że ona wygra, ponieważ tak chce Pan Bóg. Dodała też, że z ruchu warg papieża Jana Pawła II podczas jego pielgrzymki do Skoczowa odczytała: „Hanno, będziesz prezydentem".

Okazało się ponad wszelką wątpliwość, że Gronkiewicz-Waltz źle odczytuje znaki niebios. Dostała kompromitujące 3 proc. poparcia. A Wałęsa ostatecznie przegrał z Kwaśniewskim w drugiej turze.

Jak gdyby nigdy nic wróciła do swych obowiązków w NBP. I szybko znalazła wspólny język z nowym, postkomunistycznym prezydentem – doszło nawet do tego, że na początku 1998 r. na wniosek Kwaśniewskiego została wybrana przez Sejm na drugą kadencję w NBP. Potem był Londyn, Platforma i Warszawa.

Teflonowa dama

Za swych rządów w stolicy Gronkiewicz-Waltz zachowywała się tak, jakby władza była jej dana raz na zawsze.

Rzeczywiście, mimo wpadek, przez lata nic się do niej nie przyklejało. Opóźnienie budowy drugiej linii metra, zalanie ważnego tunelu komunikacyjnego, fatalnie odśnieżane miasto podczas rekordowo obfitej zimy, zadyma z policją podczas eksmisji hali kupieckiej w centrum – przez długi czas wszystko spływało po niej jak po kaczce.

Znów: podobnie było na poziomie ogólnopolskim – za rządów Tuska program rządu zastąpiła pycha, jako że sam lider oznajmił wszem i wobec, że „nie ma z kim przegrać". Wierzył, że teflon nigdy się z Platformy nie zetrze.

I tak jak Tusk w skali kraju, tak Gronkiewicz w stolicy zlekceważyła to, że czuć było coraz większe znużenie PO. Referendum w sprawie jej odwołania w 2013 r. było pierwszym sygnałem ostrzegawczym. Ocaliła ją tylko niska frekwencja, przez co wynik nie był wiążący. Nawet kolejna wygrana kadencja w 2014 r. była pyrrusowym zwycięstwem – kandydat nielubianego w stolicy PiS Jacek Sasin deptał jej po piętach, wywalczył niemal 42 proc. Jakaż to była zmiana w porównaniu z 2010 r., gdy Gronkiewicz-Waltz wygrała w pierwszej turze.

Dwa ciosy i nokaut

I gdy pani prezydent pełna samozadowolenia snuła dalsze polityczne plany – prezydentura Polski w 2020 r., premierostwo, może chociaż ważne ministerstwo? – dostała pierwszy cios. W wyborach parlamentarnych w 2015 r. w Warszawie sensacyjnie zwyciężyło PiS, a PO straciła władzę w kraju. A potem przyszedł nokaut – w 2016 r. wybuchła afera reprywatyzacyjna.

Choć w stolicy od lat działy się dziwne rzeczy z nieruchomościami, to punktem zwrotnym było podejrzane przejęcie przez grupę prawników i biznesmenów najdroższej działki w mieście pod przedwojennym adresem Chmielna 70, tuż przy Pałacu Kultury i Nauki. To, lekko licząc, grunty warte 150 mln zł. Po tym skandalu zaczęły na jaw wychodzić kolejne, kompromitując rządy Gronkiewicz w stołecznym Ratuszu.

Byli tacy, którzy czuli pismo nosem wiele lat wcześniej. Już od 2008 r. stołeczni posłowie PO – w tym szef mazowieckich struktur Andrzej Halicki – pukali do gabinetu pani prezydent z projektem cywilizującym reprywatyzację w stolicy. Spadkobiercy dawnych właścicieli mieli dostać zwrot części wartości nieruchomości, a płatności miały być rozłożone na lata, wzorem przepisów dotyczących tzw. mienia zabużańskiego, czyli majątków znacjonalizowanych w latach 1939-40 przez ZSRR.

Gronkiewicz przeganiała ich na cztery wiatry, podejrzewając o próby załatwienia jakichś własnych interesów. Czerwona lampka nie zapaliła się jej nawet, gdy reprywatyzacyjne rekiny zaczęły przejmować nieruchomości, w których znajdowały się instytucje publiczne, w tym szkoły. Bezwiednie, automatycznie eksmitowała placówki, przenosząc je w inne miejsca. Nie rozumiała potencjału rodzącego się społecznego buntu albo go bagatelizowała.

Gdy na trop afery wpadły gazety, było już za późno. Lawina ruszyła i trudno ją było zatrzymać. Z dnia na dzień los się odwrócił – cokolwiek pani prezydent by zrobiła, były z tego wyłącznie kłopoty.

Symboliczny przekręt Platformy Obywatelskiej

PiS, które po wyborach w 2015 r. zarzucało Platformie złodziejstwo i rozrzutność na masową skalę, potrzebowało takiej afery jak kania dżdżu. Pozostałe kandydatki na symboliczny przekręt epoki Tuska były dęte, mało efektowne lub wcale nie stanowiły afer. A tu było wszystko, czego potrzeba: milionerzy przejmujący grunty na pod-

stawie lewych dokumentów, biedni eksmitowani ludzie, upadli adwokaci i kontrowersyjne wyroki sądów, czyściciele kamienic i podejrzane śmierci lokatorów.

Wszystkie wcześniejsze próby osłabienia Gronkiewicz-Waltz spaliły na panewce, choć PiS sięgnął wobec niej po całą paletę swych możliwości. CBA prześwietlało oświadczenia majątkowe urzędników, Inspekcja Transportu Drogowego wykluczała z ruchu stołeczne autobusy, badano nawet system gospodarowania odpadami.

Gronkiewicz-Waltz z ochotą weszła w zwarcie, licząc, że pomoże to zmobilizować elektorat antyrządowy. Po swojemu liczyła demonstracje KOD, stosując metody drastycznie zwiększające ich liczebność. Gdy PiS walczyło z Brukselą w sprawie Trybunału Konstytucyjnego, ona zapraszała do Warszawy wiceszefa Komisji Europejskiej, którego zaprosić nie chciał rząd. Gdy CBA weszło do ratusza, kpiła: – Widzę w tym rączkę Mariusza Kamińskiego.

Zwierzyna łowna

Jednak gdy PiS powołało speckomisję reprywatyzacyjną kierowaną przez Patryka Jakiego, pani prezydent stała się zwierzyną łowną. Jaki chciał ją wzywać niemal do każdego adresu, który badała komisja. Ignorowała (i wciąż ignoruje) komisję, zarzucając jej działanie niezgodne z prawem.

Dla PiS zaletą afery reprywatyzacyjnej było to, że Gronkiewicz sama tkwiła w niej po uszy – rodzina jej męża sama odzyskała udziały w kamienicy, kupionej po wojnie od szmalcownika, który przejął ją na podstawie sfałszowanych dokumentów. Kamienica Waltzów to był gwóźdź do trumny, bo wykaraskać się z tej historii nie była już w stanie.

Zaczęła tonąć. Reprywatyzacyjna ośmiornica okazała się dla niej tym, czym dla rządów Platformy była afera taśmowa – szybkim i efektownym upadkiem, którego kontrolować już nie sposób. Aktem rozpaczy było to, że w październiku wyszła na konferencję prasową i oznajmiła, że w Ratuszu działała zorganizowana grupa przestępcza zagarniająca nieruchomości. Tyle że to było dziesięć miesięcy po pierwszych zatrzymaniach. I co najmniej o parę lat za późno.

Od emigracji Tuska i marginalizacji Ewy Kopacz w Platformie jest już praktycznie poza partią. Gdy koledzy naciskali, by dla dobra partii ukorzyła się i stanęła przed komisją Jakiego, zignorowała ich – co samo w sobie pokazuje kondycję partii, w której grupa działaczy nie uznaje przywództwa Grzegorza Schetyny i ma w nosie jego dobre rady. Dobro Platformy nie jest już zresztą jej dobrem: w grudniu oddała bez walki fotel wiceprzewodniczącej partii.

PIOTR MAŁECKI / FORUM

Hanna Gronkiewicz-Waltz jako prezes NBP prezentuje nowe banknoty, które zaczną obowiązywać po denominacji złotego w styczniu 1995 r.

Jak Tusk w skali kraju, tak Gronkiewicz-Waltz w stolicy zlekceważyła to, że czuć było coraz większe znużenie PO. Referendum w sprawie jej odwołania było pierwszym sygnałem ostrzegawczym.

Reprywatyzacyjna ośmiornica okazała się dla niej tym, czym dla rządów PO była afera taśmowa – szybkim i efektownym upadkiem, którego kontrolować już nie sposób.

Ostatnie dni pokazały jednak, że zgody w sprawie komisji nie ma nawet w rodzinie Waltzów. Mąż pani prezydent stawił się na przesłuchanie, a potem – zgodnie z decyzją komisji – zapłacił ponad milion złotych za nieprawidłowości przy reprywatyzacji rodzinnej kamienicy. Tyle samo zwróciła też córka pani prezydent. Choć się odwołują od decyzji komisji, ich przelewy dowodzą, że uznają jej legalność.

Czekając na zarzuty

Jesienią 2016 r, tuż po wybuchu afery, rozmawiałem z mecenasem Robertem N., jednym z jej bohaterów – to on dopinał „reprywatyzację" Chmielnej.

Zapytałem: – Czy kiedyś miał pan sugestię wręczenia łapówki, by dać coś urzędnikowi czy sędziemu?

– Nigdy nie miałem. Proszę też zrozumieć, że jeżeli mam sprawdzone dokumenty, to znajomość z urzędnikiem lub sugestie dawania łapówki są absolutnie irracjonalne. Bo urząd musi wydać decyzję. Inaczej będę skarżył do sądu za bezczynność i sąd zmusi urząd do wydania decyzji.

– Nie pytam, jakie są procedury, tylko czy ktoś sugerował panu wręczenie łapówki?

– Nigdy.

Mecenas stracił nazwisko na rzecz inicjału rok temu, gdy został zatrzymany i aresztowany. Według jednej z wersji w rozmowie z prokuratorami był bardziej szczery, bo liczy na łagodniejszy wyrok. Może próbować ubrudzić także panią prezydent?

W Platformie panuje przekonanie, że Gronkiewicz-Waltz usłyszy zarzuty w sprawie afery reprywatyzacyjnej i będzie to co najmniej niedopełnienie obowiązków. Może przed wyborami samorządowymi? Jakiekolwiek zarzuty bardzo pomogą w kampanii PiS, być może kandydata Jakiego.

Gronkiewicz rządziła Warszawą 12 lat, najdłużej ze wszystkich prezydentów. Po tych właśnie wyborach, jesienią 2018 r., na dobre zniknie ze sceny politycznej. Kandydat PO na prezydenta Warszawy Rafał Trzaskowski był kiedyś jej bliskim współpracownikiem. Dziś swą kampanię na prezydenta stolicy prowadzi w wyraźnej kontrze do rządów Gronkiewicz.

Trudno o mocniejszy dowód na to, że to marny koniec. ©

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stałe współpracuje z „TP".

Obywatelstwo po nokaucie

TADEUSZ SŁAWEK

Racje służące godnemu życiu są wyższe niż racje służące wyłącznie do wygrania następnych wyborów. Politycy o tym zapomnieli.

FILIP RADWAŃSKI / FORUM

Co ma czynić szara obywatelka? Piszę tak nie dlatego, że chciałbym przemówić w imieniu kobiet; potrafią to zrobić lepiej i dobitniej niż ja. „Obywatelka" dlatego, że właśnie kobieta ma dzisiaj szczególne prawo do zadawania ważnych pytań wobec zagrożeń, jakie spotykają ideę obywatelstwa w Polsce. Idea ta polega, z grubsza rzecz ujmując, na chęci nie tylko do wypowiadania własnych racji, ale przede wszystkim do słuchania racji odmiennych niż moje. Dopiero w sytuacji takiej rozmowy, po rozważeniu różnych argumentów, można przejść do ustalania wniosków i stanowienia praw.

Gdy odmawia się rozmowy, a zatem gdy traci się zdolność do wysłuchania Drugiego – otwiera się drogę do wszelkiego rodzaju autorytaryzmów. Równowaga mówienia i słuchania, centrum i peryferii, przepisów prawa i religii oraz etyki – to podstawowe warunki, bez których społeczeństwo obywatelskie nie zaistnieje. Bez takiej równowagi nie ma wspólnoty, są jedynie brutalne rządy (często iluzorycznej) większości. Opierają się one na przeświadczeniu, że mogę robić, co chcę, nie dlatego, że jest to dobre, lecz dlatego, że jest moje. Postawa wielu posłów opozycji w czasie głosowania nad dalszymi losami projektu obywatelskiego uwzględniającego liberalizację możliwości przerwania ciąży oznacza, z punktu widzenia szarej obywatelki, że nastąpiło łagodne wchłonięcie opozycji przez partię władzy.

Prawo do wysłuchania

W społeczeństwie obywatelskim szara obywatelka nie może rościć sobie prawa do tego, by jej racje uznawano za jedyne słuszne; ma natomiast pełne prawo do ich wypowiadania i do tego, by zostały one wysłuchane. Projekt obywatelski z tytułu swej obywatelskości właśnie winien być dyskutowany, niezależnie od tego, czy efektem tej dyskusji będzie pełna realizacja jego postulatów, czy też zostaną one zmodyfikowane. Ale warunkiem podstawowym i niezbywalnym jest podjęcie rozmowy nad tym, co obywatelki zgłosiły.

Sytuacja, do jakiej doszło za sprawą całkiem niemałej liczby posłów PO i Nowoczesnej, ma co najmniej dwie groźne konsekwencje.

Po pierwsze, obie wzmiankowane partie z powodu swego liberalnego rodowodu mają obowiązek poważnego wczytywania się w to, co obywatelki mają do powiedzenia. Niekoniecznie dlatego, by się z wszystkim zgadzać, lecz dlatego, że to głos obywatelski, a bez tego głosu społeczeństwo demokratyczne traci sens. Ten obowiązek został pogwałcony; okazało się, że idea obywatelskości nie ma dla sporej części liberalnych polityków większego znaczenia. Obywatelki zostały więc zostawione same sobie. Nie mam wątpliwości, że sobie poradzą, choć mam nadzieję, że już bez pomocy rzeczonych polityków.

Po drugie, zakłócona została mapa wyborczych upodobań obywatelek. Sceną politycznych wyborów zarządzają trzy partie, które złożyły swym potencjalnym wyborcom konkretne obietnice. Jedną z nich było w przypadku Nowoczesnej i PO wspieranie obywatelek i obywateli w ich dążeniu do mądrzejszego urządzenia stanu spraw ludzkich. Teraz obywatelki albo na PO i Nowoczesną nie zagłosują (czemu trudno się dziwić), albo do urn się nie stawią, co znów wypaczy ideę rządów większości i jeszcze bardziej zaszkodzi przyszłości społeczeństwa obywatelskiego.

Radź sobie sama

Przyczyny rezygnacji z głosowania, jakie podawali posłowie, a także (rzecz w tym przypadku nie bez znaczenia) posłanki były co najmniej niejasne, by nie rzec: kuriozalne.

Chodzić miało już to o względy natury światopoglądowej, już to o nie do końca zrozumiałą postawę partii, jeśli chodzi o dyscyplinę głosowania. Bodaj najbardziej irytujący powód podała profesor Chybicka argumentując, że jej głos jako posłanki opozycji jest bez znaczenia, więc głosowanie nie miałoby i tak sensu. To cios iście nokautujący, po którym obywatelka i obywatel znaleźli się na deskach. W jednym zdaniu zakwestionowano podstawę demokratycznego ładu opartego na odpowiedzialności za stanowione prawo, co w praktyce oznacza dokonywanie wyboru w wyniku przemyśleń i doświadczeń, a nie jedynie dopasowania się do arytmetyki politycznej. Gdy przyjąć argumentację pani profesor, wynika z niej, że społeczeństwo staje się teraz już niemal na zawsze niewolnikiem raz podjętej decyzji, zwalnia się z obowiązku krytycznej oceny sytuacji („po co, skoro i tak to bez znaczenia") oraz petryfikuje *status quo* („dlaczego proponować zmiany, skoro są bez szans natychmiastowego powodzenia"). To, że za tymi propozycjami stoją ludzkie losy i doświadczenia życiowe, praca intelektualna, wysiłek formowania grup obywatelskich, nie odgrywa w karierze naszych polityków większej roli.

Posłowie oraz posłanki PO i Nowoczesnej wysłali sygnał następujący: obywatelko, radź sobie sama, my bowiem wybraliśmy wygodną bezradność, którą zawsze obłudnie zasłonimy moralnymi pryncypiami,

Protest zorganizowany przez Ogólnopolski Strajk Kobiet, Kraków, 17 stycznia 2018 r.

a jeśli to nie wystarczy, usprawiedliwimy się, mówiąc: „Moglibyśmy chcieć, ale po co – przecież i tak jesteśmy w mniejszości". Teraz szara obywatelka już wie, że to język zwodniczy i będzie się miała na baczności.

Polityka równa się arytmetyka

Gdyby szara obywatelka starała się dociekać przyczyn tej sytuacji, mogłaby dojść do mało budującego wniosku, że za wszystkim stoi rosnąca latami niechęć elit politycznych do podjęcia intelektualnej pracy nad stanem społeczeństwa, jego przyszłością i ich własną rolą w kształtowaniu tej przyszłości. Polityka sprowadzona została do pragmatyki realizowania własnych celów bez uwzględnienia tych czynników, jakie mogłyby owym celom przeciwstawić racje odmienne. Stała się nie więcej niż arytmetyką głosów i doraźnym administrowaniem.

Polityka „ciepłej wody w kranie" jest dobitnym przykładem ideowej pustki, podobnie jak obecnie uprawiana polityka historyczna.

Pierwsza doprowadziła do wyjałowienia życia publicznego, nie dostrzegając, jak wiele obywatelek i obywateli jest pozbawionych dostępu do owej metaforycznej „ciepłej wody". W ten sposób powstał zdeformowany obraz społeczeństwa i jego dobrostanu.

Druga nachalnie narzuca kult „żołnierzy wyklętych", nie zważając na protesty historyków. Proponuje nam upojenie jagiellońską wielkością, nie biorąc pod uwagę głosów przekonujących, że lepsze efekty przyniósłby namysł nad okresem Sejmu Czteroletniego. Z jego prób naprawy Rzeczypospolitej wynika jasno, że rację mieli mądrzy działacze w rodzaju Kołłątaja, Staszica, Jezierskiego, gdy wykazywali, że słabość państwa (a w konsekwencji jego upadek) była mniej rezultatem agresji z zewnątrz, a bardziej wynikiem naszej własnej głupoty i słabości.

Szara obywatelka i jej siostry powiedziałyby więc paniom posłankom i panom posłom: „Zrobiliście to ze zwykłego lenistwa i duchowej ospałości, która przeszkodziła wam w podjęciu trudu rozmowy nad tym, co wam przedstawiłyśmy. Do bezradności dołączyliście bezmyślność. Jak panowie szlachta nie chcieli przez stulecia słuchać głosu mieszczan i chłopów, nie dopuszczając ich do rozmowy publicznej, tak wy dzisiaj nie słuchacie głosu obywateli".

Chrześcijaństwo wyciągniętej ręki

Szara obywatelka mogłaby więc powiedzieć za Eurypidesem: „dziś jestem bez miasta, najnędzniejsza z ludzi", bowiem, istotnie, „miasto", w znaczeniu systemu politycznego i jego instytucji, opuściło szarą obywatelkę. Ale nie znaczy to wcale, że powinna ona zwątpić w swoje racje i odstąpić od ich dochodzenia. Porzucona przez urzędników *polis* powinna zacząć konstruować nową *polis*, nowe miasto obywatelskie. Człowiek jest, przekonuje Hannah Arendt, istotą, której dana jest zdolność nieustannego zaczynania na nowo. Zacząć więc trzeba od tego, od czego właśnie odżegnali się politycy: od podjęcia poważnej debaty, z pewnością publicznej, ale przede wszystkim debaty jako rozmowy w najbliższym kręgu sióstr i braci, bowiem od zaprzestania takiej rozmowy zaczyna się psucie życia publicznego.

Nieodzowne będą protesty i marsze – z tego szara obywatelka nie zrezygnuje, i słusznie. Ale będzie pamiętała o napomnieniu Eurypidesa: „Oto co gubi niewątpliwie miasta, / ludzi i rody: nazbyt piękne słowa. / A mówić trzeba nie co miłe uszom, / lecz to, co czyni ludzi szlachetnymi". Szlachetność zaś zaczyna się od aktu dobrej woli, który dopuszcza Innego do obecności i do głosu. Dlatego szara obywatelka będzie, bardzo bym tego pragnął, rozszerzała krąg rozmowy po to, by stało się jasne, że racje służące godnemu życiu są wyższe niż racje służące wyłącznie do wygrania następnych wyborów. Wobec braku liczącej się centrolewicy szara obywatelka będzie budowała stowarzyszenia i związki Ludzi Dobrej Woli, mogące stać się zaczynem ugrupowania obywatelskiego, które – miejmy nadzieję w nieodległej przyszłości – zdobędzie życzliwość wyborców. Ale na razie mówię nie o „partii", lecz „stowarzyszeniach" i „związkach", bowiem o zdolność do towarzyszenia ludziom ↦

↦ w wyzwaniach ich losu, o związanie ich z pragnieniem zmiany będzie tu chodzić, a nie tylko o rachunkowość wyborczą i kunktatorskie gry, będące najczęściej przykładami złej woli.

Przypomnę diagnozę Leszka Kołakowskiego, że „przynajmniej dla części wielkich problemów ludzkości nie ma rozwiązań czysto technicznych czy organizacyjnych, że wymagają one tego, co Jan Chrzciciel nazwał metanoją, przemianą duchową". Szara obywatelka będzie rzeczniczką takiej przemiany. To znaczy, będzie zabiegała o to, by polityka stała się znów poważna. Poważną zaś jest polityka wtedy, gdy przestanie widzieć świat w kategoriach zero-jedynkowych (całe dobro to my, całe zło to oni) i gdy zda sobie sprawę z tego, że jej zadaniem nie jest miażdżenie przeciwnika po drodze do kolejnych wyborów, ale ustanawianie w maksymalnie możliwym konsensusie ram, w których życie ludzkie czyniłoby sens.

Szara obywatelka wezwie więc wraz z Ludźmi Dobrej Woli do szanowania Konstytucji i niezawisłości sądów, do wysłuchania racji kobiet, ich prawa do decydowania o własnym losie, który – wbrew opinii sporej części polityków – nie obsadza ich w roli morderczyń. Wezwie do wysłuchania racji uchodźców, stanie w obronie prawa gościnności, którego złamanie (znów Eurypides) „to sprawa haniebna". Wezwie do głębokiego przemyślenia chrześcijaństwa jako postawy, która nie oznacza zamknięcia we własnym kręgu domowych – cynicznie przez polityków i część hierarchów wykorzystywanych – uprzedzeń, lecz wiąże się z ryzykiem spotkania i wyciągniętej ręki.

Wszak Simone Weil nie bez racji mówiła o chrześcijaństwie jako o „szaleństwie miłości", a nie o szaleństwie egoizmu. Obywatelka wezwie więc do re-chrystianizacji, ale nie Europy, lecz nas samych, tu i teraz w Polsce. Po to, byśmy znów mogli słuchać się wzajemnie, a nie tylko mówić; zawsze głośno i często bez sensu. ©

TADEUSZ SŁAWEK

Cytowałem tragedie Eurypidesa: „Hekabe" i „Hipolit uwieńczony" w przekładzie Roberta Chodkowskiego, oraz Leszka Kołakowskiego „Jezus ośmieszony. Esej apologetyczny i sceptyczny" w przekładzie Doroty Zańko.

PiS w kurniku

JAROSŁAW FLIS

Rządzący chcieliby mieć większy wpływ na wyniki wyborów samorządowych, ale zamiast tego sprowadzą na siebie tylko nowe kłopoty.

Prezydent podpisał zmiany w kodeksie wyborczym. Prolog tego wyborczego thrillera mogliśmy obejrzeć już latem ubiegłego roku, gdy na kongresie PiS w Przysusze prezes Jarosław Kaczyński zapowiedział zmiany w ordynacji. Zgłoszony w listopadzie projekt z podejrzanymi trikami, dopisanymi drobnym druczkiem, miesiąc później został okrojony, a prawie wszystkie triki wylądowały w koszu. Obawy o radykalną zmianę polskiego systemu wyborczego najpierw okazały się przesadzone, później chybione. Ale to nie znaczy, że sytuacja wróciła do punktu wyjścia i zniknęły powody do niepokoju.

Głównym problemem jest organizacja. Na kilka miesięcy przed wyborami zmieniono nie tylko podstawowe procedury prac komisji wyborczych, ale też zdecydowano o wymianie wszystkich urzędników, którzy mają organizować to przedsięwzięcie. Nowi komisarze wyborczy na pewno poradziliby sobie, gdyby nie doszło do głębszych zmian procedur i odwrotnie – starym organizatorom łatwiej byłoby ogarnąć nowe procedury.

Złożenie dwóch głębokich zmian organizacyjnych zawsze potęguje ryzyko wpadek, choćby problemu z rekrutacją dodatkowych dziesiątków tysięcy uczestników procesu wyborczego. Do tego dochodzi ewidentna niedoróbka, jaką jest termin wyborów. Co najmniej jedna tura wypadnie albo 11 listopada (a wciąż nie wiadomo, czy nie odbędzie się wtedy zapowiadane przez prezydenta referendum), albo 4 listopada, w niedzielę po Wszystkich Świętych. To nie ułatwi rekrutacji członków komisji, nie wspominając o wpływie na frekwencję.

Administracja wyborcza została zmieniona od samej góry. Co prawda powołanie nowej PKW odsunięto w czasie, jednak nowy szef Krajowego Biura Wyborczego, od którego jest ona w zasadzie całkowicie zależna, ma być powołany już teraz. Wskaże go minister spraw wewnętrznych, nowy szef może być zatem od razu skonfliktowany z PKW, bo będzie utożsamiany z obozem rządzącym, którego przedstawiciele wielokrotnie rzucali pod adresem obecnej PKW absurdalne oskarżenia. Tak jakby chcieli ją sprowokować do odejścia już teraz lub też wykorzystać jako chłopca do bicia w przypadku kolejnego kryzysu. Oczywiście, są kraje, w których organizacja wyborów spoczywa bezpośrednio na administracji rządowej, ale są to z reguły te państwa, w których bardzo silny status ma służba cywilna i to ona jest za organizację wyborów odpowiedzialna. Natomiast PiS w tym samym czasie zlikwidował instytucję służby cywilnej.

Pawłowicz na komisarza?

Po szefie KBW trzeba będzie powołać stu nowych komisarzy. Kandydaci mają spełniać tylko jeden istotny warunek – być prawnikami. Dorzucony w ostatniej chwili wymóg braku członkostwa w partii politycznej dotyczy czasu sprawowania urzędu, nie przeszłości. To istotna różnica w stosunku do wcześniejszych rozwiązań, gdy na komisarzy powoływano sędziów, którzy są systemowo wyłączeni z aktywności politycznej. Tymczasem w świetle nowych przepisów posłanka Krystyna Pawłowicz, która jest prawnikiem, mogłaby zostać za kilka dni komisarzem, gdyby tylko zrzekła się mandatu i członkostwa w partii. Nie ma oczywiście pewności, że rekrutacja na nowe stanowiska będzie wyglądała w ten sposób, ale jeśli głównym motywem inicjatorów zmian w prawie było zapobieganie nieuczciwościom, to takie rozwiązanie na pewno nie sprawiło, że opozycja może teraz spać spokojnie.

Polityczne afiliacje przedstawicieli aparatu wyborczego nie muszą przecież od razu skutkować cudami nad urną na masową skalę. Większym, bo bardziej realnym, zagrożeniem może się okazać choćby nadgorliwość funkcjonariuszy. Odmowa rejestracji listy jakiejś partii w którymś z powiatów, uzasadniona bzdurnym pretekstem, nie zmieni istotnie wyniku w skali kraju, za to na pewno będzie mieć ogólnokrajowe reperkusje dla partii rzą-

dzącej, uwiarygadniając oskarżenia o nadużycie władzy. Nawet niewinne losowanie numerów list wyborczych może zrodzić dla władzy wizerunkowy kryzysik, gdy pierwszy numer wylosuje partia rządząca.

W dalszej perspektywie kluczowym pytaniem do nowej PKW, powoływanej przez Sejm, będzie zaś to, w jaki sposób podejdzie do rozliczenia kampanii. Doświadczenia Węgier, na których tak bardzo chce się wzorować PiS, pokazują, że restrykcyjne decyzje finansowe uderzające w opozycję mogą być skutecznym narzędziem politycznego nacisku. Już teraz jednym z efektów wprowadzonych zmian jest to, że do debaty publicznej powróciła wiara w systemowe, centralne oszustwa, którą opozycja najwyraźniej zaraziła się od PiS.

Do tego nowa ustawa wprowadza wiele istotnych, nawet jeśli odległych, spraw, których wpływ na życie polityczne kraju jest bezdyskusyjny. Lekkomyślnie wydłużono w Polsce kadencję samorządów do pięciu lat, bez refleksji na temat tego, jak wpłynie to na życie polityczne kraju, rozliczalność władzy w samorządach, ścieżki kariery w działalności publicznej i organizacyjne problemy, które wynikną z nachodzenia na siebie wyborów w kolejnych cyklach.

Równie wątpliwe jest wprowadzenie dwukadencyjności włodarzy. To kwestia odległa w czasie – wpłynie na wyniki wyborów dopiero za 10 lat, a do tego momentu może zostać kilkakrotnie wyrzucona do kosza. Niemniej w sposobie prowadzenia tej sprawy brakuje zrozumienia samych źródeł problemu i efektów proponowanej kuracji. Tak jak w wielu innych kwestiach, sprawia to wrażenie, że zmiany w ordynacji są dziełem felczera-hipochondryka, który najpierw doszukuje się chorób w miejscach, gdzie niekoniecznie one występują, a następnie aplikuje sam sobie nieadekwatne kuracje.

Czego dowiedzieliśmy się dzięki temu o partii rządzącej? Tego, że faktycznie świerzbią ją ręce, by coś pomajstrować przy regułach wyborczych, nie ma jednak rewolucyjnych pomysłów i stąd brak jej determinacji. Wydaje się też, że PiS jest zakładnikiem aktywistów Ruchu Kontroli Wyborów (powstał na fali zarzutów prawicy o manipulacje przy wyborach samorządowych w 2014 r.) i własnej retoryki z przeszłości. W efekcie całe to przedsięwzięcie może zaboleć przede wszystkim samych rządzących, doprowadzając do kolejnego kryzysu przy wyborach samorządowych. Może jednak jest on potrzebny, by wyleczyć się nie tyle z chorób, co właśnie z politycznej hipochondrii. ©

DONAT BRYKCZYŃSKI / REPORTER

Wizualizacja jednego z niezrealizowanych projektów zagospodarowania okolic Stadionu Narodowego w Warszawie, autorstwa pracowni Jems Architekci, 2008 r.

Do kogo należą nasze miasta

BEATA CHOMĄTOWSKA

O przestrzeni teoretycznie wspólnej nadal myślimy w kategoriach siły i pieniądza. Nie zmienią tego żadne „budżety partycypacyjne”.

Najprościej byłoby napisać, że miasto należy do tych, którzy w nim żyją – o często rozbieżnych potrzebach i interesach. Mieszkając w jednej strukturze o jasnych granicach w przestrzeni, powinni mieć wpływ na jej kształt – bezpośrednio, w nieformalny sposób lub poprzez reprezentantów wskazanych w wyborach. Miejskie instytucje, wyposażone w narzędzia do zarządzania tym skomplikowanym tworem, dbają wówczas o utrzymanie go we względnej równowadze: dostosowują się do oczekiwań użytkowników, by każdy czuł się w nim dobrze, a zarazem nie zdominował pozostałych.

To tylko teoria. W praktyce polskimi miastami rządzą kulawe prawo i pieniądz.

Jako towar

Zacznijmy od pieniądza, choć w polskim przypadku oba czynniki są ściśle ze sobą powiązane. Publicyści w Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych od dłuższego już czasu zwracają uwagę, że w tamtejszych miastach dochodzi masowo do prywatyzacji przestrzeni. Gdy spojrzeć na mapę, inwestycje różnych korporacji – czy to w postaci biurowców, centrów handlowych, czy kwartałów nowych budynków mieszkalnych – zaczynają przeważać nad przedsięwzięciami realizowanymi ze środków publicznych czy spółdzielczych. Wyróżniają się też skalą, „wysysając” coraz większe połacie terenów dostępnych dotąd dla wszystkich użytkowników.

Zjawisko to, przybierające na sile, bo przecież nie całkiem nowe (wystarczy przypomnieć, skąd wzięła się choćby nazwa Times Square), widać również w Polsce. Wystarczą dwie historie z Warszawy.

Pierwsza dotyczy rewitalizacji placu Grzybowskiego. Oto zaniedbany i pusty plac, dzięki inwestycji z publicznych środków odzyskuje blask, przemieniając się w skwer pełen atrakcji dostępnych zarówno dla mieszkańców sąsiadujących z nim bloków z wielkiej płyty, turystów, jak i pracowników okolicznych ↦

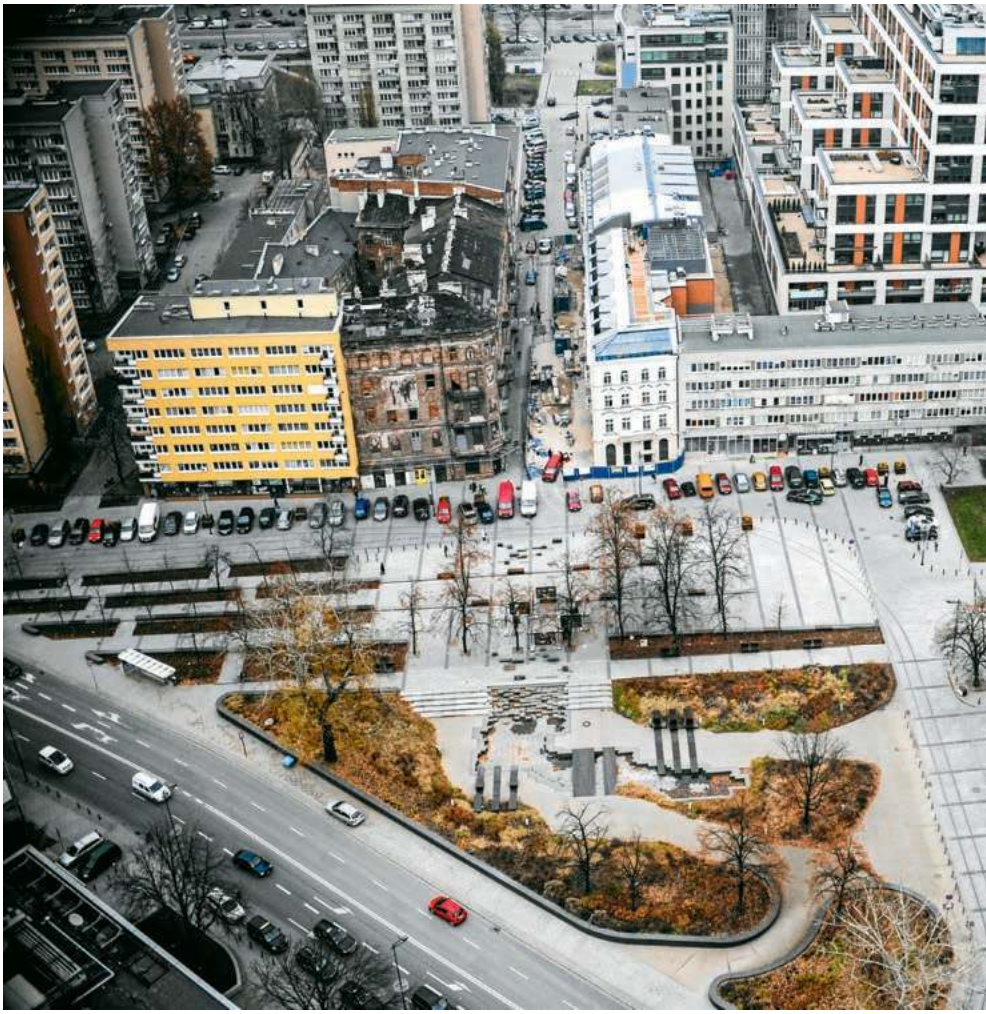

firm. Miejsce zyskuje na atrakcyjności, przyciągając nowe inwestycje. Tych ostatnich, w postaci biur i apartamentowców, wyrasta jednak dookoła tak wiele, że zaczynają nadawać ton okolicy.

Symbolem kolejnej fazy przemian staje się wyburzenie siedziby Teatru Żydowskiego pod kolejny wieżowiec. Wraz z teatrem zniknęła część żydowskiego mikroświata, związanego z placem Grzybowskim od powojnia. Przyrasta za to enklawa bogactwa. Sklepy z luksusowym asortymentem i drogie restauracje wypierają staroświeckie sklepiki z narzędziami, stanowiące część tożsamości rejonu dawnego Grzybowa, całkowicie zmieniając jego charakter.

Inny przykład to poprzemysłowe tereny na dawnym warszawskim „Dzikim Zachodzie", czyli rejon ronda Daszyńskiego, gdzie jeszcze do niedawna utrzymywała się aura opisywana w „Złym" Tyrmanda – kamienice-ostańce, rozpadające się warsztaty, resztówki niegdysiejszych zakładów. Teren owiany nie najlepszą sławą, lecz otwarty dla każdego. Teraz rudery już nie odstraszają, jest równo i czysto, ale wstęp na terytorium szklanych wież przysługuje tylko nielicznym, wyposażonym w kody i karty magnetyczne – pozostali muszą nadkładać drogi.

Skutki podejścia, zgodnie z którym prywatne, dysponujące odpowiednim kapitałem i siłą przebicia, dyktuje warunki publicznemu, widać zresztą w każdym mieście. To galerie handlowe w rejonach śródmiejskich, korki na prowadzących doń ulicach i puste witryny po działających jeszcze do niedawna w sąsiedztwie mniejszych sklepach i lokalach usługowych. Szpecące krajobraz wielkie banery reklamowe i szyldy. Poranny i popołudniowy tłok na drogach dojazdowych do osiedli stawianych w szczerym polu i pozbawionych podstawowej infrastruktury, bo ta nie jest już domeną inwestora. Powietrze zanieczyszczone od spalin.

Dogmat prywatnego

Traktowanie przestrzeni miejskiej jako towaru nie ogranicza się w naszym kraju do korporacji, piętnowanych w roli głównych winowajców przeobrażeń miast na Zachodzie. Ma różne oblicza. Początek tego zjawiska wyznacza transformacja ustrojowa; dopiero wówczas mogło zaistnieć. Administracja przystawała na ograniczenie swojej roli z pragmatycznych powodów: w kasach miast brakowało środków na inwestycje, środki unijne były jeszcze pieśnią przyszłości, zakładano więc, że część problemów rozwiąże prywatny kapitał, wprowadzając przy okazji na polskie ulice jakże pożądany element nowoczesności.

Podejście to nie budziło kontrowersji także wśród mieszkańców. Przeciwnie, cieszyło się społecznym poparciem i aprobatą opinii publicznej. Prywatna własność była czymś pożądanym przez obywateli zmęczonych systemem, który stawiał na wymuszoną wspólnotowość. Odzyskiwanie, przejmowanie, wykupywanie – w tym gruntów i kamienic – wydawało się wręcz rodzajem dziejowej sprawiedliwości.

Na to nałożyły się inne czynniki, które można nazwać kulturowymi: tendencja do indywidualizmu, wyrażana powiedzeniem „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie", niechęć do instytucji państwa, utożsamianego przez stulecia trudnej historii z obcą siłą. I wreszcie brak konieczności współdziałania, jak np. w Holandii, której mieszkańcy pod presją stałego zagrożenia ze strony wodnego żywiołu musieli nauczyć się współgrać ze sobą mimo różnic.

Stąd też również inne podmioty obecne w mieście wykazują zakusy przejmowania kontroli nad jego poszczególnymi obszarami. Poszczególne wspólnoty mieszkaniowe, dysponujące atrakcyjnymi nieruchomościami w ścisłym centrum, arbitralnie decydują o sposobie remontowania poszczególnych budynków, nierzadko pogłębiając estetyczny chaos. Albo uniemożliwiają innym użytkownikom korzystanie z publicznej przestrzeni, stawiając weto kawiarnianym ogródkom przy rynkach.

Władze miast, które – jak Opole – sprzedały domy i bloki wspólnotom i spółdzielniom – mają związane ręce, choć formalnie administrują danym obszarem. Z tego względu trudno porównywać jeden do jednego zjawiska zachodzące w polskich miastach do innych krajów, np. Niemiec, gdzie nie jest tak, że część lokali jest spółdzielcza, a część prywatna. Miasto ma też w spółdzielniach część udziałów, co umożliwia mu ingerencję w kształt i zasady przekształceń całych kwartałów.

Bywa też i na odwrót – prywatni właściciele kamienic w sercu miasta dobierają najemców wyłącznie pod kątem przyszłego zarobku, a urzędnicy zmuszeni są borykać się z konsekwencjami i szukać

ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA GAZETA

Plac Grzybowski w Warszawie, widok z wieżowca Cosmopolitan w 2012 r. W lewym dolnym rogu – nieistniejący już dziś Teatr Żydowski.

sposobów na ograniczenie takiego procederu (poznański Stary Rynek opanowany przez kluby go-go). W skrajnych przypadkach może dojść do odwrócenia hierarchii – potrzeby tych, którzy żyją w mieście na co dzień i płacą tam podatki, zostają podporządkowane oczekiwaniom turystów i tymczasowych rezydentów. Logika zysku skłania do podwyżek czynszów; to najłatwiejszy sposób na znalezienie miejsca dla nowych, zamożniejszych lokatorów i przeistoczenia kwartałów w twory z turystycznych wyobrażeń, które udają coś, czym nigdy nie były.

Za model może służyć krakowski Kazimierz lub poznańska Śródka. Pół biedy jeszcze, gdy tak zwana gentryfikacja dotyczy tylko ścisłego centrum i zabytkowych starówek. Gdy rozlewa się na coraz dalsze obszary miasta, można spodziewać się rychłego buntu mieszkańców, wściekłych, że zaczyna brakować dla nich miejsca, jak w Barcelonie czy Berlinie. W stolicy Niemiec doprowadzili oni do tego, że władze ograniczyły krótkoterminowy wynajem lokali w ramach sieci Airbnb.

Sami mieszkańcy też nie są wolni od pokus zaznaczania swojej władzy nad danym terytorium. Tworzą różnego rodzaju nieformalne grupy, by skutecznie odseparować się od sąsiadów, co ujawniało m.in. badanie praktyk graniczenia i dzielenia przestrzeni na polskich osiedlach mieszkaniowych, realizowane przez zespół socjologów z Uniwersytetu Jagiellońskiego pod kierunkiem dr Marty Smagacz-Poziemskiej. Co ciekawsze, zachowania takie nie dotyczą – jak mogłoby się wydawać – tylko nowych, grodzonych osiedli, utożsamianych przez media z nową, samolubną klasą średnią. Występują również wśród mieszkańców innych rejonów, jak osiedli bloków z lat 70. czy 80. Wobec braku silnych instytucji i formalnych regulacji zarządzania osiedlowym terytorium najbardziej przedsiębiorczy spośród nich organizują na własną rękę zasady dotyczące parkowania w okolicy. Pilnując ich przestrzegania, zyskują poczucie kontroli i *de facto* sprawują władzę nad danym terytorium.

Podziałowi na „swoich" i „obcych" służy również forma własności mieszkania – posiadacze mieszkań własnościowych czują się częścią uprzywilejowanej społeczności względem wynajmujących, którzy traktowani są często jak przelotne ptaki – nie warto nawiązywać z nimi trwalszych sąsiedzkich relacji. To właśnie takie czynniki łączą mieszkańców silniej niż kategoria osiedlowej wspólnoty, brzmiąca dla wielu z nich abstrakcyjnie.

Przekleństwo wuzetki

W Polsce tendencja do prywatyzacji przestrzeni trafiła dodatkowo na podatny grunt ze względu na kulawe prawo lub przepisy bezpośrednio ułatwiające życie silniejszym. Widać to dobrze na przykładzie handlu wielkopowierzchniowego, gdzie władze przyznały pierwszeństwo modelowi centrum handlowego, a nie innym – choćby znanym z poprzedniego ustroju domom towarowym czy spółdzielczym supersamom. Międzynarodowe sieci, których nie ograniczało ani prawo, ani silna lokalna konkurencja, szybko podbiły zarówno rynek, jak i miejski krajobraz.

Pierwszą polską ustawę o zagospodarowaniu przestrzennym, przyjętą dopiero w 1995 r., też podporządkowano dogmatowi własności. Każdy właściciel nieruchomości zyskał prawo do jej zabudowy, o ile nie zakazują tego inne przepisy. Przez osiem lat jej obowiązywania zaczęła więc dominować zasada: co nie zakazane, to dozwolone. Podstawą do wydawania decyzji był miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego, lecz gdy go brakowało, posiadacz terenu mógł nadal przeforsować swoje zamiary, posiłkując się decyzją o warunkach zabudowy. Tak utrwaliła się instytucja słynnej wuzetki, ogniwa przejściowego między planem miejscowym a pozwoleniem na budowę, która wkrótce miała stać się koszmarem miejskich władz, rozkładających bezradnie ręce nad potężniejącym chaosem przestrzennym.

W międzyczasie weszła też w życie reforma samorządowa, wskutek której wyjątkowo silną pozycję w gospodarowaniu przestrzenią, wobec braku programów rządowych, uzyskały gminy. Dla miast miało to katastrofalne znaczenie. Przy coraz większym rozlewaniu się zabudowy na tereny podmiejskie, czyli tzw. suburbanizacji, powiązanej z procesami, o których była mowa wcześniej (rosnące czynsze w centrum, pęczniejąca infrastruktura handlowa wyrastająca na przedmieściach), miasto i sąsiadujące z nim gminy stanowią w zasadzie jeden organizm. Tymczasem plany miejskie są częstokroć kompletnie niezborne z podmiejskimi, gdyż władza prezydenta miasta w zakresie przestrzeni kończy się na rogatkach, a każda z gmin rządzi się wedle swoich zasad.

Kolejna ustawa, przyjęta w 2003 r., zmieniła niewiele. W dodatku przesądziła o unieważnieniu planów miejscowych, które powstały przed 1 stycznia 1995 r. Dziś plany obowiązują zaledwie na 30 proc. powierzchni Polski. Wiele największych miast (Kraków, Poznań, Łódź i Warszawa) nie dysponuje nimi w przypadku najatrakcyjniejszych terenów inwestycyjnych, a to oznacza, że większość zabudowy powstaje dzięki uzyskaniu wuzetek. Teoretycznie powinny być wydawane tylko dla terenów bezpośrednio sąsiadujących z już zabudowanymi. W praktyce bywa różnie, bo to, która działka zostanie uznana za „sąsiednią", zależy od interpretacji sądu. Rezultaty widać nie tylko na przedmieściach.

Jaskółki zmian i roszczeniowość

Wydawałoby się – sytuacja beznadziejna. Są jednak i powody do optymizmu. Od mniej więcej dekady w polskich miastach – i to nie tylko tych największych – pojawiły się pierwsze grupy mieszkańców odmawiających zgody na obecny stanu rzeczy i podburzające do zmiany. Chodzi o powrót do myślenia o mieście jako przestrzeni wspólnej, uwzględniającej ↦

↦ potrzeby nie tylko najsilniejszych czy najbardziej zasobnych jej użytkowników.

Ci, o których pisaliśmy wielokrotnie w „Tygodniku", nazywając ich „nowymi mieszczanami", są świadomi swoich praw, zorientowani w przepisach, porównują polskie realia ze zjawiskami w innych krajach. To przedstawiciele organizacji pozarządowych, aktywiści bez formalnej przynależności, członkowie ruchów miejskich, ekolodzy, architekci, dziennikarze. Niektórzy z nich angażują się bezpośrednio w lokalną politykę, wchodząc do samorządów, albo znajdują zatrudnienie w urzędach, bo pod wpływem medialnego nacisku władze też stopniowo zmieniają podejście.

Przestaje obowiązywać jako jedyna możliwa narracja, zgodnie z którą najważniejsza jest prywatna własność. Widać to choćby w podejściu do szpecących ulice reklam i niechcianych ogrodzeń – Kraków np. zamierza rozprawić się z nimi przy pomocy uchwały krajobrazowej.

Idąc w ślad za Sopotem, który w 2011 r. pierwszy zdecydował się na taki krok, kolejne miasta (m.in. Warszawa, Bydgoszcz, Kraków, Elbląg, Gdańsk, Kielce) wprowadziły też budżety partycypacyjne. Autorzy muszą sami przygotować wniosek opisujący projekt i przekonać innych, by na niego zagłosowali.

Minusem budżetu partycypacyjnego jest niewielka ilość pieniędzy do dyspozycji (zaledwie ułamek procenta środków na inwestycje i ograniczenie zasięgu do osiedli czy najwyżej dzielnic). Krytycy wskazują też, że w jego ramach często realizowane są projekty, które należą do podstawowych obowiązków samorządu, jak np. wyposażanie bibliotek.

Teoretycznie budżet powinien służyć włączaniu w decyzje pojedynczych, „niezrzeszonych" mieszkańców, tymczasem część projektów piszą organizacje, które nie uzyskały z innych źródeł pieniędzy na swoje potrzeby. Nowym uczestnikom trudno też przebić się z pomysłami, bo po kilku edycjach konkursów wytworzyły się doświadczone grupy, wyspecjalizowane w skutecznym pisaniu projektów, które mają szansę zyskać pozytywny oddźwięk wśród urzędników (a weryfikacja wniosków jest uznaniowa).

Mimo tych jaskółek zmian przyzwyczajenie do myślenia o mieście w kategoriach prawa siły i pieniądza jest wciąż spore. Przejawia się w różnicach w traktowaniu poszczególnych grup głośno upominających się o swoje prawa i potrzeby. Te, którym udało się już wywalczyć reprezentację w strukturach samorządu i zadbać, by ich postulaty uwzględniano w ogólnych miejskich planach (jak rowerzyści), zawdzięczają awans zarówno sile nacisku, jak i aspiracjom urzędników. Ci bowiem zorientowali się, że dbałość o ścieżki rowerowe i drogi dla pieszych świadczy o nowoczesności. Zabiegi rowerzystów nie są więc już piętnowane przez władze etykietą „roszczeniowości", jak wciąż zdarza się w odniesieniu do np. ruchów lokatorskich. Odsetek angażujących się mieszkańców jest też wciąż mikry: przykładowo w dwumilionowej Warszawie w ostatniej, czwartej edycji budżetu partycypacyjnego zagłosowało zaledwie 117 tysięcy osób.

Nie ma się co łudzić: droga do prawdziwej partycypacji jest w polskich miastach jeszcze długa. Przyglądając się realiom, w desperacji nietrudno dojść do paradoksalnego i dość smutnego wniosku, że chcąc szybko zrealizować jakikolwiek spójny koncept, należałoby przyjąć podejście zgoła przeciwne i powtórzyć zabieg zastosowany tuż po wojnie w Warszawie, Berlinie, a nawet w Rotterdamie – przejęcie gruntów przez państwo i kompleksowe, centralnie sterowane planowanie przestrzenią. Byle tylko obyło się bez formalnych błędów (w jakie obfitowały np. przepisy tzw. dekretu Bieruta), monumentalnych ekscesów socrealizmu i z ostatnim słowem przynależnym urbanistom, nie politykom. ©

BEATA CHOMĄTOWSKA

K.M. ASAD / AFP / EAST NEWS

Wesprzyj wyjazd reportera „TP" Marka Rabija do Bangladeszu

Granica Birmy i Bangladeszu zmieniła się w scenę, na której od miesięcy rozgrywa się dramat Rohindżów – muzułmańskiej mniejszości w Birmie, której władze tego kraju od dekad odmawiają prawa istnienia. Los ok. 600 tys. uchodźców, którzy skryli się w Bangladeszu przed prześladowaniami, „Tygodnik" śledzi od początku kryzysu. Obozy dla uchodźców nadal pękają w szwach. Brakuje w nich żywności, leków, coraz częściej nawet wody. Pod koniec stycznia, na mocy porozumienia między obydwoma krajami, ma ruszyć akcja relokacji części uciekinierów do Birmy. Ale czy próba rozwiązania kryzysu w taki sposób nie doprowadzi do jego zaostrzenia? Czy ludzie, którym spalono domy, mają dokąd wrócić? A jeśli tak – to czy władze Birmy im na ten powrót pozwolą?

DLATEGO chcemy być wtedy na miejscu. Uważamy, że to nasz obowiązek. Koszt tego przedsięwzięcia jest jednak tak duży, że musimy prosić Państwa o wsparcie.

W serwisie PolakPotrafi.pl uruchomiliśmy zbiórkę na ten cel: polakpotrafi.pl/projekt/bangladesz-2018
Potrzebna kwota to 30 tys. zł, z których część dzięki Państwa wpłatom udało się już zebrać. Niewykorzystane fundusze po rozliczeniu projektu zostaną przekazane Fundacji Anny Dymnej Mimo Wszystko.
Liczymy na Was.

Na zdjęciu: uchodźcy Rohindża przy granicy Bangladeszu, wrzesień 2017 r.

ANNA

Dziewit-Meller: *Syndrom Berniego*

Kiedy w drugiej połowie listopada 2016 r. pojechałam na Targi Książki na Florydę, Bernie Sanders objeżdżał właśnie ten stan, promując swoją książkę „*Our revolution*". Na krzywy ryj, czy może na piękne oczy, udało mi się wbić wejściem dla mediów na to spotkanie, na które kolejka wiła się dookoła kampusu Miami Dade College od samego rana. W wielkiej sali, nabitej do ostatniego miejsca, atmosfera przed spotkaniem przypominała tę przed koncertami ulubionych zespołów – pełne podekscytowania oczekiwanie na pojawienie się idola przerodziło się w owację na stojąco, wspartą piskami i okrzykami „*We love you Bernie!*". Pani klaszcząca fertycznie obok mnie miała łzy w oczach, zza mojej głowy dochodziły piski, jakich nie powstydziłyby się najbardziej oddane *groupies* Rolling Stonesów, w czasach kiedy jeszcze nie trzeba było przetaczać im krwi po każdym koncercie. Krótko mówiąc – był szał. Bernie wszedł na mównicę i uciszając gestem skandujących w amoku „Bernie! Bernie", powiedział: „Dziękuję, ale tak jak już wiele razy wam mówiłem, tu nie chodzi o mnie, tu nie chodzi o Berniego, tu chodzi o was i o nas".

A potem dużo mówił o tym, że zrobi wszystko, by zreformować Partię Demokratyczną, która wydaje się być głucha na głosy ludzi, którzy mówią: „Posłuchajcie o mojej złości! Posłuchajcie o moim żalu!". Mówił o samotnych matkach, o ludziach pozbawionych ubezpieczenia zdrowotnego, o bezrobociu, o wykluczeniu. I wszystko to było bardzo fajne, i przyjemnie się słuchało tego, jak się pochyla nad tymi sprawami, które wiadomo – miłe i ważne są każdemu lewackiemu sercu. Szkoda tylko, że nie miało to absolutnie żadnego znaczenia. Niecałe dwa tygodnie wcześniej wybory wygrał Donald Trump, więc piękne słowa Berniego Sandersa były identycznie istotne jak – by posłużyć się mądrością poety – numer telefonu na pudełku zapałek.

A przywołuję te obrazki sprzed ponad roku, bo w ubiegły piątek poszłam pod Sejm na manifestację, tę organizowaną po tym, jak projekt „Ratujmy kobiety" nie przeszedł. Stałam marznąc w tłumie ludzi dzierżących w rękach transparenty w rodzaju „*Viva la vulva!*" i słuchałam przemów wkurzonych kobiet. Słuchając ich zaś pomyślałam o Berniem Sandersie i jego roli w wygranej Donalda Trumpa, bo odnoszę wrażenie, że ten mechanizm powtarzamy właśnie w Polsce, zaś nieszczęsne głosowania nad dwoma projektami dotyczącymi aborcji stały się katalizatorem nieuniknionej katastrofy.

Oto właśnie bowiem zaczął się proces dorzynania opozycji, tej, która (coraz mniej, ale jednak) mogła roić sobie (i nam) o wizji pokonania PiS w przyszłości. Z całym szacunkiem dla Barbary Nowackiej, dla rozbudzonego nagle Włodzimierza Czarzastego, który zdążył się znów przemazać przez liczne media, wyciągając nawet rękę do młodszych przyjaciół z Razem, dla kolegów publicystów, którzy jak Michał Sutowski piszą marzycielsko o tym, że „mamy dwie możliwości. Jeśli na linii Razem-Biedroń-Nowacka-SLD-dziewczyny-z-Nowoczesnej-coś-nowego-czego-jeszcze-nie-znamy wydarzy się sensowny ferment, to 10 stycznia będzie momentem/mitem założycielskim Powstania Opozycji z Popiołów". Syndrom Berniego Sandersa objawia się w całej krasie. Na wiecu pod Sejmem nie protestowano przeciwko PiS, to był okrzyk wkurzenia na Platformę i Nowoczesną, to im wygrażano i obiecywano, że nigdy już ich zakłamane twarze nie zostaną pokazane przez telewizje u boku zrywów obywatelskich takich jak Czarny Marsz.

I jakkolwiek doskonale rozumiem emocje, które porywały nas w mroźny piątek pod Sejmem, bo doprawdy rżnąć głupa też trzeba umieć, zwłaszcza gdy jest się zawodowym politykiem, zaś to, co zaprezentowali nam posłowie z PO i Nowoczesnej po głosowaniu było pokazem bezradności, na którą nie wolno sobie pozwalać, to zupełnie nie rozumiem jednak, dlaczego języczkiem u wagi staje się kwestia aborcji właśnie. Tak jakby w „Gazecie Wyborczej" nikt nie wiedział o tym, że PO nie jest partią lewicową, a zapędzenie jej w kozi róg sprawą taką jak ta ustawa to pocałunek śmierci. Oto bowiem zapadliśmy na syndrom Berniego Sandersa i jest to potencjalnie szalenie niebezpieczna sytuacja, która może dać partii Jarosława Kaczyńskiego władzę na kolejne lata. I to naszymi własnymi rękami. Jak to lapidarnie ujął jeden z moich przyjaciół – gdyby sandersowcy zagłosowali na Hillary Clinton, zamiast marzyć o lepszym kandydacie Demokratów, świat nie musiałby co tydzień zastanawiać się nad tym, czy to właśnie już teraz zaczyna się nuklearny konflikt z Koreą Północną, oraz czy „zasrajdziura" to kategoria geograficzna czy wyłącznie emocjonalna.

Pozaparlamentarna opozycja w Polsce wyczuła krew i ze swego punktu widzenia całkowicie słusznie zaczęła kopać leżącego, bo jej się to szalenie opłaca. Wrogiem nr 1 Barbary Nowackiej nie jest dziś przecież Jarosław Kaczyński, są nimi Lubnauer ze Schetyną. Nie wiem jednak, czy w szerszej perspektywie opłaca się to wszystkim, którzy mienią się obozem anty-PiS.

Z wykładu Berniego Sandersa wyszłam po 45 minutach, zostawiając rozentuzjazmowany tłum fanów, którzy reagowali oklaskami na kolejne postulaty reform przedstawianych przez polityka. Branie udziału w kursie reanimacji po zgonie pacjenta uznałam za mniej ważne od kolacji z przyjaciółmi. W końcu nie chodzi o Berniego, chodzi o nas. ©

ZAPACH OWIEC

KS. GRZEGORZ KRAMER SJ, PROBOSZCZ:

To jest cała paleta zapachów. Od bardzo drogich perfum po przypalone garnki. Zapach biedy. Obiadu. Zwierząt. To jedna z pierwszych rzeczy, jaką rejestruję, gdy wchodzę do domu podczas kolędy.

BŁAŻEJ STRZELCZYK: Ale Cię nosi.
O. GRZEGORZ KRAMER SJ: Tu, na poddaszu plebanii jest mi bardzo dobrze.

Dwa miesiące temu mieszkałeś piętro niżej.
Pierwszy pokój, do którego się wprowadziłem, gdy przyjechałem do Opola, żeby być tu proboszczem, okazał się dla mnie zbyt duży. Wolę jednak, gdy jest kameralnie.

A te wszystkie gadżety, obrazy, krzyże i Chrystusy bez krzyży na ścianach? W ilu mieścisz się walizkach?
W trzech. W tym jedna to ubrania. Ale masz rację: jestem zbieraczem.

Zbieraczem?
Na przykład zobacz tego Chrystusa, który wisi nad gramofonem. Znalazłem na grobie mojego dziadka.

Zauważyłeś, że Chrystusom bardzo łatwo urywają się ręce?
Bo robione są ze słabego tworzywa. A poza tym szeroko rozłożone, więc podczas przeprowadzek i transportu łatwo się urywają, kruszą i odłamują we fragmentach.

Barańczak pisał, że „jeśli porcelana, to wyłącznie taka / Której nie żal pod butem tragarza (...) Jeżeli książki, to te, które można unieść w pamięci".
Jestem w stanie spakować się w mniej niż godzinę.

Masz tu przynajmniej dwóch Chrystusów bez rąk. A jednego nawet bez krzyża.
Ale drugi jest przybity.

Do nierównych belek.
Ale też Jego ręce jakoś nierówno się połamały. Jedna jest dłuższa, urwana jakby w okolicy łokcia, a druga tuż przy ramieniu. To są deski, które wyłowiłem z Bałtyku, gdy byłem na miesiącu kapłańskim, to etap przygotowań do święceń, 13 lat temu.

Morze to również Puck – masz coś z Pucka?
Maczki malowane akwarelą. Moniczka jest podopieczną hospicjum w Pucku i maluje ustami. Wysłała mi maczki na urodziny, szybka im się potłukła, ale maczki są. A teraz dostałem jeszcze namalowaną bombę, na święta.

Zastępowałeś w Pucku księdza Jana Kaczkowskiego.
Bez przesady, Jana chyba się nie da zastąpić.

Masz jego zdjęcie nad biurkiem.
Mam.

Wśród kilkudziesięciu przynajmniej wizerunków księdza Jerzego Popiełuszki.
Obaj są mi bliscy.

Co robiłeś w Pucku?
Byłem. Jednym z elementów III probacji w jezuickiej formacji jest próba socjalna. Kiedy Jan jeszcze żył, marzyłem, żeby przeżyć tę próbę właśnie w Pucku.

I byłeś.
Z jedną panią przy łóżku, oglądając telewizję, słuchając jej opowieści, że nie do końca potrafi skoordynować ruchy ciała, albo dotykając innego pana, którego nikt już dawno nie dotykał. Mnie się wydaje, że Jan miał dużo racji, gdy mówił, żebyśmy łamali tabu i skracali dystans.

Jan mówił tak: „nie bądźcie sztywni. Przytulajcie się. Trzeba się kochać, przytulać i być blisko".
Jeśli damy sobie wmówić, że cały sens życia to indywidualizm, zamknięcie się w sobie, ograniczony dostęp do drugiego człowieka, to chyba zwariujemy. Wyraźnie to widziałem w Pucku, jak wiele może dać zwykły-niezwykły dotyk.

Teraz jesteś proboszczem i pisałeś nie tak dawno, że czasem boisz się dotykać innych.
Uczę w szkole maturzystów i odprawiam niedzielną mszę dla dzieci, staram się być z rodzinami czy seniorami podczas ich spotkań w kawiarence parafialnej, a więc dużo w moim życiu kontaktów z innymi ludźmi.

A gdy zaczynasz odprawiać mszę, to prosisz parafian, żeby się ze sobą przywitali, podali sobie ręce stojąc obok w ławkach.

ROMAN ROGALSKI / AGENCJA GAZETA

Zawsze budzi to na początku konsternację, ale teraz widzę, że ten gest dużo daje.

Co daje?

Wierzę jakoś mocno, że zbitka słów „wspólnota parafialna" to nie jest *bon mot*, gładkie słówko, które nic nie znaczy, a tylko ładnie brzmi.

Co to jest wspólnota parafialna?

Co to w ogóle jest parafia? Najprościej mówiąc, to punkt odniesienia dla człowieka wierzącego. Urząd, kancelaria, w której się załatwia sprawy, kościół, do którego przychodzą ludzie na mszę. To ludzie, którzy są do mnie podobni, a jednak każdy z nas jest inny, ale próbujemy tak żyć, by łączył nas Chrystus.

A ja tak czytam w Dziejach Apostolskich: „Ci wszyscy, co uwierzyli, przebywali razem i wszystko mieli wspólne. Sprzedawali majątki i dobra i rozdzielali je każdemu według potrzeb".

Eksperyment z Dziejów Apostolskich – to było coś, co szybko się rozpadło, bo nie przetrwało próby czasu.

W Nowym Testamencie bardzo często pojawia się takie zdanie, że u kogoś w domu był Kościół – czyli raczej niezbyt duża przestrzeń.

Coś w tym musi być, że z czasem, gdy wiernych przybywało, okazywało się, że traciliśmy tę perspektywę ścisłej wspólnoty. I ja muszę przyznać, że wcale nie mam poczucia, iż ten cytowany przez ciebie fragment Dziejów Apostolskich to ideał, do którego mamy dążyć w Kościele.

To jaka jest propozycja?

Wspólnota wspólnot. Te jednostki, które w Polsce nazywamy parafiami, są za duże, żeby mówić o nich wspólnota, dlatego funkcjonuje takie określenie: wspólnota wspólnot. W dużych miastach trudno jest powiedzieć, czym dokładnie jest parafia. Ludzie się z nią nie identyfikują. To wyraźnie widać w kancelarii, gdy przychodzą i proszą o jakieś zaświadczenie, a w trakcie rozmowy okazuje się, że oni jednak nie należą do naszej parafii. Na pytanie, do której należą – nie są do końca w stanie odpowiedzieć. ↦

Ks. Grzegorz Kramer SJ w kościele o. Jezuitów w Opolu, lipiec 2017 r.

No to jak zbudować wspólnotę z kimś, kogo w zasadzie nie znam?
Nie wiem jeszcze. Zanim przyjechałem pracować w Opolu...

...chyba „posługiwać".
Nie znoszę tego słowa. Zobacz, jak w parafii jest organista, gospodyni, kościelny, albo gdy świeccy przychodzą pomóc w sprzątaniu kościoła, to się swobodnie mówi, że oni przychodzą do pracy, tymczasem ja to już „posługuję", „ofiarowuję" itd. Słowo „praca" nie jest negatywne. Jest przyjęciem od Boga roboty do wykonania.

Zanim przyjechałeś pracować w Opolu...
Siedziałem w cieplarnianych warunkach Facebooka i, jak by to ująć, publicystyki katolickiej, gwiazdorstwa podczas głoszenia rekolekcji, i byłem jednym z tych gości w Kościele, którzy doskonale wiedzieli: kogo trzeba wyrzucić, kto powinien zostać biskupem, jak zmodyfikować struktury, z kim warto, a z kim nie warto współpracować, no i jak stworzyć fajny zespół wiernych, żeby Kościół był piękny, pełen niewinnych, zgrabnych, przyzwoitych ludzi. Przyszedłem na parafię, dostałem do współpracy ludzi takich, a nie innych, parafian, współbraci, ministrantów, przełożonych, kolegów proboszczów z innych parafii, to w pierwszym odruchu pomyślałem o tym, co muszę wywalić, co poprawić, by było idealnie, myślałem po staremu.

Albo uciec, bo mogłeś jeszcze uciec.
Bardzo często patrzyłem na walizkę.

A teraz?
A teraz uczę się tego, że nie jestem Bogiem ani księdzem dyrektorem i prezesem spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. Że znam swoje grzechy, i po to mam grzechy, żeby zrozumieć, że jak się mądrzę do ludzi z ambony i czuję, że do nich nie trafia, albo jest jakiś opór, to przypominam sobie: „No stary, ty też masz grzechy" i też jesteś bardzo oporny.

W czym jesteś oporny?
Już mi się to na szczęście zmienia. Ale w tym na przykład, że czasem najchętniej bym powymieniał wszystkich ludzi na lepsze modele. W takim kluczu, że ja mam przecież piękną ideę, tylko jakoś ludzie do tej idei nie pasują, nie chcą jej realizować, to gdyby tak wymienić tych ludzi, zacznie się realizować piękne wizje Kościoła i świata. Aż wreszcie trzeba się puknąć w głowę i zrozumieć, że być może chcę tworzyć ładne rzeczy, ale raczej to nie będzie tworzenie Kościoła. Że Kościół to nie jest konkurs piękności, tylko „szpital polowy" – jak mówił Franciszek. Jeśli są problemy, trzeba je podjąć, przegadać, przemodlić, a nie wymieniać człowieka na lepszy model. Dostajesz na drogę takich, a nie innych ludzi, możesz się obrazić, pamiętaj jednak, że będziesz nieustannie sfrustrowany, ale możesz też zaakceptować, że oni są ci dani nie bez powodu, że mogą cię czegoś uczyć. Jak stracisz tych ludzi przez swoje chore ambicje, to się okażesz zwykłym głupcem.

Byłem jednym z tych gości w Kościele, którzy doskonale wiedzieli, kogo trzeba wyrzucić, kto powinien zostać biskupem, jak zmodyfikować struktury, żeby Kościół był piękny. Teraz jestem proboszczem.

Nie są to proste rzeczy.
Ostatnio podczas kazania mądrzę się nad kwestiami związanymi z miłosierdziem. Gadam już kolejną minutę, gdy nagle na środek kościoła wpada czterolatek i zaczyna tańczyć. Biega od ołtarza aż pod chór i krzyczy tańcząc. I widzę, że połowa ludzi w kościele najchętniej by wstała i go rozszarpała, bo przecież „nie przystoi". Więc mówię: „widzę, że go nie możecie znieść, że połowa z was jest wkurzona. A ja tu mówię o miłosierdziu". Myślę, że o to w tym wszystkim chodzi, że Kościół to grupa takich popaprańców, hipokrytów, grzeszników, poobijanych słabeuszy, którym puszczają nerwy.

A pośrodku tańczy sobie niewinny czterolatek.
Otóż tak właśnie. Który potrafi cię nauczyć absolutnie wszystkiego, i mówi: „Daj na luz".

A jak to się stało, że znany celebryta katolicki nagle zostaje duszpasterzem dzieci? Bo odprawiasz mszę rodzinną.
Akurat to robił mój poprzednik – ojciec Bogdan, więc przejmując po nim obowiązki, przejąłem także tę mszę. W zasadzie mówię w niedzielę dwa kazania, bo tego, co trzeba powiedzieć do dzieci, nie da się mówić do dorosłych i odwrotnie.

A kim jest Dominik?
Słoniem. Maskotką. Robimy co tydzień łamigłówki, dzieci przynoszą je do kościoła i później losujemy, kto bierze Dominika na tydzień do domu.

I po co go tam bierze?
Do Dominika dołączony jest jeszcze plecak, w którym jest Biblia i kronika. Dziecko z rodzicami musi codziennie czytać Dominikowi Pismo Święte. A później wkleja do kronik relację z tygodnia. Zdjęcia, opisy, Dominika w różnych konfiguracjach. Chodzi o to, żeby w rodzinach była czytana Biblia. Dominik jest pretekstem.

Czyli zajmujesz się słoniem Dominikiem, a poza tym jesteś proboszczem, masz władzę, decydujesz o wszystkim, zarządzasz.
Ale parafia to nie jest folwark, na którym będę się wyżywał i leczył swoje kompleksy niskiego typka, który musi porządzić, żeby być sobą.

Masz 42 lata, sukces medialny, odpowiedzialność za... no właśnie, ilu masz parafian?
Trzy tysiące osiemset, w większości ludzi starszych. A wiesz, ile osób wpuściło nas na wizytę duszpasterską?

Wszyscy?
38 procent.

No to mało.
No więc to uczy jednej rzeczy: znaj swoje miejsce w szeregu. Ale ładnie powiedziałeś – o tych „sukcesach". Bo rzeczywiście, gdyby tak spojrzeć z perspektywy „chłopca w krótkich spodenkach", to przecież mam te 42 lata, mam „pod sobą" kilku księży, mam parafian, mam na głowie plebanię, obowiązki, zadania, robotę do wykonania. Mam też dom, ciepło, samochód, trzy posiłki w ciągu dnia... Wizja jest kusząca, żeby osiąść i być z siebie zadowolonym.

I jeszcze możesz raz na jakiś czas wyjechać, „pogwiazdorzyć" jako rekolekcjonista.
Żyć nie umierać, co?

Fajnie.
Tymczasem – najtrudniej jest być. Dlatego ważne dla mnie jest słowo „odpowiedzialność", cokolwiek ono znaczy w moim przypadku. Z jednej strony gdzieś tam myślę, co jedzą moi parafianie, czy ich stać. Że, wiesz, nie mogę być wobec nich obojętny, tylko raczej czuć się za tych ludzi odpowiedzialny. O to, co do nich mówię, jak

się zachowuję, co mogę zaoferować, jakim mogę być człowiekiem, jest bardzo ważne. To nie są przypadkowi, anonimowi ludzie. Mają swoje troski, zmartwienia, radości.

Masz jeszcze współbraci, których jesteś przełożonym.
Siedmiu jezuitów.

Wszyscy są od Ciebie starsi.
Teraz jest jeden ksiądz młodszy, odpowiada za duszpasterstwo akademickie.

Na tym polu sobie rządzisz?
Jestem w komfortowej sytuacji, że mam dobrą ekipę. Przeraża mnie wizja samotnego bycia proboszczem. To jest w ogóle dość chyba niebezpieczne w przypadku księży diecezjalnych, którzy przez cały czas formacji kapłańskiej, gdy są w seminarium, uczą się wspólnoty – w sensie modlitwy, wspólnoty stołu, kaplicy, spędzania razem czasu, po czym trafiają na parafię, na której jest tylko jeden wikary i proboszcz. Przeskok z gwaru, wspólnoty, dzielenia wspólnej przestrzeni do indywidualizmu, od którego do samotności jest bardzo prosta droga, jest ogromny. Szczęście mojej, zakonnej parafii jest takie, że my jesteśmy jednak ekipą. Zespołem. Jakim zespołem, to już inna sprawa, bo u jezuitów akurat to jest ujmujące, że możemy na siebie nawzajem psioczyć, żartować, sypać uszczypliwości, ale gdy jest robota do wykonania, nikt nie patrzy na osobiste animozje, tylko trzeba robić. A ja, szczęśliwie, nie cierpię na przypadłość „muszę wszystko sam".

Dlaczego tak mało ludzi przyjęło Was po kolędzie?
Opole jest miastem, że tak użyję wyszukanej analizy duszpasterskiej – specyficznym. To znaczy, że jak w rejonie robi się badanie religijności, to się okazuje, że poziom *dominicantes* w opolskim jest na poziomie 40 proc., a w samym Opolu już tylko 20 proc. Bardziej doświadczeni w Opolu mówią, że trzeba nasze miasto wymieniać w jednej kategorii z Warszawą i Łodzią – jeśli chodzi o poziom praktyk religijnych.

Ale ludzie są hojni.
No są. I to bardzo.

W poniedziałki publikujesz na stronie internetowej kwoty zbiórek z tacy.
Bo zależy mi na przejrzystości finansowej. Także w tym sensie, o który pytałeś na początku: oczywiście nie da się chyba sprawić, żeby w parafii była tak daleko posunięta „wspólnota majątkowa", niemniej, gdy ja komuś daję pieniądze, to chcę wiedzieć, na co one idą, i myślę, że to samo jestem winien swoim parafianom.

Wierni to grupa takich popaprańców, hipokrytów, grzeszników, poobijanych słabeuszy, którym puszczają nerwy. A wśród tego jest miłosierdzie.

Ostatni komunikat: „Wczorajsza taca to wsparcie naszego parafialnego funduszu remontowego. Zebraliśmy 9020 zł i 30 euro. W ostatnim czasie po stronie wydatków pojawiły się: przegląd naszych organów: 500 zł i oprawa zdjęć w przedsionku, przed kancelarią: 1020 zł. Po zbilansowaniu nasz fundusz wynosi: 52 022 zł. Bardzo Wam dziękujemy za Wasze ofiary".
To jest serio duża hojność i zawsze czuję się mały, gdy się dowiaduję, ile ludzie nam dają, bo wizyta duszpasterska mi pokazała, jak żyją moi parafianie.

Jak żyją?
Skromnie. Biednie. Pamiętaj, że z tych prawie czterech tysięcy parafian większość to staruszkowie. Wiadomo oczywiście, że wizyta duszpasterska to sztuczne spotkanie. Jest w tym coś z inscenizacji. Ludzie się przygotowują, żeby ładnie wypadło. I ja też wchodzę jako gość – na chwilę. Trochę takiej swoistej gry z jednej i drugiej strony.

Ale coś się jednak odsłania.
Dla mnie osobiście to ważne doświadczenie – że ktoś mnie wpuszcza do swojej intymności, swoich zapachów, i do tego, jak żyje. Jedni są dumni z tego, co mają, inni się wstydzą. Ogromnie ważne jest, żeby tego nie zniszczyć.

Franciszek mówi, że pasterz musi znać zapach owiec. Jak pachną Twoi parafianie?
To jest cała paleta zapachów. Od bardzo drogich perfum po przypalone garnki. W domach ludzi zapachy się mieszają. Zapach biedy. Obiadu. Zwierząt. To jest jedna z pierwszych rzeczy, którą rejestruję, gdy wchodzę do domu.

Czego się możesz dowiedzieć?
Byłem niedawno w domu, w którym staruszka nie paliła w piecu, z biedy, więc nad domem unosił się zapach wilgoci. Łatwo wyczuć, czy w domu jest alkohol, nawet – ile tego alkoholu jest. Czuć człowieka.

Bardzo ładnie pachnie, gdy się wchodzi do kancelarii w Twojej parafii.
Tam jest odświeżacz. Ten przedsionek jest otwarty od wczesnego rana do wieczora, korzystają z niego bezdomni. To wiesz lepiej ode mnie, jak po 15 minutach snu bezdomnego czuć w pomieszczeniu. Chcemy też zadbać o tę przestrzeń, więc przynajmniej bezdomny śpi w dobrym zapachu.

A gdzie ksiądz proboszcz się modli?
W kaplicy. Mamy taką wewnętrzną kaplicę. W pokoju zasypiam.

Kaplicę macie jednak, że tak powiem, fikuśną.
Tak, ona nie jest prosta, ma wiele gadżetów. Ale to nie jest miejsce, w którym siedzę na co dzień. Kaplica jest super ważnym miejscem na plebanii, bo jest jednocześnie w środku i na uboczu. Stworzyliśmy przestrzeń, która jest tylko po to, żeby się spotkać z Jezusem.

A zabierasz codzienność na modlitwę?
Bardzo.

Bóg zna naszą codzienność, to po co Mu ją opowiadać podczas modlitwy?
No to byłby mój ideał, żeby pójść tam na pół godziny, siąść i siedzieć. I nie myśleć o tym, że trzeba wypełnić faktury i dopilnować grafiku odprawiania różańca w kościele. Ale jak już siadam i chcę tylko być, to mi się nie udaje. Idę rano, jestem świeży, po śnie, ale i tak przez moją głowę przechodzi codzienność, że dziś przyjdą jacyś robotnicy naprawić hydraulikę i jest też współbrat z problemem, któremu trzeba pomóc, a w ogóle to wczoraj ktoś mi w kancelarii powiedział coś przykrego. To wszystko we mnie jest i chcę się pogodzić, że też jest na modlitwie. Nie ma co się szarpać. Jestem taki. Przyjmuję to. Jest jakaś moja bida, że gadam o tym na modlitwie. ©℗

Rozmawiał BŁAŻEJ STRZELCZYK

GRZEGORZ KRAMER SJ *jest jezuitą, rekolekcjonistą i blogerem. Był wikarym i duszpasterzem młodzieży we Wrocławiu, później w Krakowie. Przez cztery lata był duszpasterzem powołań Prowincji Polskiej Południowej Towarzystwa Jezusowego. Pracował w puckim hospicjum założonym przez ks. Jana Kaczkowskiego. Od lipca ubiegłego roku proboszcz parafii jezuickiej w Opolu.*

Diabeł nie jest projekcją

KS. JACEK PRUSAK SJ

Do istnienia osobowego zła przekonują bardziej święci niż egzorcyści i ich egzorcyzmy.

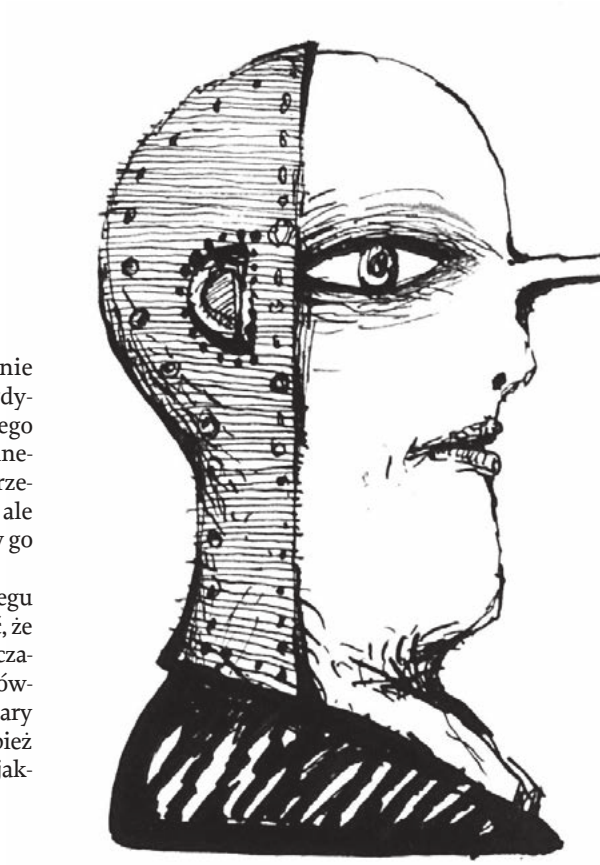

Co jakiś czas media karmią nas bulwersującymi świadectwami osób poddawanych w bezmyślny sposób egzorcyzmom (ostatnio czyni to „Duży Format"). Po lekturze takich tekstów odczuwamy silną pokusę, aby w imię solidarności z ofiarami oraz w imię wiary opartej na rozumie uznać diabła za religijny zabobon. Sęk w tym, że w taki sposób stajemy się ofiarami podobnej ignorancji, co zastępy egzorcystów trywializujących tajemnicę zła. Zamiast zbliżyć się do Boga poprzez doświadczenie świętych i samego Jezusa, kręcimy się wokół tradycyjnego obrazu diabła stworzonego na nasz obraz i podobieństwo, a więc na nasze potrzeby.

Przykład Franciszka

Papież Franciszek nie unika tematu zła osobowego i – co ciekawe – wskazuje go tam, gdzie my zgodzilibyśmy się na kompromis ze świecką mentalnością. Trudno jednak Franciszka posądzić o bycie naczelnym demonologiem Kościoła. Jeszcze jako kardynał Buenos Aires, w rozmowie z rabinem Abrahamem Skórką („W niebie i na ziemi", Znak 2013), obecny papież powiedział: „W teologii katolickiej również istnieje element wychodzący z wewnątrz, który odnosimy do upadku natury po grzechu pierworodnym. Zgadzam się z tym, co Rabin nazywa instynktem [czyli »wewnętrzną cząstką człowieka, która rzuca wyzwanie Bogu«], w tym sensie: nie zawsze ktoś robi coś niewłaściwego dlatego, że popycha go diabeł. Człowiek może robić coś złego z własnej natury, wiedziony własnym »instynktem« wzmacnianym przez pokusę zewnętrzną...". Rabin Skórka odpowiedział: „Zaakceptowanie owego instynktu zależy ostatecznie od wolnej woli każdego człowieka. Wszystko poza tym to spostrzeżenia, interpretacje pochodzące z tekstów uznawanych za święte. Jasne jest jedno: istnieje coś – czy to instynkt, czy diabeł – ukazujące się nam jako wyzwanie. Mamy nad tym zapanować, odrzucając zło. Zło nie może nami zawładnąć". Bergoglio na to: „Na tym właśnie polega bojowanie człowieka na ziemi". Ówczesny kardynał nie wycofał się z personifikacji owego „instynktu", podkreślił jednak: „co innego demon, a co innego demonizacja rzeczy lub osób. Człowiek jest kuszony, ale to nie znaczy, że z tego powodu należy go demonizować".

Wystarczy sięgnąć po pierwszą z brzegu homilię Franciszka, żeby się przekonać, że nie przestał on mówić o diable. Swego czasu aż „tłumaczył" go z tego „nawyku" ówczesny prefekt Kongregacji Nauki Wiary wobec osób, które nie wierzyły, że papież miłosierdzia i dialogu mówi o diable, jakby mówił o kimś realnym.

Osobowość diabła

Kościół naucza o osobowym złu, a Franciszek naukę tę powtarza. Trzeba jednak pamiętać, że Kościół nigdzie nie definiuje, co należy w tym przypadku rozumieć przez ów „osobowy" charakter zła – nie można więc relacji egzorcystów traktować jak „brakującego Magisterium" – co niestety stało się normą w polskim Kościele. Jak podkreśla teolog Marion Wagner, „mówienie o diable jako o osobie lub nie-osobie stanowi próbę wypowiedzenia jakiejkolwiek prawdy na temat rzeczywistości zła absolutnego, które określa się zazwyczaj mianem diabła. Alternatywą byłoby bowiem milczenie. Jeśli więc z braku jakiegoś lepszego pojęcia odwołujemy się do kategorii osoby, to staje się jasnym, iż chodzi wówczas w najlepszym przypadku o analogię. Znaczy to mniej więcej tyle, że niepodobieństwo jest większe niż podobieństwo. Mówienie o diable jest wówczas czymś więcej niż *modus loquendi*, ale zdecydowanie mniej niż definicją. Z braku lepszej terminologii pojęcie osoby staje się pewną kategorią porozumiewawczą, która może nam pomóc we wzajemnym komunikowaniu sobie informacji na temat pochodzenia i istoty zła, a także sposobu radzenia sobie z nim. Przy pomocy pojęcia osoby nie jesteśmy jednakże w stanie definitywnie powiedzieć, czym lub kim jest właściwie to coś/ten ktoś, przed czym/kim człowiek kapituluje i popada w grzech. Zło, jego pochodzenie, pozostają tajemnicą".

Choć „osobowość" diabła pozostaje tajemnicą, nie oznacza to, że on sam przestaje istnieć. Osobowość zła uwidacznia się w doświadczeniach świętych i mistyków, spełniają oni bowiem odpowiednie ku temu warunki. Demon lub diabeł staje się „widoczny" za sprawą szczególnego oddziaływania Boga na „świętego" bądź działania samego „świętego", ponieważ demon ujawnia się dopiero w obliczu dobra i świętości. Dzięki niezwykłej mocy *sacrum* zło może przybrać kształt Złego. Podobnie jak Jezus, święci odbierają obszar spotkania z Bogiem jako dwudzielny. Z ich doświadczeń wynika, że kto szuka Boga, spotyka także diabła, a dychotomiczność tej niewidzialnej przestrzeni „stanowi niemalże cechę rozpoznawczą religii żydowsko-chrześcijańskiej. W żadnej innej znanej mi religii – pisze Klaus Berger, jeden ze współczesnych egzegetów Nowego Testamentu – nie mamy z podobnym zjawiskiem do czynienia".

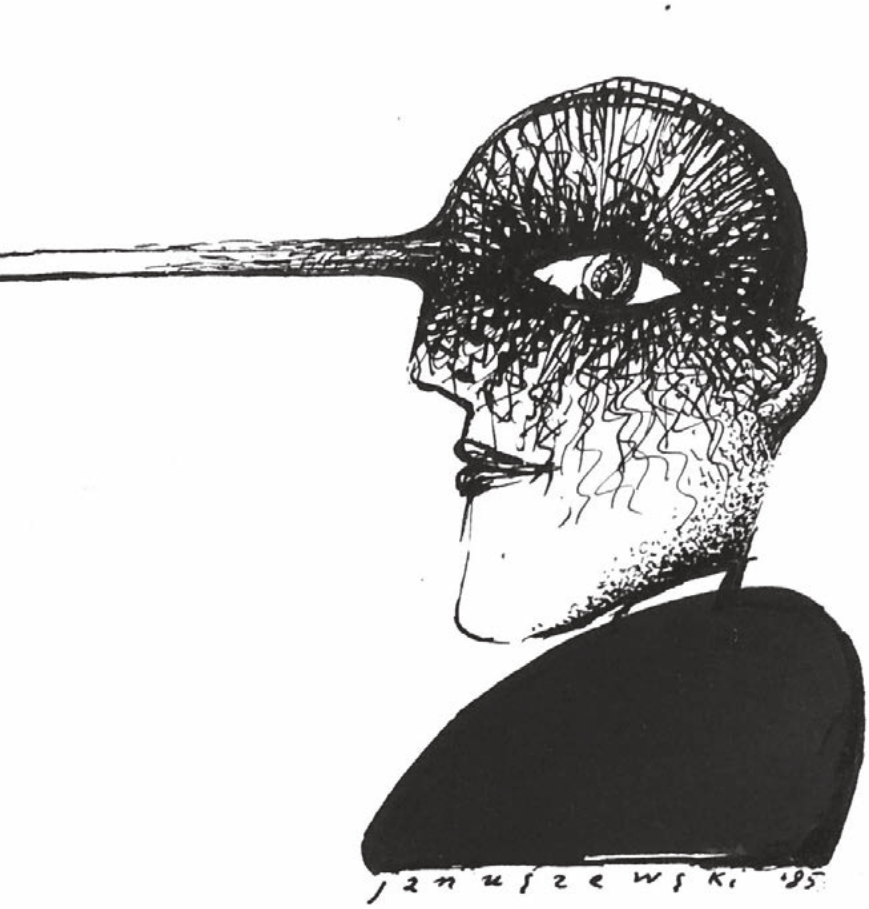

ZYGMUNT JANUSZEWSKI

Chrześcijańska hezychia, czyli pokój serca, to nie sfera bezproblemowej ciszy, lecz konflikt i walka, odnajdziemy w niej pogodny nastrój, ale zetkniemy się także z rzeczywistością odrażającą i absurdalną, i nie będzie to jedynie projekcja treści naszej nieświadomości czy przejaw (domniemanego) instynktu śmierci. Na kanwie swoich doświadczeń z sufizmem dodałbym, że również ta duchowość traktuje anioły i demony, szatana i walkę duchową realnie i zobowiązująco. Zarówno mistyczne tradycje islamu, jak i tradycja judeochrześcijańska podkreślają jednak, że walka z szatanem skierowana jest przeciwko sposobom jego oddziaływania, nie jest natomiast koncentracją na nim samym. Jeśli chce się czegoś dowiedzieć o „osobowości" zła, warto czytać świętych, a nie egzorcystów. Z kolei osobowości egzorcysty czy egzorcyzmowanego często zasługują na wnikliwą obserwację klinicysty.

Bezobjawowa obecność

Życiorysy świętych pokazują, a nasze osobiste doświadczenie to potwierdza, że zło zdaje się być doświadczane zawsze, natomiast Zły niekoniecznie – i całe szczęście, ponieważ dla wielu z nas walka duchowa to synonim dobrego sprawowania się i trzymania diety, a więc *fitness* duchowy. Zastanawiając się nad demonicznymi atakami na Proboszcza z Ars, Walter Nigg stanął wobec dylematu: „czy szatan był dla niego rzeczywistością wewnętrzną, czy zewnętrzną?". Doszedł do wniosku, że „to sprawa mniejszej wagi, decydujące jest to, że walczył z nim w realny sposób. Zło należy pojmować jako coś zarazem realnego i nierealnego, co można opisać, ale nie wyjaśnić. Tylko takie spojrzenie przybliża nas do tajemnicy potęg ponadosobowych".

Wszystko wskazuje na to, że reguła ta nadal obowiązuje. Wewnętrzna strona zła jest dla nas zamknięta i niepojęta i pozostanie dla nas ewangelicznym „koanem", ponieważ nie istnieje jaskrawe rozróżnienie pomiędzy grzechem i diabłem. Z tym „koanem" zmagał się św. Paweł, ponieważ oba zjawiska posiadają cechy osobowe. Do tego nawiązywał ówczesny kardynał, a obecny papież, mówiąc, że w grzechu widoczny jest diabeł i odwrotnie. Decydujące jest, co podkreśla w swoich homiliach, „mocowanie się". Kto jest tylko „przerażony" albo „dotknięty", bo za swoje przyjął *credo* bohaterki filmu „Egzorcyzmy Emily Rose": „Jeśli ludzie uwierzą, że zostałam opętana przez szatana, będą musieli uwierzyć i w Boga" – ten stał się najzwyczajniej zabobonny. Krytyczne znaczenie przypada samej walce duchowej, nie analizie zła. Najistotniejszą cechą tej konfrontacji jest zaś to, że zawsze – jak przepowiada Biblia – może być ona z pomocą Bożą wygrana, i nie polega na spektakularnych gestach fascynujących poszukiwaczy tego, co niewidoczne.

Opętani opętaniem to nie święci, i nie łudźmy się, że zło uda nam się „zobiektywizować". Żeby wierzyć w Boga, nie potrzeba wierzyć w szatana, i nie jest zupełnie jasne, kiedy diabeł został pokonany (nie ostatecznie, ale zasadniczo), wiadomo jednak ponad wszelką wątpliwość, w świetle danego nam Objawienia, że jest to nierozłącznie związane z Jezusem. Spróbuj być tylko Jego uczniem na serio, a zobaczysz, że na tej drodze nie jesteś sam ze sobą. Jeśli chcemy zrozumieć świętych, musimy ich wziąć w całości. Jeśli fascynuje nas postawa papieża Franciszka, to powinniśmy przyjąć, że jego nauczanie o łaskawym Bogu, Bogu miłosierdzia, nie jest obwieszczaniem jakiejś „dobrej woli" na „boskiej loterii". Papież nie jest wyznawcą łatwego tryumfu, który był z góry przesądzony. Wzywa do radykalnego uczniostwa, nie bojąc się jednak nazwać zła po imieniu.

Lekcja Wittgensteina

Bez względu na to, ile wiemy o „osobowości" zła, diabeł nie jest mitem. Tradycja chrześcijańska zna diabła bardziej jako reżysera niż aktora. To nie fascynacja złem, ale wyrzekanie się go stanowi o sensie walki duchowej.

Ludwig Wittgenstein napisał w jednym ze swoich manuskryptów: „Życie może nauczyć cię wierzyć w Boga". Kiedy filozof zastanawiał się nad możliwością konwersji na chrześcijaństwo, nie był w stanie dokonać zmiany systemu odniesienia, ale wierzył, że taka zmiana perspektywy jest możliwa. Parafrazując więc jego słowa, można na koniec powiedzieć: życie świętych nauczy cię wierzyć w diabła. Jeśli jednak diabła będziesz widział wszędzie, nie zobaczysz Boga. Nie będzie to już zabobon spragnionych sensacji „wyznawców szatana", tylko herezja *sensu stricto* i piekło na ziemi. ©℗

KS. JACEK PRUSAK SJ

Święty człowiek Siuksów

BARTOSZ HLEBOWICZ

Lakocki szaman uważający się za „ducha ziemi", a pod koniec życia katolicki katecheta, będzie beatyfikowany.

TRANSCENDENTAL GRAPHICS / GETTY IMAGES

Czarny Jeleń z plemienia Oglala Siuks, około 1880 r.

Znalazł sposób, by połączyć kulturę lakocką z katolicką, dzięki czemu lepiej zgłębił tajemnicę miłości Chrystusa i Kościoła" – mówił o Czarnym Jeleniu bp Robert D. Gruss z Rapid City w Dakocie Południowej podczas kazania 21 października w kościele Świętego Różańca w rezerwacie Lakotów Oglala w Pine Ridge. W listopadzie ubiegłego roku podczas konferencji w Baltimore katoliccy biskupi amerykańscy jednogłośnie zagłosowali za rozpoczęciem procesu beatyfikacyjnego słynnego Siuksa.

Uzdrowiciel

Jezuici założyli misję i kościół Świętego Różańca w 1890 roku – tym samym, w którym Siuksowie ulegli fascynacji prorokiem Wovoką i propagowanym przez niego Tańcem Ducha, zakończonym tragedią nad potokiem Wounded Knee, kiedy sprowokowani przypadkowym wystrzałem żołnierze zabili ponad 150 Siuksów (w tym co najmniej 60 kobiet i dzieci) – zwolenników proroka.

27-letni wówczas Czarny Jeleń (ur. 1863 r.) uczestniczył w bitwie, unosząc kilku rannych towarzyszy i sam odnosząc ranę w biodro. Zasłynął jednak nie jako wojownik ani jezuicki katecheta, lecz jako lakocki „święty człowiek", wizjoner i uzdrowiciel – a wizje w świecie Lakotów były podstawowym sposobem komunikowania się sił nadprzyrodzonych z ludźmi.

Pierwsza wizja spłynęła na Czarnego Jelenia w wieku czterech lat, druga, gdy był dziewięciolatkiem. To właśnie ta wizja, głęboka i rozbudowana, zdecydowała o życiu Czarnego Jelenia i ona stanowi centralny punkt słynnej książki „Czarny Łoś. Opowieść indiańskiego szamana" Johna Neihardta (polskie wyd. 1994; w istocie *Elk* w imieniu szamana oznacza amerykańskiego jelenia wapiti, a nie łosia). Dla wielu Indian, a także – może przede wszystkim – dla białych, książka ta stała się czymś w rodzaju indiańskiej Biblii, jak to ujął Vine Deloria, wybitny indiański pisarz i eseista. Dziewięcioletni chłopiec zostaje zaprowadzony we śnie przez gromowładnych posłańców do „Sześciu Dziadków", czyli nadprzyrodzonych istot odpowiedzialnych za istnienie świata. Dziadkowie, przyjmujący postać różnych zwierząt, przekazują Czarnemu Jeleniowi moc czynienia życia, niszczenia wrogów, leczenia, sprawiania, że drzewo życia będzie kwitło. W ostatnim z nich, Szóstym Dziadku, odpowiedzialnym za ziemię i zamieszkujących ją ludzi, Czarny Jeleń rozpoznaje samego siebie.

Wizja niepokoiła Czarnego Jelenia przez kolejne osiem lat. Bał się gromowładnych istot, które nachodziły go jeszcze kilkakrotnie. Nie wiedział, jak rozumieć to, co ujrzał, i jak korzystać z powierzonej mu mocy. Z pomocą przyszli starsi szamani, zdumieni doniosłością wizji. Poradzili Czarnemu Jeleniowi, by zorganizował ceremonię Tańca Konia, będącą demonstracją pierwszej części jego wizji. Uczynił to wiosną 1881 r. Był to sposób na poinformowanie współplemieńców o swoim powołaniu i specjalnych relacjach z istotami nadprzyrodzonymi. Wtedy zaczęła się jego kariera uzdrowiciela.

W cyrku z Dzikiego Zachodu

Siedem lat później, w 1887 r., Czarny Jeleń przyłączył się, jak wielu do niedawna

jeszcze „wrogich" wojowników, do Buffalo Bill's Wild West Show – słynnego cyrku objeżdżającego cały świat, w którym odgrywano „scenki z życia" na Dzikim Zachodzie, np. napady na dyliżanse i osadników czy bitwy z żołnierzami. Podczas europejskiego *tournée* Czarny Jeleń wystąpił nawet przed królową Wiktorią.

W Europie Czarny Jeleń zapadł na zdrowiu – z powodu tęsknoty za domem, jak sam wyznał. Po dwóch latach wrócił do rezerwatu, gdzie znalazł pracę w sklepie (1889 r.). Zaraz napisał do wydawanej w rezerwacie gazetki w języku lakockim, że jedynym jego celem podczas europejskiej podróży było zrozumienie wiary białego człowieka w Boga i tego, „jak postępuje on wedle jej zaleceń". Pragnął też odwiedzić Jerozolimę, skąd wypływało źródło wiary białego człowieka, ale podróż okazała się zbyt kosztowna. W liście do współplemieńców Czarny Jeleń obficie cytuje „Hymn o miłości" św. Pawła i namawia rodaków, by wierzyli w Boga tak jak on. Wspominał, że w Europie – a zwiedził jeszcze Francję, Niemcy i Włochy – ujęła go gościnność ludzi, z którymi się stykał.

Szkoła jezuitów

Czarny Jeleń głęboko przeżył klęskę Tańca Ducha w 1890 r. Wizja Wovoki przypomniała mu o jego wielkiej wizji: w obydwu pojawiał się obraz świętego drzewa rosnącego pośrodku kręgu ludzi. Jak opowiadał Neihardtowi, podczas pobytu w Europie moc go opuściła (stąd zapewne jego zwrot ku chrześcijaństwu) – teraz poczuł, że wracała. Po masakrze nad Wounded Knee Czarny Jeleń porzucił drogę białego człowieka: wrócił do leczenia współplemieńców w tradycyjnych rytuałach przekazanych mu w wizji przed laty. Jego największymi wrogami w rezerwacie stali się jezuici.

W 1892 r. poślubił Katie War Bonnet, która umarła w 1903 r., zostawiając mu dwóch synów, obydwu – w przeciwieństwie do ojca – ochrzczonych. Być może bezpośrednim powodem, dla którego Czarny Jeleń ostatecznie uległ jezuitom, było wydarzenie z 1904 r., kiedy próbował uzdrowić ciężko chorego chłopca. Ojciec Joseph Lindebner wtargnął do tipi, w którym odbywał się seans leczniczy, wyrwał bębenek i grzechotkę z rąk szamana i wyrzucił je z namiotu, chwycił Czarnego Jelenia za kark i krzyknął: „Odejdź, szatanie!". Czarny Jeleń bez sprzeciwu opuścił tipi. Jezuita zabrał Czarnego Jelenia do misji Świętego Różańca i po dwóch tygodniach nauk ochrzcił go, nadając imię Nicholas. Trzy lata później Czarny Jeleń został misjonarzem wśród swoich ludzi. Już nigdy nie odprawił tradycyjnej ceremonii leczniczej. Na wiarę białego człowieka nawrócił ponoć nawet czterystu Indian.

W 1906 r. Czarny Jeleń poślubił Annę Brings White. Oboje stali się liderami społeczności katolickiej w rezerwacie Pine Ridge.

„Czarny Jeleń jest skutecznym katechetą – pisał o nim jeden z jezuitów – ale jak wielu Indian pełnej krwi kiepskim zarządcą. Zawsze będzie żebrakiem, obojętnie, ile pieniędzy by mu się dało. Ostatnio dałem mu 10 dolarów za dodatkowo wykonaną pracę. Następnego dnia już prosił o więcej, ponieważ rozdał pieniądze wśród gości z innego rezerwatu. On nigdy nic nie ma i zawsze o coś prosi".

Przekazanie wizji

Jednak to lakocka natchniona wizja podróży do świata nadprzyrodzonego uczyniła Czarnego Jelenia sławnym. Stało się tak dzięki pisarzowi i poecie, Johnowi Neihardtowi, który pracował nad poematem epickim mającym zakończyć się Tańcem Ducha i tragedią nad Wounded Knee. W 1930 r. Neihardt zajechał przed dom Czarnego Jelenia, prosząc świętego męża, by opowiedział o tych wydarzeniach. Między dwoma mężczyznami zadzierzgnęła się głęboka więź. 67-letni wówczas Czarny Jeleń uznał, że Neihardt jest tym, który przekaże jego – jak się okazuje wciąż niedającą mu spokoju – wizję światu. „Duchy sprawiły, że przybyłeś, by pomóc odrodzić się drzewu, które nigdy nie zakwitło".

Kiedy Czarny Jeleń skończył opowiadać swą wizję Neihardtowi, uznał, że jego dzieło zostało wykonane, że przekazał mu swoją moc. Nie chciał rozmawiać na temat swojej prawie 30-letniej już kariery katechety. Na pytanie Neihardta, dlaczego odrzucił starą religię, odpowiedział lakonicznie: „Moje dzieci musiały żyć w tym świecie".

„Nie wiedziałem jeszcze wtedy, jak wiele się skończyło. Kiedy spoglądam wstecz z tego wysokiego wzgórza mej starości, wciąż widzę zmasakrowane ciała kobiet i dzieci, tworzące stosy lub porozrzucane wzdłuż krętego wąwozu; równie wyraźnie jak wtedy, gdy patrzyłem na to młodymi jeszcze oczyma. I widzę, że coś jeszcze zginęło tam, w tym krwawym błocie i zostało pogrzebane w zamieci. Marzenie ludzi tam umarło. Było to piękne marzenie. (...) Krąg Narodu został przerwany i rozrzucony. Nie ma już środka, a Święte Drzewo umarło".

Tymi wzruszającymi słowami kończy się książka „Czarny Łoś. Opowieść indiańskiego szamana". Sęk w tym, że ich autorem jest nie Czarny Jeleń, lecz Neihardt, który jako poeta nigdy nie ograniczał się do roli stenografa. Biały człowiek lubi melancholię, smakuje w obrazach odchodzących Indian i znikających pierwotnych kultur, które trzeba ocalić od zapomnienia, utrwalając piórem, aparatem fotograficznym czy kamerą.

A jednak nie ma tu fałszu: masakra nad Wounded Knee, którą opisał Neihardt, w istocie była symbolicznym końcem dawnego świata Lakotów. Już więcej nie chwycili za broń przeciw białym. Nie była jednak końcem życia Czarnego Jelenia, który prosperował całkiem dobrze w świecie zorganizowanym Indianom przez białego człowieka.

Duchy już nie przychodzą

Nie ma powodu, by podważać szczerość nawrócenia się Czarnego Jelenia na katolicyzm. Tak samo jak nie ma powodu wątpić w jego przywiązanie do dawnych wierzeń i światopoglądu Siuksów. Jego na wskroś lakocka wizja podróży do świata Sześciu Dziadków, uosabiających moc odpowiedzialną za istnienie świata, pozostawała uśpiona przez 30 lat. Od momentu przyjęcia katolicyzmu porzucił wykonywanie lakockich ceremonii – niezbędnych do zrealizowania nakazów zawartych w wizji. Zapewne w szerszej perspektywie na jego decyzję wpłynęła dramatyczna odmiana świata wokół niego. Oto za jego życia Lakoci – najeźdźcy, którzy w kilkadziesiąt lat opanowali Równiny Północne i siali postrach wśród wszystkich innych ludów indiańskich – z wojowników i myśliwych stali się nędzarzami lub w najlepszym razie rolnikami, osadzonymi na skrawkach niegdyś wielkiego terytorium. Jak powiedział Bojący się Niedźwiedzia, inny święty człowiek Lakotów: „Duchy już nie przychodzą, by nam pomagać. Biały człowiek je odstraszył". Kiedy jednak w 1930 r. przed drzwiami Czarnego Jelenia stanął biały pisarz-mistyk, wizja powróciła z wielką mocą.

Czarny Jeleń zmarł w 1950 r. Książkę Neihardta, która ukazała się w 1932 r., chwalili krytycy, ale czytelnicy wzruszyli ramionami. Dopiero drugie wydanie, z 1961 r., zjednało jej setki tysięcy wielbicieli na całym świecie i sławę.

W 2016 r. część rodziny Czarnego Jelenia zebrała ponad 1600 podpisów poparcia, aby w świętym mężu Siuksów rozpoznać także świętego Kościoła katolickiego. ©

Jedność wymaga, byśmy się słuchali

ZUZANNA RADZIK

Ekologia, prawa rdzennych mieszkańców, pedofilia, migracja i rozwarstwienie społeczne – te tematy dominowały podczas pielgrzymki papieża Franciszka do Chile i Peru.

Aobok nich gesty, które obiegły świat: spontaniczny ślub Pauli i Carla, pary obsługującej papieski lot, szybka wizyta na grobie „biskupa ubogich", Enrique Alveara Urrutii, czy papież czekający na przyjazd karetki do policjantki, która spadła z konia spłoszonego przez papamobile. Ale także rozmowa z dziennikarzami podczas lotu do Santiago de Chile, kiedy przyznał (rozdając obrazki z chłopcem z Nagasaki niosącym do krematorium ciało brata): „Boję się wojny nuklearnej, jesteśmy na granicy".

Oko w oko z rzeczywistością

„Dzisiejsze Chile różni się bardzo od tego, które poznałem w młodości. Rodzą się nowe formy kulturalne, które nie pasują do znanych nam ram" – mówił do osób duchownych Franciszek, który w Chile odbywał jezuicki nowicjat w latach 1959-63. Od tamtego czasu Chile przeszło 17-letni krwawy reżim Pinocheta, a od 1990 r. proces demokratyzacji i przemian ekonomicznych, które spowodowały duże rozwarstwienie społeczne.

Dzisiejsze Chile to też nowe duszpasterskie wyzwania. Podczas spotkania z duchownymi papież przestrzegał przed pokusami zamknięcia się w sobie w celu obrony własnego stanowiska i myślenia, że wszystko jest złe – które zastępują głoszenie Dobrej Nowiny. „Czy nam się to podoba, czy nie, jesteśmy wezwani do stawiania czoła rzeczywistości takiej, jaka nam się ukazuje – osobistej, wspólnotowej i społecznej" – mówił papież

Rzeczywistość Kościoła w Chile jest zaś taka, że w ciągu ostatniej dekady stracił 10 proc. wiernych. Mówiąc do biskupów o nowym stylu duszpasterstwa, papież podkreślił rolę świeckich. „Oni nie są naszymi parobkami. Nie muszą powtarzać jak papugi tego, co mówimy. »Nie« dla klerykalizmu i idealnych światów, które wkraczają jedynie w nasze schematy, ale nie dotykają niczyjego życia" – podkreślił.

Spotkanie z ofiarami

Rzeczywistość chilijskich katolików naznaczył też skandal, który wybuchł w 2010 r., gdy o molestowanie nieletnich oskarżony został charyzmatyczny duszpasterz ks. Fernando Karadima. Franciszek podjął ten temat już podczas rozpoczynającego wizytę spotkania w pałacu prezydenckim, wyrażając ból, wstyd i prosząc o wybaczenie. Kontynuował na spotkaniu z duchownymi, prosząc ich „o męstwo proszenia o wybaczenie".

Słowa papieża nie zniosły jednak wątpliwości. Chodzi o sprawę mianowanego przez Franciszka w 2015 r. biskupem Osorno Juana Barrosa, oskarżanego o tuszowanie sprawy ks. Karadimy, a nawet o to, że był świadkiem molestowania. To dlatego pod pałacem prezydenckim 17 stycznia i na mszy następnego dnia powitał papieża transparent o treści „Ani lewacy, ani głupcy, Osorno cierpi. Biskup Barros tuszował". O tym, że temat nie ominie Franciszka, wiadomo było nie tylko ze względu na zapowiedziane protesty. Tuż przed wizytą, 12 stycznia, Associated Press ujawniła odpowiedź Franciszka z 2015 r. na skargi chilijskich biskupów spowodowane nominacją Barrosa. Wynika z niej, że papież wiedział o tym, co się zarzuca duchownemu. Watykan nie komentuje treści listu. Nie mniejsze kontrowersje wywołało pokazane przez chilijską telewizję nagranie z 2015 r., na którym papież w rozmowie z pielgrzymami mówi, że społeczność Osorno „cierpi z głupoty, bo uwierzyła w to, co politycy bezpodstawnie mówią o winie biskupa" oraz że „to dzieło lewaków".

W rozmowie z reporterami przed czwartkową mszą w Iquique Franciszek nazwał oskarżenia pod adresem Barrosa kalumniami i podkreślał, że nie ma dowodów jego winy. Jak potwierdza biuro prasowe Stolicy Apostolskiej, w Santiago de Chile papież spotkał się z ofiarami nadużyć seksualnych popełnionych przez duchownych. Spotkanie było ściśle prywatne i nie wiadomo, kto brał w nim udział.

Sprawiedliwość dla tubylców

Już na samym początku wizyty, podczas spotkania z władzami Chile, papież zachęcił do korzystania z mądrości ludów tubylczych i ochrony ich kultury. „Należy strzec pluralizmu etnicznego, kulturowego i historycznego od wszelkich zakusów stronniczości lub dominacji" – mówił. Taki apel jest w Chile jak najbardziej na miejscu ze względu na zróżnicowanie etniczne i migracje z różnych części kontynentu.

„Jeśli przyjrzymy się miejscom, które lubi odwiedzać papież, to są one na granicy: na granicy egzystencjalnej, bo jest tam ból, cierpienie, blizny, ubóstwo" – powiedział biskup Temuco, Héctor Vargas Bastidas, komentując wizytę Franciszka w swojej diecezji. Region Araukanii spełnia wszystkie te kryteria. To najbiedniejszy region Chile, dotknięty również trudnym dziedzictwem historii. Na lotnisku Maqueue, na którym papież odprawił mszę, reżim Pinocheta utworzył miejsce zatrzymań i tortur (z ofiarami reżimu papież spotkał się już wcześniej, w Santiago). Araukanía to ziemia ludu Mapucze, największej w Chile grupy etnicznej. Mapucze długo opierali się kolonizatorom i ostatecznie przegrali dopiero z wojskiem chilijskim w 1818 r. – rozpoczął się proces odbierania im ziemi. Tegoroczna 200. rocznica uzyskania przez Chile niepodległości jest więc dla nich bardzo gorzka. Żądają zwrotu ziemi, prawnego uznania ich języka i kultury oraz zaprzestania dyskryminacji. Prezydent Michelle Bachelet dopiero kilka tygodni temu przeprosiła ich za historyczną niesprawiedliwość.

Gniew niewielkiej, ale radykalnej części społeczeństwa jest skierowany nie tylko wobec państwa, ale także wobec Kościoła. Od lat podpalane są świątynie: tuż przed wizytą Franciszka do fundamentów spłonęły dwie kaplice. Dlatego w Temuco, w obawie przed protestami, zgromadzono 4 tys. policjantów. Niewątpliwie wizyta papieża i związane z nią protesty pomagają zyskać sprawie ludu Mapucze rozgłos międzynarodowy. Ale jak słusznie w rozmowie z „Guardianem" zauważała liderka Mapucze, Isolde Reugue: „To chilijski rząd musi rozwiązać nasze problemy, a nie papież. Słowa Franciszka jednych rozczaro-

ALESSANDRO BIANCHI / REUTERS / FORUM

Papież Franciszek w peruwiańskim Puerto Maldonado, 19 stycznia 2018 r.

wały, bo spodziewali się czegoś mocniejszego, innych ucieszyły. On zaś mówił głównie o jedności".

Słowa „*Mari, Mari*" (Dzień dobry) i „*Küme tünngün ta niemün*" (Pokój wam) rozpoczęły homilię papieża w Temuco. Liturgii, która zgromadziła 400 tys. osób, towarzyszyły tradycyjne tańce i instrumenty. „Jedność to nie jednorodność, lecz pojednana różnorodność, nie rodzi się z neutralizowania różnic. Wymaga, byśmy się nawzajem słuchali, a przede wszystkim uznawali" – tłumaczył papież.

Ratunek dla Amazonii

Spotkanie z ludem Mapucze nie było jedynym kontaktem Franciszka z rdzennymi mieszkańcami. Za najważniejszy punkt wizyty uważa się spotkanie w peruwiańskim Puerto Maldonado. Brazylijski kardynał Cláudio Hummes, przewodniczący Panamazońskiej Sieci Kościołów, uważa, że to spotkanie historyczne, przygotowujące do nadchodzącego synodu biskupów poświęconego Amazonii. Będą na nim dyskutowane wyzwania duszpasterskie związane z malejącą liczbą misjonarzy w regionie, a także wykluczenie, różnice kulturowe, skutki zmian klimatycznych i inne problemy ekologiczne na terenach Amazonii.

Uznawana za zielone płuca planety Amazonia skupia w sobie problemy ekologiczne całego świata. W ciągu ostatniego półwiecza wycięto 17 proc. puszczy, głównie pod hodowlę bydła. Region Madre de Dios, odwiedzony przez papieża, doświadcza rabunkowej wycinki pod drogi, uprawy i nielegalne kopalnie złota, które poza tym są miejscem niewolniczej pracy i zatruwają wodę rtęcią. Papież stwierdził, że „pochwalna pieśń [ku czci stworzenia] załamuje się, gdy widzimy rany, jakie ponosi Amazonia i jej ludy". Miał na myśli nie tylko dewastację środowiska, ale też przemoc wobec nieletnich i kobiet, handel ludźmi, swoistą nową kolonizację. Papież kierował do zgromadzonych słowa pocieszenia i solidarności, przyznając, że pierwotne ludy Amazonii nigdy nie były tak zagrożone na swoich terytoriach jak dziś.

Peryferie w centrum

„W końcu będziemy w centrum uwagi" – mówił Reuterowi Eduardo Farfan, sklepikarz z Puerto Maldonado, narzekając, że w stolicy nikt nie wie, gdzie jest jego miasto. W centrum stanęły w tym tygodniu również odległe nam Chile i Peru – to, co w nich piękne, ale też społecznie trudne. Faktycznie: papież preferuje pielgrzymowanie do obszarów naznaczonych bliznami i marginalizowanych. Do tego samego wzywał chilijskich duchownych, mówiąc, że nie ma co czekać na świat idealny i na wspólnotę idealną, ale trzeba pozwalać przygnębionym spotkać się z Jezusem. ©℗

„TP" 4 / 2018

Oświadczenie ws. artykułu o. Ludwika Wiśniewskiego pt. „Oskarżam"

Ojciec Ludwik Wiśniewski w tekście pt. „Oskarżam" („Tygodnik Powszechny" 21.01.2018, s. 11-14) zarzucił polskim biskupom, że „milczą" w bieżących sprawach dotyczących życia Kościoła i społeczeństwa.
Jak wyglądają fakty? Oto tylko niektóre przykłady działań Konferencji Episkopatu Polski chociażby z czterech minionych dni.
W niedzielę 14 stycznia w całej Polsce był obchodzony 104. Światowy Dzień Migranta i Uchodźcy, podczas którego korzystano z formularza „Mszy za uchodźców i wygnańców", na co – zgodnie z przepisami liturgicznymi – wyrazili zgodę wszyscy biskupi diecezjalni. Ponadto księża biskupi – nie tylko w tę niedzielę – w homiliach uwrażliwiają na potrzeby migrantów i uchodźców, zachęcając do udzielania im wszelkiej możliwej pomocy.
W poniedziałek 15 stycznia w Sekretariacie Konferencji Episkopatu Polski odbyła się konferencja prasowa nt. 104. Światowego Dnia Migranta i Uchodźcy w Kościele katolickim, na której przewodniczący KEP abp Stanisław Gądecki przypomniał nauczanie papieża Franciszka i Kościoła katolickiego na ten temat, a bp Krzysztof Zadarko przedstawił dokument Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka (Sekcji ds. Migrantów i Uchodźców) pt. „20 punktów działalności ws. migrantów i uchodźców".
We wtorek 16 stycznia w środkach społecznego przekazu miała miejsce debata na temat poniedziałkowej konferencji.
W środę 17 stycznia abp Stanisław Gądecki, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski, wydał dokument o niebezpieczeństwie nacjonalizmu i pięknie patriotyzmu. Został on opublikowany z okazji obchodzonego 17 stycznia br. XXI Dnia Judaizmu. Tego samego dnia bp Rafał Markowski, przewodniczący Komitetu Konferencji Episkopatu Polski ds. Dialogu z Judaizmem, skierował słowo będące komentarzem i uaktualnieniem hasła tegorocznego Dnia Judaizmu: „Pokój! Pokój dalekim i bliskim" (Iz 57, 19).
Tak więc zarzut o. Ludwika Wiśniewskiego, że „biskupi milczą", jest bezpodstawnym oskarżeniem i krzywdzącym nadużyciem.

KS. DR PAWEŁ RYTEL-ANDRIANIK
Rzecznik Konferencji Episkopatu Polski

Warszawa, 17.01.2018 r.

Odpowiedź redakcji

Warto, uważnie czytając (najlepiej w całości) tekst ojca Ludwika, zwrócić uwagę, że słowo „oskarżam" – oprócz tytułu – znaleźć można w czterech miejscach. Autor swoje oskarżenie kieruje do precyzyjnie opisanych środowisk. Są nimi: posłowie i senatorowie żerujący na lęku przed uchodźcami, a jednocześnie przyznający się publicznie do Kościoła; media o. Tadeusza Rydzyka za sączenie od lat trucizny nienawiści i dzielenie Polaków; Jarosław Kaczyński razem z organizatorami i uczestnikami miesięcznic za propagowanie wrogości i nienawiści w religijnym opakowaniu; oraz kapłani, którzy tolerują albo wręcz pochwalają nacjonalizm i wrogość podczas Marszów Niepodległości czy pielgrzymek nacjonalistów na Jasną Górę.
Wśród oskarżonych grup nie ma biskupów. Natomiast tekst wyraża ból autora z powodu milczenia biskupów zwłaszcza w dwóch sprawach: sprzecznych z Ewangelią nadużyć Radia Maryja oraz pseudoreligijnego charakteru miesięcznic.
Na wyrażeniu rozczarowania jednak autor się nie zatrzymuje. Ojciec Ludwik wierzy w moc odziaływania autorytetu polskiego Episkopatu. „Dlatego ośmielam się prosić, zresztą w imieniu wielu myślących podobnie: Księża Biskupi, wkroczcie na publiczną arenę. Wybiła godzina, kiedy jesteście bardzo, a bardzo potrzebni – Kościołowi, ale też Polsce" – pisze w ostatnim akapicie.
Ojciec Ludwik nie oskarża biskupów, że milczą w sprawie uchodźców, przeciwnie – zauważa m.in., iż „pasterze polskiego Kościoła z całą odpowiedzialnością oświadczają, że stosunek rządu do uchodźców jest nieewangeliczny i niechrześcijański". Autor nie mógł też w żaden sposób odnieść się do wymienionych przez rzecznika Episkopatu ważnych biskupich inicjatyw z ostatnich dni z prostego powodu: jego tekst był już w drukarni. Nic nie stoi jednak na przeszkodzie, żeby zostały one uwzględnione w przyszłości – w kolejnej ważnej analizie o. Ludwika Wiśniewskiego na naszych łamach.

REDAKCJA „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Kluby „Tygodnika Powszechnego" zapraszają

NOWY KLUB! BYDGOSZCZ
Spotkanie organizacyjne. Czwartek, 25 stycznia, godz. 18.00, Sala Pamięci Bydgoszczan, Biblioteka Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego (ul. Szymanowskiego 3).

BIELSKO-BIAŁA
Spotkanie „O sumieniu w nauczaniu papieża Franciszka". Gościem będzie ks. dr Andrzej Abdank-Kozubski. Poniedziałek, 29 stycznia, godz. 17.00, Klub Nauczyciela (ul. Wzgórze 11).

PARYŻ
Spotkanie „Dlaczego chrześcijanie powinni interesować się judaizmem?". Gościem będzie brat Louis-Marie Coudray, dominikanin. Wtorek, 30 stycznia, godz. 20.00, La Résidence Internationale d'étudiants Jean-Paul II (52 avenue Laplace, 94110 Arcueil). UWAGA! Liczba miejsc ograniczona, prosimy o potwierdzenie mailowo, na adres paryz@klubtygodnika.pl. Spotkanie w języku francuskim!

GRUDZIĄDZ
Spotkanie „Klucz do korytarza humanitarnego w Polsce". Piątek, 2 lutego, godz. 17.30, Kontynenty Café Bistro&Bar (ul. Starorynkowa 12/14).

GLIWICE
Spotkanie „Czy wolna wola jest wolna?". Gościem będzie ks. prof. Józef Bremer, rektor Akademii Ignatianum. Poniedziałek, 5 lutego, godz. 17.30, Klub Pracowników Politechniki Śląskiej (ul. Banacha 3).

LIPSK
Spotkanie „Polska-Niemcy. Dialog kultur". Czwartek, 8 lutego, godz. 18.30, Kirchencafé-Café3KLANG (Nonnenmühlgasse 2).

SZYMON

Hołownia:
Teraz albo nigdy

Szwankuje mi ostatnio jakiś poznawczy narząd, przyznaję bowiem bez bicia, że coraz trudniej przychodzi mi zrozumieć niektórych polskich, katolickich konserwatystów. W ubiegłym tygodniu ruszyli do internetu na swoje kolejne żniwa, komentować newsa o tym, że papież Franciszek pobłogosławił na pokładzie samolotu sakrament małżeństwa stewarda i stewardesy.

Historię wszyscy znają. Wieloletnia para (z dwójką dzieci) żyła w związku cywilnym. Mieli zaplanowany ślub kościelny, ale trzęsienie ziemi zburzyło im parafię, a później sprawa rozeszła się po kościach. Do papieża podeszli prosząc o zdjęcie i błogosławieństwo, on zapytał, czy są parą, opowiedzieli mu więc swoją historię. Franciszek zaproponował (w stylu człowieka, który jeszcze w Argentynie udzielał sakramentów na ulicy, tam gdzie w danej chwili byli potrzebujący tego ludzie), że jeśli chcą ślubu kościelnego, mogą zawrzeć go teraz i tutaj. I zawarli. Co potwierdza spisany odręcznie na kartce formatu A4 protokół.

No i się zaczęło: „Niszczenie w ludzkich sercach obrazu sakramentu", „Chodzi o ludzi żyjących wcześniej wiele lat w grzechu ciężkim", „Teraz to pewnie zezwoli na rozwody, zniesie celibat, a w końcu ogłosi, że nie ma Boga", „Ten schizmatyk po raz kolejny pokazuje, że prawo w Kościele jest po to, żeby je ignorować"; „Teraz to jedni będą chcieli wziąć ślub na latarni, a drudzy na drzewie", „Postmodernistyczni duchowni sami rozbijają od środka nasz święty Kościół", „Gdzie metryki chrztu, gdzie nauki przedmałżeńskie?", „Ten sakrament jest z natury nieważnie zawarty". To wszystko komentarze z mojego i paru innych facebookowych profili. Autorami połowy z nich są księża.

Na szczęście byli i tacy, w tym profesorowie kanoniści, którzy cierpliwie wyjaśniali, że nie złamano prawa, ale je wypełniono. Biskup Rzymu ma bowiem władzę dyspensować od prawie wszystkiego. Nie mógłby pobłogosławić tego ślubu tylko wtedy, gdyby kandydaci byli rodzeństwem, nie byli ochrzczeni albo już byli związani sakramentalnym węzłem (bycie w stanie łaski uświęcającej nie jest warunkiem ważnego zawarcia małżeństwa). Takie jego prawo i to nie papież, tylko każdy, kto je kwestionuje, stawia się w pozycji siewcy zamętu.

To prawda: wymogi formalne też są po coś – zabezpieczają ludzi, porządek w Kościele, podkreślają wagę sakramentu. Zgoda, ale czy w jeszcze większym stopniu nie podkreśla jej to, że papież słysząc o historii tej pary nie machnął ręką, mówiąc kurtuazyjne: „O, to świetnie!", tylko uznał, że mogą znaleźć w Kościele jeszcze większy skarb? Papież miał później stwierdzić w rozmowie z panem młodym, że we współczesnym świecie sakrament małżeństwa to taka rzadkość, że może ta historia stanie się przykładem dla innych. To nie metryka chrztu jest niezbędna do ślubu, tylko ochrzczony człowiek.

Pod koniec dnia dyskutanci, po przewertowaniu kodeksów, zgodzili się (jedni chętnie, inni mniej), że sakrament zawarty w ten sposób jest ważny; zaczęła się dyskusja, czy zawarty został godnie. Słowo daję, czasem chciałbym być mocniejszy w historii Kościoła, na tyle mocny, by udało mi się ustalić, kiedy niektórzy europejscy (bo to nasza, babci Europy, przypadłość) chrześcijanie pozmieniali się z apostołów w kodeksy. Duch Święty w trudnych czasach daje im proroka, który w jednym geście podnosi ludzi, wprowadza na ścieżkę pełnej jedności z Kościołem, daje przykład zaufania, a tu lamenty i jeremiady, że nie zgadzały się papierki.

Próbuję „rozkminić" i od strony ducha, i od strony psychologii, co siedzi w głowach ludzi, którzy alergią reagują na wszystkie sytuacje, w których Franciszek pokazuje, że norma ma być narzędziem leczącym ludzkie biedy (bo całe prawo Boże ma ten cel). Człowiek ma się zbawić, nawet jeśli ksiądz nie będzie miał fest porządku w papierach. Człowiek, również ten ciężko połamany, ma się zbawić, nawet jeśli trzeba będzie podać mu – za zgodą Kościoła, papieża, biskupa – środki, których w pełni zdrowemu osobnikowi podawać nie wolno.

Nie jestem w stanie tego zrozumieć: dlaczego ktoś, kto do swojego ślubu szedł formalną Drogą Krzyżową, nie może po prostu ucieszyć się z tego, że ktoś inny iść nią nie musiał? Dlaczego człowiek, który po rozpadzie związku z szacunku dla sakramentu trwa w powściągliwości, ma czuć się zraniony, oszukany, zawiedziony tym, że Kościół uzna, iż ktoś, kto w owej powściągliwości nie trwał (ale realnych szans na powściągliwość już nie ma), będzie miał prawo do przyjęcia komunii jako leku, który pomoże mu się pozbierać? „Grzech przestaje być grzechem" – grzmią znajomi ze środowiska polskich tradycjonalistów, wrzucając memy z Henrykiem VIII trzymającym pod pachą adhortację Franciszka „*Amoris laetitia*". To nie grzech przestaje być grzechem – to Ewangelia przestaje być szkółką niedzielną, w której wszystko zależy od wyników testów, realizacji edukacyjnych algorytmów, od zdobytych stopni.

Kościół proceduralny utrzyma wiernych (w ryzach), nikogo jednak nie przyciągnie. Bo do Kościoła przyciąga nie norma prawna, nie idea, nie rytuał, lecz spotkanie. W którym dwie jedności tworzą coś więcej niż sumę części, nagle sprawy ustawiają się w zaskakujące konfiguracje. Tak stało się przecież w życiu Zacheusza, apostołów, pochwyconej na cudzołóstwie kobiety, Kananejki przy studni, Syrofenicjanki i tylu innych, dla których Pan stał się nieoczekiwaną odpowiedzią na ich pytania.

W Kościele czuję się świetnie, mam szczęście znać wspaniałych księży, znam super wspólnoty, zdobywam wiedzę, daję się policzyć, gdy liczą *dominicantes* i *communicantes*. Wszystko jakoś idzie. W mojej parafii, w kościołach, do których chodzę, w rozmowach, brakuje mi jednak czasem takiego właśnie Franciszkowego, Jezusowego szaleństwa. Tego „tu i teraz, teraz albo nigdy" od razu, bez warunków wstępnych, dotknięcia, które radykalnie uzdrawia moje biedy. Tak, jasne, mam je w Eucharystii, nie mogę oczekiwać więcej. A jednak oczekuję (może naiwnie), że ten gest pojawi się kiedyś w codziennej relacji ze wspólnotą.

Kościół to nie muzeum, w którym pilnie strzeże się map z trasą do nieba. To spotkanie w drodze z Kimś, kto sam jest Drogą. I który uzdrawiał wtedy, gdy poruszyła go ludzka prośba, a nie po rozwianiu podejrzeń, analizie przeznaczonego na ten rok duszpasterski pastoralnego biznesplanu, dostarczeniu zaświadczeń, przeprowadzeniu wywiadu środowiskowego, zaliczeniu przez chorego kursów z dziedziny zarządzania życiową zmianą oraz – *last but not least* – wniesieniu stosownych opłat („co łaska, ale ludzie mniej niż pięćset nie dają"). ©

WSZYSTKO, CO POD NIEBIOSAMI

Polityka Chin – konsekwentna i napędzana resentymentem – budzi coraz większe obawy. Czy na Dalekim Wschodzie Pax Sinica wyprze powojenny Pax Americana?

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

Kiedy w grudniu ubiegłego roku na lotnisku w Pekinie prezydenta Korei Południowej, Moon Jae-ina, powitał urzędnik w randze ledwie wiceministra, media w Seulu uznały to za brak szacunku. Gdy okazało się potem, że premier Chin nie podjął gościa rytualnym lunchem, a część koreańskiej świty została tak poturbowana przez lokalne siły porządkowe, że nie obeszło się bez pomocy medycznej (*sic*!), południowokoreańskie gazety pisały już o „dyplomatycznej katastrofie".

Wszystko to było – ze strony Pekinu – świadome i przemyślane. Chiny skarciły w ten sposób swojego mniejszego sąsiada za decyzję o rozmieszczeniu u siebie amerykańskiego systemu obrony antyrakietowej THAAD. Ma on chronić przed atakiem ze strony Korei Północnej, ale Chińczycy obawiają się, że może służyć także do szpiegowania chińskiej armii. Jeszcze przed wizytą prezydenta Moona Chiny Ludowe – reagując na decyzję Seulu – zamknęły południowokoreańskie dyskonty, zawieszono nawet turystyczne loty czarterowe do Seulu.

Taki styl dyplomacji – i to wobec kraju, z którym Pekin utrzymuje zasadniczo poprawne relacje – przywołuje historyczne skojarzenia.

Przez dwa tysiące lat swego istnienia jako imperium, Państwo Środka wobec obcych utrzymywało tylko stosunki wasalne. Czy rosnąca dziś na powrót potęga Chin może oznaczać próbę odtworzenia dawnego porządku?

Chiński uniwersalizm

„*Tianxia*" (w pisowni chińskiej: 天下) – czyli wszystko, co „pod niebiosami" – oznaczało w dawnych Chinach postrzeganie świata, w którego centrum znajdował się cesarz sprawujący władzę z nadania boskiego. Nikt na świecie nie mógł być mu równy.

Przestrzeń „*tianxia*" wyznaczała granice cywilizacji. Posuwając się koncentrycznie od pałacu cesarskiego, zaliczały się do niej tereny rdzennie chińskie zamieszkałe przez Hanów [Chińczycy Han to największy naród zamieszkujący teren Chin – red.], następnie obszary podbite i włączone do cesarstwa, wreszcie kraje pozostające wobec Chin w stosunkach wasalnych (w literaturze pojawia się tu także określenie: system trybutarny). W zamian za regularne składanie hołdu cesarzowi otrzymywały one dostęp do rynku i kultury Chin.

KEVIN FRAYER/ GETTY IMAGES

Parada wojskowa na placu Tiananmen. Pekin, 3 września 2017 r.

Inaczej niż w imperializmie zachodnim, który opierał się na kolonialnej eksploatacji, tu istotą relacji było zachowanie hierarchii. Zhołdowany kraj zachowywał dużą swobodę wewnętrzną, ale jego władca mógł być co najwyżej królem, nigdy cesarzem.

Granice chińskiego świata pozostawały płynne – przez 2 tys. lat, na dłużej lub krócej, obejmował on: Koreę, Japonię, królestwo Ryukyu (wyspa Okinawa), Indochiny, Sri Lankę i dalej Tybet oraz Mongolię. Wedle oficjalnej wersji kraje te z własnej woli lgnęły do atrakcyjnej chińskiej cywilizacji. Dlatego obecny premier Chin, Li Keqian, może mówić, że „ekspansjonizm nie jest częścią chińskiego DNA".

Jednak fakty są nieco inne. Władcy krajów, którzy bez czynnego oporu zginali kark przed cesarzem, robili to często w poczuciu realizmu – czy raczej fatalizmu – wobec gigantycznej przewagi Chin. Z drugiej strony, w historii cesarstwa nie brakuje przykładów militarnej ekspansji i wojen toczonych z krnąbrnymi „barbarzyńcami" (jak ich nazywano; nasuwa się tu analogia z imperium rzymskim). Postępował tak słynny admirał Zhen He, który w XV w. na czele armady liczącej 200 statków wyprawiał się aż po wybrzeża Afryki. Na lądzie zaś wiele razy robiła to chińska armia – choćby wobec Wietnamu, który opierał się sinizacji. Najazd miliona chińskich żołnierzy na Wietnam w 1406 r. trwał 21 lat i pochłonął siedem milionów ofiar.

W tradycyjnym postrzeganiu świata przez Chiny najbardziej nieposłusznym sąsiadem pozostaje jednak Japonia. Kraj ten, hołdując własnej wyjątkowości, nie tylko długo opierał się wasalizacji, ale gdy czuł się wystarczająco silny, potrafił podnieść rękę na chińskie cesarstwo. „Chiny i Japonia to jak dwie galaktyki przyciągane siłą grawitacji, skazane na okresowe kolizje, aby odbić się po wyrządzeniu wzajemnych zniszczeń" – pisał historyk Joshua Vogel.

Zmyć upokorzenie

Dziś 70 proc. seriali produkowanych co roku w Chinach ma antyjapoński wydźwięk. Japonia skupia na sobie traumę „stu lat upokorzenia", którego Chiny zaznały z rąk obcych od połowy XIX do połowy XX wieku.

Mocarstwa imperialne Zachodu wraz z Japonią wykrajały wtedy dla siebie kawałki „chińskiego melona". Obok codziennego poniżenia (słynne tabliczki „Psom i Chińczykom wstęp wzbroniony"), symbolem degradacji stała się choćby konferencja w Wersalu po I wojnie światowej, gdzie Chińczyków przydzielono do „dziecięcego stolika" – razem z Grecją i Syjamem.

To sponiewieranie przez obcych oznaczało jednak przede wszystkim uderzenie w splot chińskiej kosmologii, sytuującej Państwo Środka w centrum jedynej cywilizacji. Dopiero od tego momentu Chiny zaczną postrzegać siebie jako kraj azjatycki.

Trauma tego okresu jest paliwem dla współczesnego chińskiego nacjonalizmu, który z kolei stanowi jeden z filarów legitymizacji komunistycznych władz. W ramach tzw. patriotycznej edukacji dzieci dostają solidną dawkę z „historii upokorzenia", zwłaszcza o zbrodniach japońskiej armii w Chinach, w latach 30. i 40. XX w.

Co ciekawe, antyjapońskie ostrze współczesnej propagandy jest stosunkowo nowym wynalazkiem. Za czasów Mao Zedonga – twórcy komunistycznych Chin w 1949 r. i ich wieloletniego przywódcy (zmarłego w 1976 r.) – niewiele mówiło się np. o masakrze w Nankinie, gdzie na przełomie roku 1937 i 1938 japońscy żołnierze zamordowali ponad 200 tys. Chińczyków. Ofiarami byli bowiem głównie nacjonaliści Czang Kaj-szeka, ówczesnego śmiertelnego wroga chińskich komunistów. Również potem, gdy Chiny potrzebowały japońskich pieniędzy i technologii, historia nie stała na przeszkodzie we wzajemnych relacjach. Dopiero od ery Jiang Zemina, w latach 90. XX w., patriotyczna edukacja i antyjapońskość stały się istotnym narzędziem polityki.

Tak czy inaczej, od powstania republiki w 1912 r. kolejni przywódcy państwa chińskiego – od Sun Jat-sena po Xi Jinpinga (od 2013 r. przywódcy ChRL) – bez względu na różnice w ideologii mówią o moralnym imperatywie wymazania historycznego wstydu. Przez 20 lat Chang Kaj-szek zaczynał wpis w swym dzienniku od słowa „*xuechi*", „pomścić upokorzenie". Pisał on wprost o odzyskiwaniu dawnych wasali.

Zwycięzcy składają hołd

Nie wiadomo, jakie są faktyczne intencje obecnych władz. Ale jedno jest pewne: napędzana resentymentem polityka zagraniczna, zwłaszcza w wykonaniu mocarstwa, musi budzić obawy.

Obszarem „do odzyskania" na dziś wydaje się pas wód okalający Chiny: Morze Wschodnio- i Południowochińskie wraz z tamtejszymi wyspami. Chińczycy toczą o nie spory z państwami regionu, od Japonii po Wietnam i Filipiny. Trudno zliczyć incydenty, gdy chińskie okręty naruszały wody terytorialne sąsiednich państw.

W 2013 r. rząd Filipin oddał kwestię spornych terytoriów do trybunału arbitrażowego przy ONZ. Po trzech latach ↦

↦ wydano werdykt, który odrzucił historyczne racje Pekinu do większości Morza Południowochińskiego. Dotychczasowe zachowanie Chin miało – zawyrokował trybunał ONZ – „naruszać prawo międzynarodowe, powodując szkody nie do naprawienia dla środowiska morskiego, stanowiąc zagrożenie dla filipińskich statków i łodzi rybackich".

Pekin demonstracyjnie zlekceważył ten werdykt, uznając go za „polityczną farsę pod płaszczykiem prawa", w chińskim internecie zaś zaczęto wzywać do wojny o „odwieczne chińskie terytoria". Co ciekawe, Filipiny – jakby wystraszone swoim sukcesem – zajęły szybko pojednawcze stanowisko wobec Pekinu. Przypomniała się stara wietnamska maksyma: „Po zwycięstwie nad Chińczykami następnego dnia idziemy im złożyć hołd".

Tymczasem, nie oglądając się na reakcje sąsiadów ani prawo międzynarodowe, Chiny konsekwentnie zagospodarowują dla siebie kolejne wysepki – te istniejące i te sztucznie dziś tworzone – na Morzu Południowochińskim. Powstają tam przyczółki baz wojskowych, z pasami startowymi i magazynami amunicji. Formalnie Chińczycy chcą dla siebie blisko 90 proc. całego akwenu, czyli również obszary w bezpośredniej bliskości Filipin czy Malezji, oddalone setki kilometrów od wybrzeży Chin.

Historia ponad prawem

Pierwszy raz mapę swych żądań wobec Morza Południowochińskiego Pekin pokazał dopiero w 1949 r., twierdząc jednak, że zakreślony obszar stanowi „odwieczną chińską własność".

Tymczasem, pomijając już nawet werdykt ONZ, również historyczna analiza chińskiego stanowiska budzi wątpliwości. Chiny dominowały na Morzu Południowochińskim dopiero od XIII w., wcześniej handlem trudnili się tam głównie Malajowie. Chyba że, w zgodzie z ówczesnym postrzeganiem świata, tych ostatnich uznamy za część hierarchicznego chińskiego ładu.

Ponadto – niezależnie od tego, kto miałby tu mieć racje historyczne – wprowadzenie do dyplomacji prymatu historyczności ponad prawem międzynarodowym może mieć nieobliczalne konsekwencje. Zwłaszcza w tej części świata.

Bo czymże są obecne granice albo normy prawa międzynarodowego wobec tysięcy lat chińskiej cywilizacji? Co stanie się zatem, gdy za jakiś czas Chiny upomną się o inne „historyczne ziemie", choćby o japońską Okinawę, która przez wieki, jako Królestwo Ryukyu, składała hołd chińskiemu cesarzowi?

Nieobliczalne skutki może mieć wprowadzenie do dyplomacji prymatu historii ponad prawem. Bo czymże są obecne granice i normy prawne wobec tysięcy lat chińskiej cywilizacji? Wedle tej logiki Chiny mogą upomnieć się np. o japońską Okinawę.

Dziś brzmi to może jak fantazja. Innego zdania jest jednak Yoichi Funabashi, jeden z bardziej znanych i wyważonych japońskich publicystów: „Przez dwa tysiące lat Chiny zasymilowały setki mniejszych społeczności. Dla Japonii największym problemem jest to, że Chińczycy wierzą w system wasalny, traktując to jako naturalny porządek rzeczy. Ich ostatecznym celem jest wypchnięcie USA z regionu i przejęcie kontroli nad pierwszym łańcuchem wysp" (chodzi o łańcuch archipelagów od Japonii aż po Indochiny).

W tej interpretacji ostatnie półtora wieku stanowi jedynie epizod w chińskiej historii. I wbrew oczekiwaniom to nie Chiny wrastać będą w istniejący system norm międzynarodowych, lecz to one same narzucą innym własny porządek.

Pułapka Tukidydesa

Znaczenie sporu o kontrolę nad morzami Dalekiego Wschodu polega nie tylko na tym, że biegną tędy ważne szlaki handlowe, i że występują tam surowce naturalne. Obszar ten leży w sferze interesów strategicznych USA, związanych militarnie ze swoimi sojusznikami w tym regionie świata.

Zawłaszczenie przez Pekin większości Morza Południowochińskiego co najmniej utrudni poruszanie się tam amerykańskim okrętom wojennym, a stąd już tylko krok do konfrontacji. „Znam marynarkę USA (...). Jeśli Chiny spróbują kontroli nad tym morzem, nasi chłopcy podejmą wyzwanie. Po prostu przepłyną przez te cholerne wody" – taki cytat, autorstwa pewnego waszyngtońskiego oficjała, cytuje w swojej nowej książce „*Easternization*" Gideon Rachman, brytyjski dziennikarz i znawca Azji (tytuł ten można przełożyć dosłownie jako „Uwschodnienie" – w sensie przeciwieństwa westernizacji – lub swobodniej i dosadniej: „Wschód w natarciu").

Wojna USA z Chinami działa na wyobraźnię. W hurtowych ilościach powstają więc mniej lub bardziej poważne dzieła, które wieszczą nadciągającą apokalipsę. Najgłośniej ostatnio było o wydanej w 2017 r. książce historyka z Harvardu Grahama Allisona „*Destined for War: Can America and China Escape Thucydides's Trap?*" („Skazani na wojnę. Czy Ameryka i Chiny unikną pułapki Tukidydesa?").

Tytuł nawiązuje do wojny między Spartą a Atenami, opisanej przez antycznego historyka w jego słynnej „Wojnie peloponeskiej". Do konfliktu doszło, gdy Sparta, dotychczasowy hegemon, poczuła się zagrożona w swym statusie przez Ateny. Allison przebadał podobne sytuacje z ostatnich 500 lat, tj. gdy dotychczasowe mocarstwo było detronizowane przez inne – i policzył, że w 12 na 16 przypadków dochodziło wtedy do wojny. Nie trzeba dodawać, kogo i w jakiej roli autor obsadził na początku XXI w.

Pax Americana i azjatyckie ambiwalencje

Już sam zwrot „pułapka Tukidydesa" budzi, jak się zdaje, fascynację elit Waszyngtonu, zwłaszcza ludzi z kręgu prezydenta Trumpa odpowiedzialnych za bezpieczeństwo – generałów Johna F. Kelleya (szefa sztabu Białego Domu), Herberta R. McMastera (doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego) i Jamesa N. Mattisa (sekretarza obrony). Steve Bannon, były kontrowersyjny strateg Białego Domu, miał wręcz używać komputerowego hasła „Sparta".

Gorączka musiała dotrzeć i do Pekinu, skoro głos zabrał sam przewodniczący Xi Jinping – twierdząc jednak, że „nie ma czegoś takiego jak pułapka Tukidydesa. Jeśli wszak wielkie kraje raz za razem popełniają błędy w strategicznej kalkulacji, to mogą same na siebie takie pułapki zastawić".

Graham Allison nie podaje konkretnych recept uniknięcia konfliktu. Sugeruje tylko porozumienie z Chinami przez wyznaczenie sfer wpływów w Azji. Jeśli założyć jednak, że Chiny będą grać wedle własnych reguł (a nie międzynarodowych), oczywiste wydają się obecność USA w regionie i umacnianie dotychczasowych sojuszy. Bądź co bądź *Pax Americana* zapewnił Azji po 1945 r. stabilność i rozwój handlu, skorzystali na tym wszyscy.

Problem w tym, że wiele azjatyckich społeczeństw ma ambiwalentny stosunek do obecności amerykańskich baz u siebie. Dlatego innym scenariuszem na przyszłość, być może już bez udziału USA, jest koalicja demokratycznych państw dookoła Chin. Jej filarami mogłyby być Japonia,

Australia i Indie. Donald Trump wiele razy powtarzał, że Azjaci sami powinni umieć zadbać o swoje bezpieczeństwo. Tylko znowu: kraje tego regionu mają często sprzeczne interesy, a Japonię dodatkowo obciąża przeszłość z czasu II wojny światowej.

Wszystko to ułatwia Pekinowi rozgrywanie jednych przeciw drugim. Uzależnienie od chińskiego rynku i kredytu też robi swoje. Chiny przejęły właśnie port na Sri Lance (dawny wasal), która nie była w stanie spłacić chińskiej pożyczki.

Warto odnotować również opinię politologa Josepha Nye'a, twórcy (jeszcze w latach 70. XX w.) terminu „*soft power*". Nye twierdzi, że Ameryka nie może pozwolić sobie na opuszczenie Azji nie tylko ze względów strategicznych. Porzucenie aliantów na pastwę Chin (Tajwanu na początek) oraz *de facto* zgoda na odejście od reguł międzynarodowych opartych na równości i samostanowieniu nieodwracalnie podważyłoby globalną reputację Ameryki. Być może jednak – patrząc z perspektywy Europy Wschodniej po 1945 r. – takie postępowanie nie byłoby precedensem...

Jednak Pax Sinica?

A może uznać „naturalny porządek rzeczy" i pogodzić się z powrotem *Pax Sinica* do Azji? Skupiony wokół Chin nowoczesny obszar, trzy miliardy ludzi żyjących dostatnio i bez wojen – do tego miejsca nie wygląda to źle. Pozostaje zapytać, na czym w XXI wieku miałby polegać hołd składany cesarzowi?

Pomińmy okoliczności zglobalizowanego świata. Między „wtedy" a „dziś" występują jednak istotne różnice. Nowy azjatycki ład miałby wielkie autorytarne centrum i skupione wokół niego mniejsze kraje demokratyczne. Być może w chińskim kalendarzu demokracja też jest tylko epizodem.

Ale każdy, kto zna Japonię, Tajwan albo Indonezję, ten wie, jak istotnym elementem tożsamości tych społeczeństw stały się wolne wybory i swoboda wypowiedzi. Równocześnie trudno nie zauważyć – choćby po Hongkongu, który po „powrocie do macierzy" miał zachować (tak obiecywał Pekin) swój osobny system, a gdzie stopniowo odcina się tlen wolnej debacie – jak źle władze komunistyczne znoszą krytykę pod swoim adresem.

Cel: wyłuskać Australię

Najciekawszy przykład to może Australia: z jednej strony stara anglosaska demokracja, a z drugiej, ze względu na położenie i uzależnienie gospodarcze od Chin, idealny kandydat na nowego wasala.

Wizja wojny mocarstw oraz teza o „pułapce Tukidydesa", w jaką miałyby wpaść Chiny i USA, rozpala dziś wyobraźnię elit Waszyngtonu. Zwłaszcza ludzi z kręgu prezydenta Trumpa odpowiedzialnych za bezpieczeństwo.

Nie jest to jeszcze panika, ale obawy przed chińską dominacją w Australii szybko rosną. Kilka tygodni temu – w niezwykłym, bo wygłoszonym częściowo po chińsku przemówieniu – premier Malcolm Turnbull mówił: „Obce siły na bezprecedensową skalę i w wysublimowany sposób próbują wpływać na proces polityczny w Australii". Chodziło o jednego z senatorów, który za chińskie pieniądze miał działać jako „agent wpływu". Jednak powodów do niepokoju jest więcej – choćby blokowanie publikacji krytycznych wobec Chin czy protesty chińskich studentów w Australii przeciw nauczaniu historii wbrew komunistycznej ortodoksji.

John Fitzgerald – naukowiec zajmujący się chińską infiltracją – mówi, że Pekin eksportuje do Australii swoje „sekretne i autorytarne, a czasem skorumpowane metody robienia biznesu". Dodajmy jeszcze opinię Malcolma Davisa z Australian Strategic Policy Institute, który twierdzi, że długofalowym celem Chin jest „wyłuskanie Australii z aliansu ze Stanami Zjednoczonymi".

Za kulisami chińskiego sukcesu

Ale jest też inna przeszkoda dla *Pax Sinica*. O ile dawniej, prócz potęgi materialnej, chińska kultura i idący za tym sposób życia promieniowały na dużą część Azji, o tyle dziś, poza biznesem i gotówką, Chiny niewiele mogą oferować światu. Udział w operacjach pokojowych ONZ, choć cenny, to za mało. Zamożni Chińczycy ślą potomstwo na zachodnie uczelnie i tak się składa, że to nie obywatele Australii czy Nowej Zelandii ubiegają się o paszporty Chińskiej Republiki Ludowej – jest na odwrót...

Cały powyższy wywód opiera się na założeniu, że dalszy wzrost chińskiej potęgi jest nieunikniony. Historia lubi jednak płatać figle. Przecież 30 lat temu, podobnie jak dziś o Chinach, pisano o Japonii: miała wynaleźć cudowny model niekończącego się wzrostu gospodarczego, który miał zapewnić Japończykom dominację nad światem. Teraz, gdy Japonia kojarzy się raczej ze stagnacją, widać, na jak kruchych podstawach budowano te przepowiednie.

Jakie są zatem twarde, a często pomijane fakty chińskiego sukcesu gospodarczego? Kraj, owszem, jest bogaty. Ale tylko dlatego, że mieszka tu 1,4 miliarda ludzi. W przeliczeniu PKB na mieszkańca, po kilku dekadach gwałtownego wzrostu, Chiny sytuują się w okolicy 70. miejsca na świecie i są o blisko połowę biedniejsze od Polski. Co więcej, jeszcze niedawno twierdzono, że dla utrzymania porządku publicznego gospodarka musi rosnąć co najmniej 8 proc. rocznie. Dziś wzrost wynosi 6,7 proc. i maleje. Perspektywa ugrzęźnięcia w tzw. pułapce średniego dochodu jest całkiem realna.

Lista zagrożeń

Oznacza to, że Chiny – zanim stałyby się bogate – zestarzeją się. Ostrzeżenia przed demograficzną katastrofą nie są przesadzone: przy utrzymaniu obecnej dzietności do 2060 r. ludność kraju spadnie poniżej miliarda. Za 30 lat ponad 330 mln Chińczyków będzie miało powyżej 65. roku życia. Jeśli ludzie ci mają nie być pozostawieni samym sobie, Chiny czekają gigantyczne wydatki na – teraz niemal nieistniejącą – infrastrukturę opieki nad starszymi. Już dziś 11 proc. Chińczyków cierpi na cukrzycę, dalszych 35 proc. jest nią zagrożonych. Wiele z tych osób będzie kiedyś potrzebowało dializy, bardzo kosztownej...

Dewastacja środowiska, rozwarstwienie społeczne... – listę czynników, które zagrażają rozwojowi Chin, można ciągnąć. Staje wobec nich chińskie przywództwo z Xi Jingpingiem na czele, który skupił w ręku największą władzę od czasu Deng Xiaopinga (przywódcy z lat 1978-89). Nie brak głosów, że świadomy wszystkich ograniczeń Xi będzie parł do ekspansji, by poszerzyć wpływy i upchnąć, ile się da, „pod chińskie niebo", zanim kraj – za 10 czy 15 lat – osiągnie limit swojego rozwoju.

Ale jeśli tak miałoby się stać, tym bardziej poczynania Chin zasługują na najwyższą uwagę. ©

PIOTR BERNARDYN

Korzystałem m.in. z książki Howarda Frencha „*Everything Under the Heavens: How the Past Helps Shape China's Push for Global Power*" (wyd. Knopf 2017), opisującej system wasalny Chin.

Autor jest stałym współpracownikiem „TP", mieszka w Tokio. Na łamach „Tygodnika" opublikował szereg tekstów o Azji Wschodniej.

Miecz Bannona nad głową Trumpa

JAN SMOLEŃSKI

Rosyjskie śledztwo w Waszyngtonie nabiera tempa, a kluczową rolę może odegrać w nim Steve Bannon: niedawny współtwórca sukcesu Donalda Trumpa i „trumpizmu". Chyba że kalkulacja weźmie w nim górę nad emocjami.

Jeszcze niedawno wydawało się, że rozwód Donalda Trumpa ze Steve'em Bannonem, niegdysiejszą szarą eminencją prezydenckiego obozu, będzie dla tego drugiego bardzo kosztowny.

Po ostrych słowach prezydenta, że po tym, jak został zwolniony ze stanowiska głównego stratega w Białym Domu – stało się to jeszcze w sierpniu 2017 r. – 64-letni dziś Bannon „stracił nie tylko pracę, ale i rozum", byłą już szarą eminencję opuścili i darczyńcy, i sojusznicy. A potem został nawet zmuszony do odejścia z portalu internetowego Breitbart News, który współtworzył.

To jednak nie znaczy, że Ameryka szybko o Bannonie zapomni. Oto we wtorek, 16 stycznia, amerykańskie media obiegła wieść, że specjalny prokurator Robert Mueller – badający potencjalną zmowę między sztabem wyborczym Trumpa i Kremlem – zdobył wezwanie sądowe zobowiązujące Bannona do zeznawania przed ławą przysięgłych.

Wbrew zapewnieniom prawników Trumpa, śledztwo rosyjskie raczej się więc szybko nie zakończy. Przeciwnie: jak to ktoś ujął, rosyjski „miecz Damoklesa" nad głową prezydenta USA staje się zagrożeniem coraz bardziej realnym.

Były strateg odpala bombę

Najnowszy konflikt Trumpa z Bannonem rozpoczął się, gdy na początku stycznia do mediów wyciekły cytaty ze słynnej już książki Michaela Wolffa „*Fire and Fury*" [patrz „TP" nr 3/2018 r.], która ma opisywać prawdziwą atmosferę, jaka panowała w sztabie wyborczym Trumpa i potem w Białym Domu.

Obok elementów tabloidowych – jak obelgi, którymi Bannon miał raczyć córkę prezydenta („pierd... kłamczucha", „głupia jak cegła") – książka zawiera też prawdziwą bombę: Bannon zasugerował, że słynne już spotkanie z czerwca 2016 r., na 25. piętrze Trump Tower, było „zdradzieckie" i „niepatriotyczne". Przypomnijmy: bliscy współpracownicy ówczesnego kandydata na prezydenta – jego syn Donald Junior, jego zięć Jared Kushner i Michael Flynn (potem, na krótko, prezydencki doradca ds. bezpieczeństwa narodowego) – spotkali się wtedy z reprezentującą Kreml rosyjską prawniczką Natalią Weselnicką, zachęceni obietnicami otrzymania „brudów" na konkurentkę Hillary Clinton. „Szansa na to, że Don Junior nie zaprowadził tych Ruskich do biura swojego ojca na 26. piętrze, jest zerowa" – cytuje Wolff byłego „głównego stratega" (tak, dość megalomańsko, brzmiał oficjalny tytuł Bannona).

Te słowa podważają długo utrzymywaną przez Biały Dom wersję wydarzeń, zgodnie z którą Donald Senior nic nie wiedział o feralnym spotkaniu. Jeśli wierzyć Wolffowi – a są ku temu powody, bo Bannon nie zdementował żadnej z cytowanych wypowiedzi – Trump nie tylko wiedział, ale też sam mógł się spotkać z wysłanniczką Putina (a może też z innymi Rosjanami).

Rzuca to nowe światło na jeden z ważniejszych wątków w dochodzeniu Muellera, mianowicie ten związany z nieprawdziwym oświadczeniem, które – po ujawnieniu latem 2017 r. przez media informacji o spotkaniu w Trump Tower – wydał Donald Junior. Syn zapewniał w nim, że spotkanie to było stratą czasu i nie przyniosło sztabowi ojca żadnych korzyści.

Oświadczenie to podyktował synowi sam Donald Senior, choć z początku temu też zaprzeczano. Już wtedy Richard Ben-Veniste, specjalny prokurator z czasów afery Watergate, stwierdził, że nawet jeśli pisanie kłamliwych oświadczeń nie jest przestępstwem, to Trump zachowuje się tak, jakby miał coś do ukrycia, i śledczy nie mogą tego zignorować. Teraz słowa Bannona sugerują, że przyczyną takiego zachowania mogła być próba ukrycia własnego uwikłania, a nie ojcowski odruch udzielenia pomocy synowi znajdującemu się w tarapatach.

Nawet jeśli Bannon sam uważał, że sztab Trumpa był zbyt zdezorganizowany, by wejść w zmowę z Kremlem, to jego słowa sugerują, iż wśród ludzi z wewnętrznego kręgu wokół przyszłego prezydenta spotkanie uchodziło za co najmniej niestosowne. Innymi słowy: nawet jeśli żadnej zmowy nie było, to i tak Mueller może coś znaleźć.

Ślad rosyjskich pieniędzy

Wypowiedź Bannona została ujawniona w momencie, gdy Trump wraz z sojusznikami starali się za wszelką cenę ograniczyć potencjalne szkody – wizerunkowe i nie tylko – nowej fazy rosyjskiego śledztwa.

Na początku grudnia 2017 r. media obiegła informacja, że Robert Mueller zdobył od Deutsche Bank dokumentację kont osób związanych z Donaldem Seniorem. Klientami banku są m.in. Ivanka Trump (jego córka i zarazem doradczyni), zięć Kushner oraz jego matka Seryl Stadtmauer.

Do tego dochodzi uwikłanie samego Donalda Trumpa. Zanim jeszcze został prezydentem, pożyczył od Deutsche Bank setki milionów dolarów i w momencie obejmowania urzędu był winien mu 300 mln. Czas udzielenia tych pożyczek nie jest bez znaczenia: Trump, pomimo pozwu sądowego przeciwko niemieckiej instytucji oraz długiej historii bankructw i niespłacania długów, otrzymał je w momencie, gdy Deutsche Bank – poprzez swoje oddziały w Moskwie, Londynie i Nowym Jorku – był uwikłany w pranie rosyjskich pieniędzy.

Według Luke'a Hardinga, dziennikarza brytyjskiego „Guardiana" i autora książki „*Collusion: How Russia Helped Trump Win the White House*" („Zmowa. Jak Rosja pomogła Trumpowi zdobyć Biały Dom"), nowojorski stanowy Departament Usług Finansowych jest przekonany, iż dzięki tej operacji ludzie związani z Kremlem i rosyjską Federalną Służbą Bezpieczeństwa przejęli kontrolę nad moskiewskim oddziałem banku – i to w czasie, gdy przyszły prezydent USA otrzymywał kolejne kredyty.

Pikanterii sprawie dodają rzekome wypowiedzi synów Trumpa, Erica i Donalda Juniora. Ten pierwszy miał niemal cztery lata temu powiedzieć, że Trumpowie nie polegają na bankach amerykańskich i wszystkie fundusze, jakich potrzebują, otrzymują z Rosji. Potem Eric zaprzeczył,

SHAWN THEW / EPA / PAP

Steve Bannon (z lewej), były szef kampanii Trumpa i były główny strateg Białego Domu, po zeznaniach przed komisją ds. wywiadu Kongresu USA. Waszyngton, 16 stycznia 2018 r.

aby kiedykolwiek coś podobnego mówił, ale jego brat żadnego dementi nie wystosował. „Dużo pieniędzy otrzymujemy z Rosji" – miał natomiast stwierdzić w 2008 r. Donald Junior.

Kontratak Manaforta

Chociaż Deutsche Bank twierdzi, że prokurator Mueller nie prosił o dokumentację kont prezydenta, jego sytuacja i tak jest trudna. „Trumpa wciąż czeka wyjaśnienie, jakie umowy – i na jakich warunkach – zawarł po kryzysie finansowym z 2008 r., dzięki którym mógł pożyczyć rosyjskie pieniądze, mimo że nikt na Zachodzie nie chciał mu w tym czasie udzielać pożyczek" – tak Richard Dearlove, były szef brytyjskiego wywiadu MI6, skomentował w rozmowie z Hardingiem trójkąt Trump-Deutsche Bank-Kreml.

W odpowiedzi na zdobycie przez śledczych FBI dokumentów Deutsche Bank republikańscy kongresmeni – odwołując się do popularnego na amerykańskiej prawicy przekonania, że to finanse Hillary Clinton powinno się objąć śledztwem – oskarżyli FBI o podwójne standardy. Z kolei Sean Hannity, prezenter Fox News i prywatnie przyjaciel prezydenta, nazwał śledczych Muellera „upartyjnioną, ekstremalnie uprzedzoną, hiper-upartyjnioną grupą atakującą", mimo że sam Mueller jest zadeklarowanym Republikaninem.

W styczniu do kontrataku przeszedł też Paul Manafort – jeden z formalnie już oskarżonych w tym dochodzeniu. Były szef kampanii Trumpa złożył pozew sądowy przeciwko Muellerowi i Departamentowi Sprawiedliwości. Muellera oskarża o przekroczenie uprawnień: rzekome pranie brudnych pieniędzy przez Manaforta i nieujawnienie przez niego faktu pracy na rzecz prorosyjskiego prezydenta Ukrainy Wiktora Janukowycza, o co Mueller oskarża Manaforta, mają odnosić się do jego działalności z czasu na długo przedtem, zanim został szefem sztabu Trumpa, i nie mają mieć żadnego związku z celem śledztwa. Z kolei Departament Sprawiedliwości – zdaniem Manaforta – miał przekroczyć prawo, uprawniając Muellera do sprawdzenia wszystkich wątków, jakie pojawią się w trakcie śledztwa, również tych niezwiązanych z kampanią wyborczą.

Wypowiedzi Bannona i moment, w którym zostały one ujawnione, mogą te wysiłki skutecznie wykoleić. Ostra reakcja Trumpa jest więc zrozumiała – choć może być dla Bannona bardzo bolesna.

Wzlot szarej eminencji

To w końcu jemu, Bannonowi, przypisywano główne zasługi w zwycięstwie Trumpa w listopadzie 2016 r.

Gdy Trump ogłosił swój start w republikańskich prawyborach, Bannon – szefujący wtedy portalowi Breitbart News – rzucił wszystkie ręce na pokład.

W Trumpie dojrzał bowiem długo wyczekiwanego lidera nacjonalistyczno-populistycznej rewolucji przeciw „skorumpowanym elitom", w tym – a raczej przede wszystkim – przeciw elitom Partii Republikańskiej. Półżartem określał Breitbart News mianem „Trump Central", a siebie widział w roli nieformalnego szefa sztabu wyborczego.

Kiedy został nim formalnie, w sierpniu 2016 r., namówił Trumpa – już oficjalnego kandydata Republikanów – aby zrezygnował z tradycyjnej mądrości amerykańskiej polityki, która każe po prawyborach złagodzić retorykę w celu przyciągnięcia wyborców niezdecydowanych i centrowych.

Mobilizacja gniewu białej klasy niższej średniej, spoza dużych miast, coraz bardziej niepewnej swej przyszłości i spisanej na straty przez establishment obu głównych partii, Republikanów i Demokratów, pozwoliła Trumpowi zdobyć niewielką przewagę w kilku kluczowych stanach i – wbrew ekspertom i sondażom – pokonać Hillary Clinton zdecydowaną większością głosów w Kolegium Elektorów.

Odejście Bannona z Białego Domu – niemal dokładnie rok po tej nominacji – odebrano jako zwycięstwo frakcji Jareda Kushnera i Ivanki Trump (uchodzących w ekipie prezydenta za umiarkowanych pragmatyków) oraz jako przegraną byłego już głównego stratega w bitwie o duszę „trumpizmu".

Jednak Bannon się nie poddał. Przeciwnie: wypowiedział wojnę partyjnemu establishmentowi, a jego główną bronią był Breitbart News, któremu znów szefował.

Kolejną bitwą były jesienne prawybory w Alabamie na republikańskiego kandydata do Senatu. Wspierany przez Bannona Roy Moore, mimo licznych oskarżeń o napastowanie seksualne nieletnich dziewczynek, pokonał Luthera Strange'a – popieranego przez partyjny establishment i przez samego Trumpa. ↦

Gorycz upadku

↦ A to miał być dopiero początek. Bannon, jako nowy-stary szef Breitbart News, miał całą listę swoich pretendentów, których zamierzał wesprzeć w prawyborach i wyborach uzupełniających do Kongresu w 2018 r.

Także republikańscy kandydaci z własnej inicjatywy zabiegali o jego poparcie. Prokurator generalny Missouri i republikański kandydat na senatora z tego stanu Josh Hawley miał zadzwonić do Bannona i przekonywać go, że jest „dobrym konserwatystą". Także Michael Grimm, były kongresmen z Nowego Jorku, który chce wrócić do krajowej polityki po odsiadce za unikanie płacenia podatków, zabiegał o jego względy. Poparcie Bannona wydawało się konieczne nawet na poziomie stanowym. Mike Hill, republikański kandydat do stanowego kongresu na Florydzie, chwalił się zdjęciem z Bannonem na swojej stronie internetowej.

I chociaż Moore przegrał o włos walkę o fotel senatora z Dougiem Jonesem – pierwszym od 25 lat politykiem Demokratów wybranym z Alabamy – to siła Bannona na prawicy wydawała się stale rosnąć. Opublikowane 15 grudnia wideo magazynu „Vanity Fair" o szefie Breitbart News nosiło podtytuł „Szara eminencja Partii Republikańskiej?".

Tymczasem dziś wygląda na to, że marzenia Bannona o nacjonalistyczno-populistycznej rebelii skończyły się wraz z jego rozwodem z Trumpem.

Pierwsi od Bannona odcięli się Rebekah Mercer i jej ojciec Robert, potężni prawicowi darczyńcy i ważni udziałowcy w Breitbart News. „Moja rodzina ani ja nie komunikowaliśmy się ze Steve'em Bannonem od miesięcy, nie wspieraliśmy jego politycznych planów ani nie popieramy jego niedawnych działań ani stwierdzeń" – oświadczyła pani Mercer. Do Mercerów dołączyli inni: jego zdjęcia znikały ze stron internetowych republikańskich kandydatów. Nawet Grimm (ten z odsiadką w życiorysie) zdystansował się od niego.

W odpowiedzi na ostatnie ostre stanowisko Trumpa – Bannon wydał oświadczenie, w którym stwierdza, że jego uwagi o „zdradzieckim" zachowaniu odnosiły się do Michaela Flynna, a nie do Donalda Juniora (choć trudno w to uwierzyć, bo to Donald Junior zorganizował spotkanie). Dodał, że prezydent i cała jego rodzina to patrioci i zapewnił o swojej lojalności wobec Trumpa oraz „trumpizmu". To jednak nie pomogło mu zachować stanowiska w Breitbart News. Musiał odejść.

Gdy Trump ogłosił start w prawyborach, Steve Bannon dojrzał w nim długo wyczekiwanego lidera nacjonalistyczno-populistycznej rewolucji przeciw „skorumpowanym elitom". W tym elitom własnej Partii Republikańskiej.

Gorycz upadku musi być tym większa, że po jego odejściu nie nastąpił eksodus pracowników portalu, a wierni prawicowi czytelnicy w komentarzach też nie wyrażali przesadnej lojalności wobec Bannona.

Wydawało się, że stracił nie tylko sojuszników, ale też swoją główną broń. A jednak...

Zmuszony do zeznań

Wezwanie sądowe wobec Bannona oznacza najpewniej, że on sam nie jest obiektem zainteresowania prokuratora Muellera – wezwania takie wobec potencjalnych podejrzanych można wystawić tylko w wyjątkowych okolicznościach. Śledczy prawdopodobnie polują na grubszą zwierzynę. A to może być dla Trumpa bardzo złą wiadomością.

Z jednej strony, Bannon nie ma wiedzy z pierwszej ręki ani w sprawie zwolnienia Jamesa Comeya z funkcji szefa FBI, ani fałszywego oświadczenia w sprawie rosyjskiego spotkania w Trump Tower – czyli tych dwóch wątków śledztwa, które mogą się skończyć formalnymi zarzutami wobec prezydenta (o utrudnianie działania wymiaru sprawiedliwości).

Z drugiej jednak strony, Bannon jest pierwszym tak wysoko postawionym doradcą Trumpa, którego Mueller wezwał. Wie również dużo na temat innych wątków śledztwa, w tym zwolnienia Flynna (który, co warto wspomnieć, przyznał się do zarzutu okłamywania FBI na temat swoich spotkań z rosyjskim ambasadorem Siergiejem Kisljakiem i od kilku miesięcy współpracuje ze śledczymi).

Podczas przesłuchania przed ławą przysięgłych Bannon będzie zobowiązany do udzielenia odpowiedzi na każde pytanie – i Trump nie może skorzystać w tym wypadku z tzw. *executive privilege*, który pozwala urzędującemu prezydentowi zakazać swoim podwładnym ujawniania pewnych informacji, jeśli uważa, że stanowiłoby to zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego (dodajmy, że Bannon zasłaniał się właśnie tym podczas przesłuchania przed jedną z komisji Kongresu, czym doprowadził do wściekłości zasiadających w niej i Demokratów, i Republikanów).

Steve Bannon będzie musiał więc ujawnić wszystko, co wie, jeśli sam nie chce się narazić na zarzuty krzywoprzysięstwa. A nawet jego wiedza z drugiej ręki, dotycząca zwolnienia Comeya i spotkania w Trump Tower, może okazać się przydatna dla prokuratora Muellera w późniejszych fazach dochodzenia.

Opcje (byłego?) stratega

Istotnym pytaniem jest też to, jak całą tę sytuację postanowi rozegrać sam Bannon. Były „główny strateg" ma podstawy, aby czuć się zdradzonym, i może wykorzystać nadarzającą się okazję, aby dokonać spektakularnej zemsty na prezydencie, którego poprowadził do zwycięstwa, przez którego był prywatnie upokarzany (o czym pisze Wolff w „*Fire and Fury*"), a który go w końcu zwolnił i obrażał, już publicznie.

Przeciwko temu iście szekspirowskiemu scenariuszowi przemawia jednak to, że lojalność Bannona wobec Trumpa i jego zaangażowanie na rzecz obecnego prezydenta nie wynikały z osobistego uwielbienia, lecz z instrumentalnych kalkulacji.

Do realizacji projektu politycznego Bannona, „trumpizmu", Trump był i jest – jak pokazują choćby reakcje Mercerów – niezbędny. Jego znajomi twierdzą, że Bannon wierzy, iż Trump jeszcze zwróci się do niego o pomoc, gdy opuści go partyjny establishment (miesiąc miodowy po przepchnięciu zmian w podatkach nie będzie trwał wiecznie) lub gdy poczuje się zagrożony przed tegorocznymi wyborami uzupełniającymi do Kongresu.

Dlatego były szef Breitbart News może nie być skory do działania pod wpływem emocji – i może zechcieć załagodzić konflikt z prezydentem, przekierowując narcystyczną wściekłość Trumpa na swojego wroga numer jeden, Jareda Kushnera, którego prezydent wini podobno za decyzję o zwolnieniu Comeya i rozpoczęcie całego śledztwa rosyjskiego.

Wtedy Bannon miałby szansę odzyskać wpływ na „trumpizm". ©

JAN SMOLEŃSKI

GEORGI LICOVSKI / EPA / PAP

Dziś byłoby to już niemożliwe: montaż pomnika Aleksandra Wielkiego w Skopje, czerwiec 2011 r.

Antyk i geopolityka

PIOTR OLEKSY

Rządy w Atenach i Skopje wznowiły rozmowy w sprawie oficjalnej nazwy państwa macedońskiego. W obu krajach temat budzi nadal ogromne emocje – i ma duże znaczenie dla bezpieczeństwa Europy.

Na forum ONZ reaktywowano w minionym tygodniu negocjacje w sprawie nazwy Byłej Jugosłowiańskiej Republiki Macedonii – bo tak oficjalnie nazywa się państwo, które zwykliśmy nazywać po prostu Macedonią. Obie strony sporu, Ateny i Skopje, wyrażają wolę jego zakończenia, a specjalny przedstawiciel ONZ Matthew Nimetz zapowiada osiągnięcie kompromisu w ciągu pół roku. Rozwiązanie ciągnącego się od ponad 25 lat konfliktu ma też duże znaczenie geopolityczne, więc sprawą interesują się NATO i Rosja.

SPORNE DZIEDZICTWO Problem z nazwą kraju pojawił się zaraz po jego wystąpieniu z Jugosławii. Ateny sprzeciwiły się przyjęciu do ONZ nowego państwa pod nazwą „Republika Macedonii", twierdząc, że sugeruje ona roszczenie wobec północnego regionu Grecji o tej samej nazwie, i że zawłaszcza dziedzictwo antycznej Macedonii. W ramach tymczasowego kompromisu z 1994 r. państwo funkcjonuje więc w organizacjach międzynarodowych pod dziwaczną, wspomnianą wyżej nazwą. W 2008 r. z powodu tego nierozwiązanego sporu Grecja zablokowała rozmowy akcesyjne Macedonii z NATO i Unią Europejską. Zaowocowało to odwróceniem się Skopje od Zachodu.

Ponowny zwrot nastąpił po tym, gdy wiosną 2017 r. władzę w kraju przejął Socjaldemokratyczny Związek Macedonii pod wodzą Zorana Zaewa, którego głównym celem jest integracja z NATO i Unią. Do tego zaś potrzebne jest porozumienie z Grecją. Skopje wykonało więc szereg gestów wobec Aten, głównie w zakresie polityki historycznej i sporu o dziedzictwo Aleksandra Wielkiego.

Wrócił też temat nazwy kraju. Po serii spotkań, na których oficjalnie nie poruszano tego tematu, w minionym tygodniu zorganizowano negocjacje w siedzibie ONZ w Nowym Jorku. Matthew Nimetz mówił po spotkaniu, że przedstawił „zbiór pomysłów", zaznaczając, że nie są to nowe idee. W przeszłości rozważano już nazwy Macedonia Wardarska, Górna Macedonia, Północna Macedonia, Nowa Macedonia czy Macedonia (Skopje). Zapewne i tym razem są one proponowane przez ONZ.

FRONTY WEWNĘTRZNE Jeszcze przed spotkaniem wszyscy wyrażali optymizm. Ale problemem dla obu rządów są ogromne emocje, jakie kwestia ta budzi w obu krajach. W Grecji mówi się wprost, że zgoda na każdą nazwę zawierającą słowo „Macedonia" będzie zdradą antycznego dziedzictwa. Według ostatnich sondaży 68 proc. Greków sprzeciwia się takiemu rozwiązaniu. Skopje o innym scenariuszu nie chce słyszeć. Mało tego, lokalni nacjonaliści i organizacje emigranckie zaczęły kampanię billboardową, w której pytają: „Wolisz być nazywany Nowym Macedończykiem, Północnym Macedończykiem, Skopjaninen, czy po prostu MACEDOŃCZYKIEM?".

Greckiego premiera Alexisa Tsiprasa w trudnej sytuacji postawił lider koalicyjnej partii ANEL, Panos Kammenos, który zaproponował referendum w tej sprawie. Prawicowa opozycja zdecydowanie przeciwstawia się „ustępstwom", a emocje społeczne wskazują, że wynik głosowania mógłby zablokować dalsze rozmowy.

W równie trudnej sytuacji jest premier Macedonii. W ostatnich miesiącach rząd Zaewa przeprowadza rewolucję w kwestiach tożsamości narodowej i relacji z sąsiadami, a także w stosunkach z albańską mniejszością (25 proc. populacji kraju). Partie reprezentujące Albańczyków weszły do koalicji, niedawno próbowano poszerzyć prawa języka albańskiego, w zasadzie czyniąc go drugim oficjalnym językiem. Wywołało to oburzenie opozycji, ustawę zawetował prezydent. Dla prawicy działania rządu to zdrada macedońskiego narodu. Zaew otworzył kilka „frontów wewnętrznych" jednocześnie, musi więc być ostrożny.

MIĘDZY NATO I ROSJĄ W dniu rozpoczęcia negocjacji Skopje odwiedził Jens Stoltenberg, sekretarz generalny NATO. Stwierdził wprost, że Sojusz chętnie przywita Macedonię, gdy tylko problem nazwy państwa zostanie rozwiązany. Termin i charakter wizyty były mocnym sygnałem wsparcia dla rządu Zaewa. Z kolei rosyjski minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow oświadczył, że Ateny nie powinny ustępować w tak zasadniczej kwestii. Kreml utrzymuje też dobre relacje z macedońską prawicą, odsuniętą od władzy przez Zaewa.

Zainteresowanie NATO i Rosji nie powinno dziwić: rozwiązanie sporu o nazwę może sprawić, że na całych Bałkanach poza NATO znajdowałyby się już tylko Serbia, Kosowo oraz Bośnia i Hercegowina. Macedoński rząd przekonuje, że sprawa ma kluczowe znaczenie dla europejskiego bezpieczeństwa – i trudno odmówić mu racji.

Najbliższe miesiące pokażą, czy duma narodowa i spory o dziedzictwo wciąż są siłą napędową stosunków międzynarodowych w tej części Europy. ©

BERNADETT SZABO / REUTERS / FORUM

Węgierscy policjanci i imigranci z Kosowa na budapeszteńskim dworcu Keleti, luty 2015 r.

Brzuchem za chlebem

MICHAŁ KUCHARSKI Z ZAGRZEBIA I OSIJEKU

Coraz więcej mieszkańców Bałkanów opuszcza swoje ojczyzny w poszukiwaniu lepszego życia. Problem dotyka niemal wszystkich krajów byłej Jugosławii.

Dynamikę zjawiska najlepiej oddają chyba statystyki chorwackie: w jednej tylko chorwackiej żupanii (odpowiednik województwa) wyrejestrowało się do końca lipca ubiegłego roku więcej ludzi niż przez cały rok 2016.

Chorwatów łatwo jest policzyć, gdyż obywatele tego kraju muszą wyrejestrować się oficjalnie na policji, jeśli opuszczają miejsce zamieszkania na stałe. Z kolei przyjeżdżający tutaj na dłużej niż trzy miesiące, także obcokrajowcy, są zobowiązani do rejestracji swojego pobytu. Dane uzyskane z komisariatów nie są jednak pełne, bo media podkreślają, że nowym zjawiskiem są tzw. weekendowi Chorwaci. To mężczyźni, którzy wracają do kraju tylko na weekend, resztę tygodnia pracując w Niemczech lub Austrii, z reguły fizycznie.

Wyjeżdżają głównie młodzi

Jednym z najszybciej wyludniających się regionów na Bałkanach jest Slawonia – rolnicze zaplecze Chorwacji. Od wejścia kraju do Unii Europejskiej (w lipcu 2013 r.) województwo to utraciło 60 tys. rąk do pracy. Liczba ludności rośnie jedynie w Zagrzebiu (stolicy kraju) oraz w drugim największym mieście, Splicie. W lipcu 2017 r. ministerstwo spraw wewnętrznych podało, że aktualnie wyjeżdżają głównie młodzi, po pierwszym lub drugim stopniu studiów.

Sytuacja wygląda podobnie także w innych krajach byłej Jugosławii. W liczącej dziś nieco ponad 600 tys. obywateli Czarnogórze od 1991 r. ubyło aż 145 tys. mieszkańców. W Serbii w rekordowym roku 2014 wyjechało ok. 60 tys. młodych ludzi. Z Bośni i Hercegowiny, według danych publikowanych przez organizacje pozarządowe, w 2016 r. wyjechało 80 tys. osób. Z kolei obywatele Kosowa znajdują się w czołówce nielegalnej imigracji do Unii Europejskiej z obszaru Europy. Podobnie jak sąsiedzi uciekają przed fatalną sytuacją gospodarczą, brakiem perspektyw finansowych i powszechną korupcją.

Skalę migracji pokazuje przykład chorwackiego Osijeku, kiedyś dużego ośrodka przemysłowego w Jugosławii. Liczba jego mieszkańców w ciągu ostatnich pięciu lat zmniejszyła się – wedle różnych szacunków – nawet o jedną piątą.

Migracyjne fale

Osijek, jedno z największych miast Chorwacji, to stolica regionu Slawonia. W sobotnie popołudnie ulice są tu wymarłe.

Kawiarnie działają, ale są raczej puste. W mieście jest też kilka otwartych klubów i pubów. Jeśli gdzieś można spotkać ludzi, to raczej w centrum handlowym pod miastem. Nieliczne restauracje są zbyt drogie i nastawiają się na biznesmenów oraz turystów.

Mieszkańcy Osijeku najchętniej kupują więc w dyskontach oraz na miejskim targu. To chyba najtańsze miejsce. Handlarze i rolnicy podkreślają, że ich produkty nie wymagają użycia drogich maszyn, ponieważ to w większości rodzinne gospodarstwa albo niewielkie spółdzielnie.

Słabością tutejszego rolnictwa jest jednak jego sezonowość i rozdrobnienie. Nie jest to więc dział gospodarki, który mógłby być w jakikolwiek sposób atrakcyjny dla wykształconych młodych ludzi. Wolą oni wyjechać do Irlandii czy Wielkiej Brytanii, nawet do pracy na tzw. zmywaku, ponieważ zarobki na Wyspach oraz w Slawonii są nieporównywalne.

To jednak nie pierwsza taka fala migracji za chlebem w tym regionie. Poprzednia miała miejsce w latach 70. XX wieku. Mieszkańcy komunistycznej Jugosławii wyjeżdżali do Niemiec i Austrii – tamtejszym gospodarkom, szybko się rozwijającym, brakowało rąk do pracy. Zarobki tych „gastarbeiterów", przysyłane rodzinom, stanowiły ważną część dochodu kraju. Wielu z nich wróciło, ale sporo też pozostało w nowych ojczyznach.

Dzisiaj jest podobnie – główną przyczyną wyjazdów jest sytuacja ekonomiczna. A zdecydowana większość z tych obywateli krajów byłej Jugosławii, którzy wyjechali, swój ewentualny powrót uzależnia od poprawy stanu gospodarki i możliwości podobnych zarobków w ojczyźnie. Na przywiązanie do rodzinnych stron, według badań opinii społecznej, wskazuje zaledwie kilka procent.

Turystyczna monokultura

Chorwacji nie pomogło nawet przystąpienie do Unii Europejskiej. Kraj mocno odczuł światowy kryzys finansowy, a środki unijne miały tu mniejsze znaczenie niż w Polsce. Zresztą lewicowe organizacje pozarządowe krytykują kolejne rządy za ich podział.

Przykładowo, jedną z inwestycji, która ma być realizowana z tych pieniędzy, jest most na półwysep Pelješac. Z jednej strony zwiększy on ruch turystyczny na tym terenie, z drugiej jednak przyczyni się do dalszego wyludniania się wybrzeża, gdyż rosnące z powodu napływu turystów ceny są niemożliwe do zaakceptowania dla miejscowych – i nie zmieni tego nawet większa liczba turystów.

Eksperci twierdzą wręcz, że fakt, iż kraj skupia się na turystyce, która jest raczej sezonową gałęzią gospodarki, zwiększa jego podatność na światowe kryzysy.

Bezrobocie wśród młodych należy tutaj do najwyższych w Unii Europejskiej, a monokulturowa gospodarka nie daje szczególnych perspektyw ludziom lepiej wykształconym. Praca w sezonie letnim na wybrzeżu, dzięki której można by przeżyć przez pozostałe miesiące w swojej małej miejscowości, dla większości przestaje być życiowym celem.

Kristina z Osijeku, kończąca licencjat z kulturoznawstwa, coraz poważniej myśli o wyjeździe za granicę. Kilkoro jej znajomych mieszka i pracuje już w Irlandii – chwalą tamtejsze warunki pracy i pensje. Podobnie wygląda to w Czarnogórze, gdzie coraz mniej młodych wybiera pracę nad Adriatykiem.

„Trbuhom za kruhom"

Szczególnym przypadkiem na Bałkanach pozostaje Bośnia i Hercegowina. Tutaj kluczowe znaczenie ma sytuacja polityczna, która odbija się na gospodarce. Także korupcja czy podzielone etnicznie szkolnictwo są źródłami ciągłego napięcia. W związku z tym na emigrację decydują się tu nie tylko samotni młodzi, ale też rodziny z małymi dziećmi. W samej tylko małej Słowenii w 2016 r. pracę znalazło 5 tys. Bośniaków. Wyjechali w myśl popularnego na Bałkanach hasła „brzuchem za chlebem" (*trbuhom za kruhom*).

W ich ślady idą kolejni. Jedną z nich jest Lejla, farmaceutka z wykształcenia, która ze swoim chłopakiem – uczącym w szkole filozofii – planuje właśnie wyjazd do Szwecji. Wkrótce oboje zaczynają naukę języka. Podobnie myśli Ervin, młody muzyk, który zastanawia się nad Francją. Moi bośniaccy rozmówcy zgodnie podkreślają, że „u nas, jeśli masz pozycję, to dlatego, że kradniesz. A kradną wszyscy politycy, bez względu na przynależność etniczną".

Podobnego zdania są weterani wojenni, koczujący od kilku miesięcy pod siedzibą władz Federacji Bośni i Hercegowiny. Ci z kolei walczą o wyższe renty – i nie ma znaczenia, czy jest się Serbem, Chorwatem czy Boszniakiem. Zapytani, gdzie ich zdaniem znajdują się środki na ten cel, pokazują publicznie dostępne wyliczenia. Powszechne oburzenie budzą zwłaszcza astronomiczne kwoty, jakie w budżecie pochłania administracja.

Uważa się, że winna jest temu konstytucja i ustrój państwa, narzucony przez kraje zachodnie podczas rokowań w Dayton w 1995 r.; porozumienie to zakończyło wojnę w Bośni i miało stanowić fundament pokojowego współistnienia w federacyjnym państwie skonfliktowanych narodów – Boszniaków, Chorwatów i Serbów. Skutkiem ubocznym okazał się jednak przerost biurokracji. Administracja publiczna to główny pracodawca w kraju, jej roczne utrzymanie pochłania prawie 60 proc. PKB.

Unia na horyzoncie

Rozwiązaniem mogłoby być stworzenie strefy wolnego handlu na Bałkanach i odbudowa dawnych związków gospodarczych. Kraje regionu są namawiane do tego szczególnie przez Niemcy i Komisję Europejską. Wprawdzie szefowa unijnej dyplomacji Federica Mogherini wyznała – podczas podróży przez Bałkany w 2017 r. – że o członkostwie w Unii można będzie mówić np. w przypadku Serbii najwcześniej po roku 2019. Ale proponowana strefa handlowa ułatwiłaby starania o członkostwo. Według ekspertów Komisji Europejskiej to rynek wart co najmniej kilkadziesiąt miliardów euro.

Silne kontakty ekonomiczne mogłyby też pozytywnie wpłynąć na relacje polityczne i przyczynić się – choćby częściowo – do zasypania dawnych podziałów. W orbicie wpływów Unii szczególnie silnie kraje regionu stara się utrzymać kanclerz Angela Merkel. Ma ona świadomość, że stabilne Bałkany są gwarancją bezpieczeństwa także dla Wspólnoty w jej obecnym kształcie.

O członkostwo w Unii usilnie zabiega również Zoran Zaew, premier Macedonii od maja 2017 r.; także dlatego odszedł od nacjonalistycznej retoryki poprzednika. Ten sam cel stawia sobie „techniczna" premier Serbii, 42-letnia ekonomistka Ana Brnabić. Może liczyć na poparcie, jakiego udziela jej umiarkowanie nacjonalistyczny prezydent Aleksandar Vučić (jego partia to główna siła w rządzie).

Bez automatyzmu

Do Unii chcą się zbliżyć także muzułmańscy Boszniacy i Chorwaci mieszkający w Bośni. O poparciu dla tych starań zapewnia prawicowy chorwacki rząd i chorwacka prezydent Kolinda Grabar-Kitarović.

Ale na przeszkodzie stoją ciągłe spory etniczne, także z udziałem bośniackich Serbów. Ich przywódca Milorad Dodik (prezydent Republiki Serbskiej – jednego z elementów składowych federacji Bośni i Hercegowiny) podkreśla swoją sympatię dla Władimira Putina i co jakiś czas straszy społeczność międzynarodową podziałem państwa.

Jednak problemem nie są tylko spory etniczne i polityczne. Korupcja to jedna z przyczyn, dla której Chorwacja czy Bułgaria – kraje członkowskie – nie radzą sobie z wydawaniem unijnych środków. Z kolei w Serbii rządząca partia skupia w swoich rękach niemal całą władzę.

Choć więc rola Unii Europejskiej na Bałkanach pozostaje kluczowa, to trudno byłoby dziś uznać, że samo przyjęcie do niej kolejnych krajów byłej Jugosławii automatycznie zapewni temu regionowi bezpieczeństwo, spokój i dobrobyt. ©

Transport Żydów z getta w Łodzi do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem (Kulmhof); zdjęcie niemieckie z kwietnia 1942 r.

ŚLEDZTWO JULIANA LESZCZYŃSKIEGO

Odnalezione przez nas w Warszawie prywatne archiwum zawiera nieznane historykom dokumenty i teksty dotyczące początków Holokaustu.

PIOTR LITKA, ZDZISŁAW LOREK, GRZEGORZ PAWLIKOWSKI

Życie właściciela tego archiwum, Juliana Leszczyńskiego, jego ocalenie z warszawskiego getta i prowadzone przez niego przez kilkadziesiąt lat prywatne w gruncie rzeczy śledztwo w sprawie jednego z „pionierów Zagłady" – Rolfa-Heinza Höppnera, szefa poznańskiej Służby Bezpieczeństwa (Sicherheitsdienst) w tzw. Kraju Warty – to opowieść na sensacyjny film.

Prokurator

W końcu 1946 r. ukazały się drukiem opowiadania Zofii Nałkowskiej „Medaliony" – zapis wrażeń autorki z prac w Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce [patrz „Śledztwo Nałkowskiej", „TP" 23/2017 – red.]. Dzięki wprowadzeniu „Medalionów" do kanonu lektur szkolnych miały one ogromny wpływ na kształtowanie świadomości kilku pokoleń Polaków. To w tym właśnie zbiorze pisarka umieściła opowiadanie „Człowiek jest mocny", w którym opisała zbrodnie popełnione przez Niemców w obozie zagłady w Chełmnie nad Nerem (Kulmhof), który zaczął funkcjonować 8 grudnia 1941 r. Był pierwszą tego typu „fabryką śmierci", gdzie ludzi gazowano w tzw. samochodach specjalnych. Według różnych obliczeń w Kulmhofie zginęło blisko 250 tys. ludzi.

Po latach okazało się, że Nałkowska oparła swoje opowiadanie na protokole przesłuchania miejscowego handlarza bydłem Michała Podchlebnika.

Podpisał je 9 czerwca 1945 r. uczestniczący w przesłuchaniu ocalonego świadka prokurator Julian Leszczyński.

Archiwum w piwnicy

Lipiec 2017 r. Spotykamy się z dwiema córkami Juliana Leszczyńskiego w niewielkiej willi na Saskiej Kępie. Od śmierci ich ojca przez ponad 30 lat nikt nie zaglądał do pozostawionych przez niego dokumentów. Chodzi o kilka tekturowych pudeł z precyzyjnie opisaną zawartością. Są tu zdjęcia, listy i mikrofilmy z kopiami z archiwów z całego świata.

Najcenniejsze są prywatne notatki i maszynopisy Leszczyńskiego z uwagami do tworzonych przez niego do samej śmierci tekstów i fragmenty planowanego doktoratu. Są też listy, m.in. od świadka i badacza Zagłady, dyrektora archiwum Yad Vashem Józefa Kermisza, a także Stefana Kurowskiego (szefa polskiej delegacji na proces norymberski) czy znanego amerykańskiego historyka Holokaustu Raula Hilberga.

– Ojciec korespondował i rozmawiał z każdym, kto interesował się i zajmował Zagładą – opowiada Krystyna Bratkowska, córka Leszczyńskiego. – Badania finansował z własnych oszczędności, bo komuniści i niechętne mu środowiska w kraju blokowali jego doktorat i na każdym kroku starali się dyskredytować to, czym się zajmował.

– Nie szukał sławy – dodaje druga córka, Hanna. – Nie zależało mu na tym. Pomagał np. Jerzemu Ficowskiemu w tłumaczeniu „Pieśni o zamordowanym żydowskim narodzie" Icchaka Kacenelsona, ale jego nazwiska nie ma w opublikowanej książce... Bo tego po prostu nie chciał.

Człowiek wielu talentów, poliglota, prawnik i historyk (nawet jeśli nie z wykształcenia). Z jego zapisków wyłania się postać konsekwentnego badacza przeszłości, który większość zawodowego życia poświęcił rekonstrukcji początków Zagłady.

Idel, czyli Julian

Urodził się w Łowiczu 30 września 1909 r. jako Idel, syn Abrama i Cywii z domu Riterband (formalnie imienia Julian mógł używać po decyzji administracyjnej dopiero od 1948 r.). Leszczyńscy byli majętną spolonizowaną rodziną żydowską, należącą do łowickiego okręgu bożniczego. Gdy Idel miał cztery lata, zmarła jego matka, czworo rodzeństwa wychowywał ojciec.

Chłopiec początkowo pobierał nauki w szkole ludowej, do której uczęszczał przez dwa lata. Po odbyciu rocznego kursu przygotowawczego wstąpił w 1920 r. do znanego łowickiego Gimnazjum im. księcia Józefa Poniatowskiego. Po zdaniu egzaminu dojrzałości typu humanistycznego w 1928 r. został przyjęty w poczet elitarnego grona studentów Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Podczas studiów miał możliwość poznania wielu wybitnych prawników, m.in. autorytetu z zakresu prawa międzynarodowego prof. Zygmunta Cybichowskiego.

Czas studiów to dla Leszczyńskiego nie tylko intensywna nauka, ale też spotkanie z rosnącym w latach 30. XX w. w Polsce antysemityzmem. Było to zapewne ciężkie doświadczenie dla spolonizowanego Żyda wchodzącego w dorosłość, który po uzyskaniu dyplomu z prawa postanowił kontynuować edukację na Wydziale Lekarskim UW. Twierdził, według wspominających go po latach córek, że „w Polsce żydowskim lekarzem będzie mu łatwiej być niż żydowskim prawnikiem".

Jednak złożone przez niego podanie zostało odrzucone przez dziekana Wydziału Medycznego. W tym okresie była to standardowa procedura, związana ze stosowaniem *numerus clausus*, czyli zasady zmierzającej do ograniczenia liczby studentów pochodzenia żydowskiego proporcjonalnie do liczebności tej społeczności w państwie (a więc ok. 9-10 proc.). Z tego też powodu w ostatnim roku akademickim przed wybuchem II wojny światowej liczebność żydowskich studentów na polskich uczelniach wynosiła ok. 8 proc. ogółu studentów, podczas gdy wcześniej było to nawet 20-40 proc.

Leszczyński postanowił w tej sytuacji podjąć pracę w wymiarze sprawiedliwości. Po zdaniu w 1938 r. egzaminu został aplikantem w Sądzie Okręgowym w Warszawie. Z nowego miejsca pracy szybko jednak odszedł na własną prośbę. Jak pisał w swoim życiorysie: „Na jesień [1938 r.] występuję z sądownictwa pod presją Prezesa Apelacji Warszawskiej p. [Kazimierza] Rudnickiego w związku [z unarodowieniem] aparatu sądowego przez ówczesnego ministra [sprawiedliwości Witolda] Grabowskiego".

Wojna, getto, ucieczka

Ojciec Juliana, Abram, zmarł w lutym 1940 r. na białaczkę i został pochowany na cmentarzu żydowskim w Łowiczu (choć od końca lat 20. Leszczyńscy mieszkali w Warszawie). Osiem miesięcy później Niemcy utworzyli w stolicy żydowską „dzielnicę zamkniętą". Do getta poza Julianem trafili też jego dwaj bracia, Władysław i Stanisław, oraz siostra Gustawa, która po latach wspominała, że zostali zakwaterowani przy ul. Śliskiej 18, „w małym pokoiku i wielkiej biedzie".

Julian opuścił getto pierwszy. Miał w miarę „dobry" wygląd, mówił po niemiecku. Utrzymywał się ze sprzedaży rzeczy z rodzinnego majątku. Dzięki temu mógł organizować żywność dla rodzeństwa, pozostawionego za murami getta. Później zaczął pojedynczo wyprowadzać na „aryjską" stronę bliskich: najpierw żonę brata Reginę, później siostrę.

Rodzeństwo Leszczyńskich zamieszkało w wynajętym pokoju przy ul. Ateńskiej na Saskiej Kępie. Julian mieszkał tam najpierw z siostrą, która podawała się za jego żonę. Później dołączyli do nich bracia, których Leszczyński wyprowadził z getta tuż przed tym, jak w kwietniu 1943 r. wybuchło tam powstanie.

Brat Władysław wspominał w powojennych (nieopublikowanych) zapiskach, że całe dnie spędzali pod stołem kreślarskim: „po bokach i od przodu zwisa [z niego] gruby lniany obrus – do samej podłogi. Od tyłu ściana i o nią się opieramy. Nie widzimy nic, tylko tę szarą sfałdowaną materię – ociera się o nasze twarze i nic, nic więcej".

W sierpniu 1944 r., ponad dwa tygodnie po wybuchu powstania warszawskiego, Julian z grupą sześciu osób (w tym dwoma ↦

AKG-IMG / BEW

↦ braćmi) opuszcza Warszawę. Front sowiecki dociera do Wisły. Julian trafia do Lublina i tu angażuje się w pracę Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej (CŻKH) pod przewodnictwem historyka dr. Filipa Friedmana. Zajmowała się ona – już od 1944 r. – badaniem zbrodni popełnionych na ludności żydowskiej w okupowanej Polsce.

Pierwsze śledztwo

W końcu stycznia 1945 r. Julian zgłosił się do ministerstwa sprawiedliwości powstającego przy Polskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego, rządzie utworzonym z woli Stalina i mającym administrować powojenną Polską. Niemniej podjął on sprawę zbrodni niemieckich, a Julian postanowił właśnie temu się poświęcić.

Poprosił o zatrudnienie w sądownictwie specjalnym, które zajmowało się ściganiem zbrodni niemieckich. W podaniu o pracę zaznaczył, że ze względu na to, iż CŻKH w styczniu 1945 r. przeniosła się do Łodzi, on z tego właśnie powodu prosi o przydzielenie do sądu w tym mieście, albo w Piotrkowie Trybunalskim lub Częstochowie. W marcu otrzymał nominację na asesora (okręg Sądu Apelacyjnego w Warszawie), a wkrótce został delegowany do pracy w łódzkiej prokuraturze.

Jeszcze w 1944 r. PKWN wydał specjalną ustawę dotyczącą odpowiedzialności za zbrodnie popełnione podczas okupacji (był to jeden z pierwszych takich przepisów w Europie). Nazywany potocznie „sierpniówką", dekret z 31 sierpnia 1944 r. dotyczył „kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców Narodu Polskiego".

Na początku maja 1945 r. Prezydium Krajowej Rady Narodowej powołało Główną Komisję Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce (GKBZNwP). W jej skład wszedł Leszczyński. Wkrótce potem z inicjatywy Prezydium GKBZNwP został zawiązany Oddział Głównej Komisji w Łodzi, pod przewodnictwem Nałkowskiej i pierwszego prezesa Sądu Najwyższego Wacława Barcikowskiego. Swą działalność łódzki oddział zaczął „zbiorowymi oględzinami miejsca straceń w Chełmnie nad Nerem, w powiecie kolskim" – i z inicjatywy Nałkowskiej wszczęto w tej sprawie śledztwo.

Pierwsze ekshumacje

Już jako prokurator Leszczyński – delegowany przez prokuratora Specjalnego Sądu Karnego w Warszawie – w maju 1945 r. wziął udział w pierwszym wyjeździe Komisji do Chełmna nad Nerem.

Na zachowanych zdjęciach Julian ubrany jest w prochowiec i kapelusz, nosi charakterystyczną teczkę. Razem z innymi członkami Komisji jedzie przez Poddębice, Uniejów, Dąbie i Chełmno do Koła, gdzie zostają dokonane oględziny synagogi, a na terenie fabryki Ostrowskiego – samochód pełniący funkcję mobilnej komory gazowej. 4 czerwca 1945 r. Julian przesyła sprawozdanie do ministra sprawiedliwości za pośrednictwem prokuratora Jerzego Korytkowskiego.

10 dni później na zebraniu Łódzkiej Wojewódzkiej Komisji dla Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce zapada decyzja, że sędzia śledczy Władysław Bednarz wraz z prokuratorem Sądu Specjalnego Julianem Leszczyńskim mają ponownie udać się do tych miejscowości w celu „zabezpieczenia dowodów, zbadania zamieszkałych w okolicy świadków, sporządzenia protokołów oględzin budynków, w których więziono skazanych i przechowywano zrabowane im mienie, oraz przystąpienia do ekshumacji pogrzebanych w Lesie Rzuchowskim".

Jesienią Leszczyński zostaje nominowany na podprokuratora i przeniesiony do prokuratury w Łodzi. Nadal pomaga Bednarzowi; 20 października 1945 r. dokonują oględzin wartościowych przedmiotów znalezionych w Chełmnie, które należały do zamordowanych.

W listopadzie Leszczyński z Bednarzem dokonują wizji lokalnej z jednym z oskarżonych na terenie byłego niemieckiego obozu Kulmhof. W tym samym czasie w Lesie Rzuchowskim, na polanie obsadzonej młodą brzeziną, rozkopują teren, ujawniając warstwę ok. 50 cm popiołu ze szczątkami przepalonych kości i włosów. Odnajdują tam też spody butów i łyżki należące do ofiar.

Odkrycie w Łodzi

Kilka miesięcy wcześniej, w maju 1945 r., Leszczyński zabezpieczał i porządkował – ocalałe w stanie niemal nietkniętym – archiwum tajnych akt łódzkiej ekspozytury tzw. Centrali Przesiedleńczej w Poznaniu (*Dienststelle-Litzmannstadt*, *Umwanderer-zentralstelle in Posen*; UWZ).

W Łodzi, noszącej za okupacji nazwę Litzmannstadt i należącej do tzw. Kraju Warty – jednego z obszarów Polski jesienią 1939 r. anektowanych w granice III Rzeszy – siedziba UWZ znajdowała się przy ul. Piotrkowskiej (wtedy Adolf-Hitler-Strasse).

Dokumentom groziło... przemielenie. Jak pisał po latach w nieopublikowanym tekście Leszczyński: „Taka bowiem była decyzja kierownictwa instytucji, która zainstalowała się w budynku po Centrali, i której spieszno było zwolnić zajęte pomieszczenie w ten właśnie najprostszy sposób. Na szczęście, zamiar doszedł do wiadomości Zofii Nałkowskiej, w tym czasie zaangażowanej czynnie w pracach pierwszego zespołu komisji badania zbrodni (....). Na jej to alarm przerwano rozpoczętą już dewastację i zabezpieczono jeden z najcenniejszych zespołów akt hitlerowskich, jaki kiedykolwiek dostał się w nasze ręce".

Kilka z tych dokumentów miało zaważyć na dalszych losach Leszczyńskiego.

Komisja w Chełmnie nad Nerem z okolicznymi mieszkańcami, 1945 r. Zaznaczono Leszczyńskiego

NACHMAN ZONABEND / YAD VASHEM

Były to kopie kancelaryjne memoriału zatytułowanego „*Lösung der Judenfrage*" do RSHA (Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy) w Berlinie i przewodnie pismo do Adolfa Eichmanna („*Lieber Kamerad Eichmann*"), datowane na 16 lipca 1941 r. Autorem obu był SS-Sturmbannführer Rolf-Heinz Höppner, szef poznańskiej Służby Bezpieczeństwa (Sicherheitsdienst) w tzw. Kraju Warty.

Dokumenty te stały się inspiracją do prywatnego śledztwa, któremu Leszczyński poświęcił resztę życia.

Sturmbannführer Höppner

Był niespełna rok młodszy od Juliana. Prawnik, do NSDAP wstąpił podczas studiów. Po wybuchu wojny jego kariera nabrała tempa: dostawał odznaczenia i coraz wyższe stopnie, przełożeni chwalili go za gorliwość.

W dokumencie odnalezionym po wojnie przez Leszczyńskiego (określanym jako „Memoriał Höppnera"), a przesłanym do Berlina w połowie lipca 1941 r., Rolf-Heinz Höppner zauważał, że jego propozycje mają na razie czysto teoretyczny charakter, a dotyczą „oczyszczenia" przejętych przez III Rzeszę terenów nie tylko z ludności żydowskiej, ale też słowiańskiej.

Höppner proponował m.in., by Żydów sprowadzić w jedno miejsce, „gdzie zostaną wykończeni szybko działającym środkiem (...) co będzie przyjemniejsze (...) i bardziej humanitarne, niż pozwolić im umrzeć z głodu". Niemniej w swym memoriale rozważał też możliwości „wyniszczenia przez pracę" przy niskich racjach żywnościowych. A także konieczność sterylizacji Żydówek.

Propozycje padły na podatny grunt. Od czerwca 1941 r. trwała wojna Niemiec ze Związkiem Sowieckim, na froncie działały „grupy specjalne" dokonujące masowych egzekucji Żydów. „Problem żydowski" stawał się priorytetem.

Po wojnie Höppner został skazany w Polsce na dożywocie, m.in. za udział w wysiedlaniu Polaków i ich przymusową germanizację. Przed sądem reprezentował go adwokat, który bronił też innego niemieckiego zbrodniarza, namiestnika Kraju Warty Arthura Greisera – mecenas Stanisław Hejmowski. Wiele lat po wyroku, w kwietniu 1955 r., w prośbie o ułaskawienie Höppnera mecenas pisał, że „akt wspaniałego przebaczenia wrogowi jest dowodem siły przebaczającego. A Naród Polski, którego moc wzrasta nieustannie, może sobie na wspaniałomyślność pozwolić".

Ułaskawiony, w 1957 r. Höppner trafił do Niemiec Zachodnich. Zmarł w 1998 r., w wieku 88 lat, nie niepokojony już przez wymiar sprawiedliwości.

ARCHIWUM IPN

Rolf-Heinz Höppner w więzieniu, 1946 r.

Śledztwo prywatne

W 1965 r. Leszczyński napisał na temat Höppnera artykuł, który został zamieszczony w pierwszym numerze Zagranicznego Biuletynu Informacyjnego Zachodniej Agencji Prasowej. Stał się on podstawą do wszczęcia śledztwa przeciw Höppnerowi przez prokuraturę w Bonn, w Niemczech zachodnich. Jednak nie doprowadziło ono do procesu.

Leszczyński nie dawał za wygraną: jeździł do zagranicznych archiwów, publikował teksty w czasopismach naukowych, brał udział w konferencjach i z roku na rok rozbudowywał swoje prywatne archiwum. Od końca lat 60. przygotowywał też pod kierunkiem prof. Tadeusza Cypriana rozprawę doktorską pt. „Geneza ludobójstwa hitlerowskiego w Polsce", opartą na dokumentacji niemieckiej. W maju 1970 r. starał się o otwarcie przewodu doktorskiego na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, ale Rada Wydziału Instytutu Prawa Karnego ustosunkowała się do tych zamiarów negatywnie. Argumentem odrzucenia przewodu było to, iż „genezy ludobójstwa szukać należy poza Polską i nie można wysuwać na pierwszy plan ludobójstwa w Polsce".

W 1979 r. Leszczyński opublikował na łamach „Biuletynu Żydowskiego Instytutu Historycznego" swój ostatni tekst. Pisał w nim m.in., że wybór Kraju Warty do odegrania kluczowej roli w Zagładzie Żydów był nieprzypadkowy. „Wystarczy sięgnąć do zadań – pisał Leszczyński – jakie wyznaczył sobie od początku ten wcielony do III Rzeszy teren o wiele obiecującej nazwie dodatkowej »Mustergau« [pol. okręg wzorcowy – red.] i »Exerzierplatz« [poligon]. (...). Szczególną gorliwością w wynajdywaniu coraz [to] nowych zadań z dziedziny tzw. polityki narodowościowej wyróżnił się tu przybyły z końcem kwietnia 1940 r. nowy szef krajowej placówki służby bezpieczeństwa (...) w Poznaniu SS-Hauptsturmführer (wkrótce Sturmbannführer) 30-letni Rolf-Heinz Höppner".

Wolny strzelec

Pisał to człowiek, który już od 1949 r. był poza prokuraturą. Leszczyńskiego zwolnił z pracy ówczesny minister sprawiedliwości Henryk Świątkowski, nie podając konkretnej przyczyny swojej decyzji (Świątkowki, przed wojną członek PPS, a potem komunista, pełnił tę funkcję w najgorszym okresie: od maja 1945 r. do wiosny 1956 r., gdy sądy i prokuratura były jednym z głównych narzędzi w procesie instalowania władzy komunistycznej).

Julian Leszczyński został więc wolnym strzelcem. Pracował m.in. jako radca prawny Metra Warszawskiego (wtedy na etapie planów). Pomagał też historykom i dziennikarzom zajmującym się problematyką Zagłady. Przygotowywał np. Krzysztofa Kąkolewskiego do jego rozmowy z Höppnerem (ukazała się ona w książce „Co u pana słychać?", zbiorze wywiadów z żyjącymi nadal niemieckimi zbrodniarzami). Wynajmował też mieszkanie młodemu stypendyście z Austrii Martinowi Pollackowi (późniejszemu pisarzowi, autorowi m.in. głośnej książki „Śmierć w bunkrze. Opowieść o moim ojcu", w której Pollack odkrywa swą historię rodzinną).

Julian Leszczyński zmarł w Warszawie 8 lutego 1985 r. Pochowano go na stołecznym cmentarzu żydowskim.

Dziś jego nazwisko cytowane jest w licznych opracowaniach, a przede wszystkim w literaturze zachodniej na temat początków Zagłady. W Polsce jest on postacią niemal nieznaną.

Odkryte przez nas prywatne archiwum prokuratora Leszczyńskiego ma trafić do opracowania i digitalizacji w Żydowskim Instytucie Historycznym. ©

PIOTR LITKA, ZDZISŁAW LOREK, GRZEGORZ PAWLIKOWSKI

Korzystaliśmy z archiwum J. Leszczyńskiego, dokumentów przechowywanych w IPN, ŻIH, ministerstwie sprawiedliwości, Archiwum Akt Nowych, Archiwum UW i tekstów Leszczyńskiego publikowanych na łamach „Dziejów Najnowszych" i „Biuletynu ŻIH". Pragniemy podziękować Patrykowi Montague za cenne merytoryczne uwagi nt. materiałów archiwalnych związanych z działalnością Leszczyńskiego w 1945 r.

CZY DRZEWA BĘDĄ ŚWIECIĆ

Trawa sygnalizująca skażenie powietrza albo szpinak wykrywający miny? Dzięki nanobionice takie twory w zasadzie są już dostępne.

MIROSŁAW DWORNICZAK

Natura jest od dawna inspiracją dla wynalazców. Materiały, po których spływa woda, są naśladownictwem hydrofobowych liści lotosu. Rzepy w kurtce czy butach powstały dzięki obserwacji kulek ostu przyczepiających się do sierści psa. Powoli zaczynamy także uzyskiwać energię dzięki sztucznej fotosyntezie, choć nadal daleko nam do wydajności, którą bez problemu uzyskują liście nawet najbardziej niepozornych roślin.

Człowiek idzie jednak dalej – myśli o modyfikacji roślin w taki sposób, aby uzyskać efekty niespotykane w przyrodzie. Na przykład korzysta z osiągnięć inżynierii genetycznej, by tworzyć organizmy, które posiadają geny pochodzące od innych gatunków (GMO). Z jeszcze innym podejściem wiąże się nanobionika, która modyfikuje organizmy na poziomie nano, np. rośliny, korzystając z zasobów wiedzy zdobytej przez szereg różnych dyscyplin – od biochemii po inżynierię i elektronikę – i tworzy połączenia rodem z fantastyki naukowej.

Neurobiologia roślin

Od jakiegoś czasu rozwija się tzw. neurobiologia roślin. Rośliny oczywiście nie mają układu nerwowego w takiej postaci, jaką znamy u zwierząt. Twórcy tej dziedziny proponują jednak spojrzeć na nie z innej niż dotychczas strony. Okazuje się bowiem, że rośliny skutecznie potrafią się komunikować z innymi roślinami oraz światem zwierzęcym.

Na przykład pomidor, którego skórka zostanie uszkodzona przez owada, uruchamia natychmiast syntezę jasmonianu metylu. Związek ten wykrywany jest przez sąsiadujące rośliny (nawet innych gatunków), w których liściach od razu zaczyna się produkcja inhibitorów proteazy. Są to substancje, które hamują aktywność enzymów pomagających rozkładać białka, w tym przypadku chroniąc roślinę przed owadami. Mamy tu więc do czynienia z precyzyjną komunikacją chemiczną, która powoduje zmiany metabolizmu u rośliny-odbiorcy. I to bez układu nerwowego.

Inne rośliny syntetyzują z kolei złożone białka, które zwykle spotykamy w układzie nerwowym zwierząt. A nawet wykorzystują przepływ elektronów do wytworzenia potencjału czynnościowego i przekazu informacji – mechanizm jest więc podobny jak w naszym układzie nerwowym (choć u roślin sygnał biegnie znacznie wolniej). Klasycznym przykładem może tu być efekt obserwowany u mimozy wstydliwej, u której dotknięcie liścia powoduje reakcję w postaci jego czasowego zwinięcia się. Ten sam mechanizm pozwala „polować” roślinom takim jak rosiczka.

Nanobionika: jak to działa

Jednym z podstawowych problemów grupy profesora Strano, była metoda wprowadzenia do wnętrza liści roślin elementów, które służą jako detektory. W opisanych przypadkach posłużono się metodą nazwaną „infuzją naczyniową". Polega ona na tym, że w roztworze zawierającym nanorurki umieszcza się żywe rośliny i całość poddaje ciśnieniu zewnętrznemu. W efekcie nanorurki przenikają do elementów liści zwanych mezofilem (tam właśnie zachodzi proces fotosyntezy) i tam pozostają, pełniąc swoje funkcje.
W bardzo podobny sposób postępowano w przypadku rukwi wodnej i wprowadzania do niej związków, które powodują świecenie. Tu jednak trzeba było zastosować dodatkowe zabiegi. Enzym lucyferaza został zamknięty w porowatych nanocząstkach o średnicy 10 mikrometrów (jednej setnej milimetra), wykonanych z obojętnego dla rośliny kwarcu (SiO_2). Z kolei związek, który miał ulegać utlenianiu, czyli lucyferyna, umieszczano w nieco większych cząstkach wykonanych z kopolimeru kwasu mlekowego i glikolowego. Trzeci niezbędny do reakcji składnik, koenzym A, zamknięto w otoczce wykonanej z polisacharydu o nazwie chitozan (jest to pochodna chityny, składnika np. pancerzyków stawonogów). Sam proces dostarczenia do wnętrza liści rukwi oparty był także na infuzji naczyniowej.
Taka kompozycja składników i ich otoczek pozwala na powolne uwalnianie lucyferyny, która jest utleniana w obecności lucyferazy, czego widocznym efektem jest generowanie charakterystycznego zielonkawego światła. ©

KEVIN REID / GETTY IMAGES

Zmysły roślin, jakkolwiek bardzo różne od naszych, są niezwykłe. Rosnące korzenie potrafią wyczuć przeszkodę w glebie jeszcze przed jej dotknięciem i zareagować zmianą kierunku wzrostu. Większość wysyłanych i odbieranych przez roślinę sygnałów ma charakter chemiczny, natomiast wynikające z nich działania związane są z powstawaniem i zanikaniem potencjałów czynnościowych. Jeśli poznamy dokładniej te wszystkie mechanizmy, będziemy mogli je modyfikować w samych roślinach oraz twórczo wykorzystywać.

Nanorurki w rukwi

Uczeni dopiero poznają niektóre możliwości modyfikacji działania roślin i w wielu przypadkach działają intuicyjnie. Niemniej udało się już osiągnąć kilka bardzo ciekawych wyników. Ot, choćby zwyczajny szpinak. Czy można go tak zmodyfikować, aby ratował życie ludziom? To właśnie osiągnięto w jednym z zespołów badawczych na amerykańskim Massachusetts Institute of Technology. Do modyfikacji rośliny użyto specjalnych nanorurek węglowych, które mogą wykryć niewielkie ilości nitropochodnych związków aromatycznych, będących składnikami wielu materiałów wybuchowych. Nawet minimalne ilości tych związków, które przenikają np. z min do gleby, docierają do korzeni szpinaku, a stamtąd do liści. Gdy roślina wykryje obecność nitrozwiązków, emituje sygnał fluorescencyjny, który w prosty sposób można odczytać na odległość, używając kamery na podczerwień. Co więcej, kamera może być połączona z niewielkim komputerem, który w przypadku wykrycia fluorescencji prześle esemes bądź mail do odbiorcy. Proste i efektywne.

Modyfikując nanorurki, możemy spowodować wykrycie wielu innych związków. Profesor Michael Strano z MIT, jeden z prekursorów nanobioniki roślin, powiedział kiedyś, że rośliny są doskonałymi chemikami-analitykami z własnym systemem ciągłego poboru próbek z gleby i powietrza. Jeśli wyposażymy je w oparty na odpowiednio spreparowanych nanorurkach sposób analizy i sygnalizacji, możemy osiągnąć niezwykłe efekty. Grupa Strano potrafi już syntetyzować nanorurki służące do detekcji nie tylko nitrozwiązków, ale też tlenku azotu, nadtlenku wodoru, a nawet gazu bojowego – sarinu. Można sobie też wyobrazić uzyskanie roślin, które będą w sposób ciągły monitorować środowisko naturalne, sygnalizując natychmiast np. zatrucie gleby czy powietrza.

Niedawno do laboratorium tego samego zespołu trafiła rukiew wodna. Do jej modyfikacji uczeni wykorzystali związki chemiczne, które są odpowiedzialne za świecenie niewielkich chrząszczy znanych jako świetliki. Związki te – lucyferyna wraz z enzymem lucyferazą – zostały umieszczone odpowiednio w nośnikach polimerowych oraz nanocząstkach kwarcowych i, podobnie jak w przypadku szpinaku, wprowadzone do liści rukwi. W efekcie uzyskano roślinę, która świeci. Na razie światło to jest krótkotrwałe i delikatne, a więc niespecjalnie użyteczne, ale poprawa efektywności to tylko kwestia czasu. Naukowcy pracują także nad możliwością kontrolowania czasu świecenia. Można sobie wyobrazić, że w przyszłości zamiast latarni ulicznych będziemy mieli szereg drzew oświetlających okolicę po zmierzchu.

Usprawnić fotosyntezę

Zespoły pracujące nad modyfikacją roślin przy użyciu nanotechnologii zajmują się rozmaitymi zagadnieniami. Jednym z nich jest próba zwiększenia efektywności fotosyntezy. Rośliny całkiem efektywnie przetwarzają światło widzialne na energię chemiczną. Jak na razie nie jesteśmy w stanie zbliżyć się do tych rezultatów w laboratorium. Specjaliści uważają jednak, że możliwe jest poprawienie natury. Na przykład sprawiając, żeby roślina przetwarzała nie tylko światło widzialne, ale wykorzystała też energię niesioną przez inne zakresy promieniowania elektromagnetycznego. Będzie to trudne, lecz pierwsze próby wydają się być zadowalające.

Trwają też prace nad zrozumieniem wielu mechanizmów komunikacji między samymi roślinami oraz między światem roślin i zwierząt. Pozwoli to na ich modyfikację i wykorzystanie w rozmaitych dziedzinach. Z łatwością możemy sobie wyobrazić nanobioniczne rośliny „opowiadające" o stanie chemicznym gleby czy też sygnalizujące automatycznie nadchodzącą suszę. Może to być początkiem realnej rewolucji w rolnictwie. Całkiem możliwe jest też, że kiedyś będziemy sadzić w domu rośliny doniczkowe, które poinformują nas zdalnie o stanie powietrza, zanieczyszczeniach czy wilgotności, a także zasygnalizują, że trzeba je podlać lub uzupełnić składniki mineralne. To już chyba niezbyt odległa przyszłość. ©

NICOLAS LARENTO / STOCK.ADOBE.COM

Kleszczojad wielki (*Crotophaga major*), *ptak z rodziny kukułkowatych*

Na wojnie kleszczojadów

ŁUKASZ KWIATEK

W starciach terytorialnych tych tropikalnych ptaków obserwuje się efekt zwany przewagą własnego boiska. Dlaczego?

To jedna z tych publikacji naukowych, obok których nie da się przejść obojętnie. Zespół Christiny Riehl z Uniwersytetu Princeton przedstawił w „Animal Behavior" analizę 10-letniej obserwacji walk terytorialnych pewnej panamskiej populacji kleszczojadów wielkich (*Crotophaga major*). Te dość spore (z ogonem mierzą nawet pół metra) i długowieczne (dożywają dwudziestu lat) ptaki z rodziny kukułkowatych zasiedlają okolice zbiorników wodnych w Ameryce Południowej. Najczęściej tworzą grupy złożone z dwóch, trzech par, a czasem także z dodatkowego osobnika, któremu nie udało się znaleźć partnera. Budują jedno wspólne gniazdo, dobrze zakamuflowane w zaroślach, w którym samice składają po trzy-cztery jaja, każde co drugi dzień.

Kleszczojady nie tworzą idealnych wspólnot. Samiczka, która składa swoje pierwsze jajo jako druga lub trzecia w stadzie, często wytacza z gniazda jedno lub dwa znajdujące się tam już jaja. Dopiero gdy każda samica z grupy złoży po jaju, brzydki proceder wytaczania jaj z własnego gniazda zanika. Nie oznacza to jednak, że wszystkie jaja są już bezpieczne: mogą one paść łupem nie tylko drapieżników (zwłaszcza kapucynek lub węży), ale także kleszczojadów z sąsiednich gniazd, które czasami organizują rajdy obliczone na zniszczenie obcego lęgu.

Badaczy z Princeton zainteresował przebieg tych walk terytorialnych i to, co decyduje w nich o sukcesie jednej grupy nad inną. Najprostszym wyjaśnieniem byłaby wielkość grupy: ponieważ liczba członków stadka waha się od czterech do siedmiu, niektóre grupy mogą posiadać znaczną przewagę. Statystyczne analizy nie potwierdziły jednak hipotezy, że liczebność ma znaczenie dla wyniku starcia. Okazało się za to, że ptaki, które dłużej zajmowały dane terytorium, częściej niszczą lęgi sąsiadów – efekt ten określa się mianem przewagi własnego boiska, w nawiązaniu do zjawiska znanego ze świata sportu.

Wojny, jak to w przyrodzie, toczone są u kleszczojadów o ograniczone zasoby. W całej populacji około 8 proc. piskląt umiera z głodu. Kleszczojady nie bronią jednak jakiegoś zdefiniowanego terytorium, którego kontrola pozwoliłaby wyżywić potomstwo. Na tym samym obszarze żeruje kilka grup, czasami w pobliżu obcych gniazd – tylko one pozostają pilnie strzeżone przed intruzami. Niemniej, ponieważ grupa, której gniazdo zostanie spustoszone, najczęściej opuszcza dany teren, splądrowanie cudzego gniazda jest równie dobrym sposobem zabezpieczenia własnych interesów jak kontrola terytorium. Wojnę dodatkowo napędza ograniczona liczba atrakcyjnych – czyli mało podatnych na ataki drapieżników – miejsc do budowy gniazd.

Wygląda na to, że grupie, która już takie znajdzie, bardziej opłaca się narażać na przymieranie głodem albo na wojnę z sąsiednim stadkiem kleszczojadów, niż budować gniazdo w mniej zabezpieczonym i rzadziej odwiedzanym przez inne kleszczojady miejscu – czyli takim, w którym potencjalnie łatwiej byłoby wyżywić siebie i swoje potomstwo. Jednak nie o same gniazda w wojnach chodzi, ponieważ splądrowane i porzucone gniazda nie są zajmowane przez najeźdźców. Stawką są więc zasoby w atrakcyjnej lokalizacji.

Blisko spokrewnione z kleszczojadami kukułki guira także wyrzucają cudze jaja z gniazda, ale być może z zupełnie innego powodu. Jedna z hipotez głosi, że ataków dokonują osobniki, które nie zdołały znaleźć partnera i niszcząc obcy lęg, próbują doprowadzić do rozpadu danej grupy, by mieć kolejną okazję znalezienia go. Zachowanie kukułek guira przypomina więc działanie z „zazdrości". Kleszczojady prowadzą wojny z „chciwości" – przeciw hipotezie „zazdrości" świadczy to, że ich stada są bardziej stabilne, a utrata lęgu nie prowadzi do reorganizacji stadka. Poza tym grupy kleszczojadów, które utraciły cały lęg, najczęściej nie rozmnażają się już w danym okresie.

Pozostał nam do wyjaśnienia efekt przewagi własnego boiska. Dlaczego więc kleszczojady dłużej zajmujące dany teren często wygrywają w walkach z sąsiadami?

Po pierwsze, grupy, które zajmują dane terytorium, mogą po prostu składać się ze starszych lub bardziej doświadczonych osobników, które np. dzięki osobistemu doświadczeniu lepiej radzą sobie w konfliktach.

W grę mogą wchodzić też jednak inne, niezidentyfikowane jeszcze przez badaczy cechy. Jeżeli bowiem jakieś stadko zajmuje określony teren od wielu lat, to oznacza, że przez ten czas było zdolne skutecznie rywalizować z innymi kleszczojadami – odpierać cudze ataki, być może dokonywać własnych, czyli z definicji składa się z osobników w jakiś sposób bardziej wartościowych.

Może wreszcie chodzić o silniejszą motywację. U zwierząt wynik starcia często zależy od bliskości własnego gniazda, ponieważ broniące swojego terytorium osobniki są bardziej zmotywowane – prawdopodobnie mają w konflikcie więcej do stracenia. Zupełnie jak w sporcie. ©℗

WOJCIECH

Bonowicz: *Chwila przerwy*

Wpadła mi w ręce książka „Żagiel na przełęczy". Tak się mówi: wpadła, ale w tym przypadku posłała mi ją przez trzecią osobę autorka, Katarzyna Włodyka de Simone, której nie znałem. Świat dookoła po raz kolejny wariował, co otworzyłem internet, to lała się z niego nowa porcja szałów, w większości nienawistnych, tylko Leon spał spokojnie. Co zrobić, żebym i ja mógł spokojnie zasnąć? Miałem mnóstwo innej, pilnej roboty, więc natychmiast zabrałem się za lekturę. Przez dwa popołudnia czytałem tę opowieść o toskańskim mieście Prato, o którym wcześniej musiałem słyszeć, ale jakoś nie zapisało się w mojej pamięci. Historię znakomitego malarza Filippa Lippi, karmelity, który porwał z klasztoru w Prato młodą zakonnicę, żeby następnie uwiecznić ją na swoich obrazach jako św. Małgorzatę, Salome i Matkę Boską, znałem na pewno. W Starej Pinakotece w Monachium oglądałem nawet portret owej zakonnicy – teraz wiem, że nazywała się Lukrecja Buti – na obrazie „Madonna z Dzieciątkiem" tak pięknym, że warto było dla niego machnąć ręką na znacznie bardziej znane dzieła. Niestety, w czasach, kiedy dużo czytałem o sztuce, Filippo Lippi, a także jego syn Filippino (bo, jak pisze cytowany w „Żaglu..." Vasari: „brat Filip, wielce rozmiłowany w zaletach Lukrecji, uczynił ją ciężarną, a ta, w przewidzianym terminie, powiła mu dziecię płci męskiej") byli upychani między sławniejszymi artystami, jak choćby Masaccio, od którego starszy z Lippich uczył się malarskiego fachu, czy Boticelli, który znacząco wpłynął na młodszego.

Esej-opowieść Włodyki de Simone konstrukcyjnie przypomina prozę Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, z charakterystycznym nakładaniem na siebie różnych historycznych planów i splataniem w jeden węzeł wątków, które z pozoru nie mają ze sobą nic wspólnego. Ulicami Prato przechadzają się więc równocześnie XIV-wieczny kupiec, XV-wieczny malarz-rozpustnik czy XX-wieczny pisarz; tym pisarzem jest Curzio Malaparte, którego – nawiasem mówiąc – Herling cenił, choć nie lubił, i którego umieścił pod zmienionym nazwiskiem w jednym ze swoich opowiadań. Malaparte, syn Niemca i Włoszki, przyszedł na świat w Prato tylko dlatego, że jego ojciec, trudniący się farbowaniem tkanin, szukał tam pracy. Na przełomie wieków miasto przeżywało ostatni w historii boom gospodarczy: zwożono doń z całego świata zużyte ubrania, z których „po długiej i szkodliwej dla zdrowia pracującego obróbce (...) odzyskiwano wełniane włókno i wytwarzano zeń nową, zregenerowaną tkaninę, która jak świeże bułki sprzedawała się w całej Europie po konkurencyjnych cenach". Po latach pisarz wspominał, jak z rówieśnikami nurkował w stosach szmat, znajdując w nich muszle, zasuszone zwierzątka, chińską maskę, a nawet odciętą kobiecą dłoń...

Opowieść meandruje, ale składające się na nią historie znajdują w końcu swój ziemski, a bywa, że i niebieski finał. Ten ostatni chwyt nie każdemu pewnie przypadnie do gustu, pamiętajmy jednak, że opowiada się tu o czasach, w których wyobrażenie krewnych siedzących na chmurze i obserwujących, jak radzą sobie ich potomkowie, nie było uważane za naiwne. Intencję autorki rozumiem tak: jeśli mamy przenieść się w czasie, musimy przenieść się naprawdę, niejako wyrwać korzenie z miejsca, w którym jesteśmy (umysłowo i duchowo), i wsadzić je w miejsce, które pragniemy odczuć i zrozumieć. To się udało. Uczciwie powiem, że wolę pisanie raczej szorstkie, operujące krótszym, bardziej zdecydowanym zdaniem; a jednak „Żagiel na przełęczy" dał mi sporo przyjemności i wrażenie, że dotknąłem czegoś rzeczywistego, choć nieuchronnie minionego.

No cóż, miła to była przerwa. A teraz, drodzy Państwo, czas wracać do naszych szałów. ©

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Augustowie, pod sygn. akt I Ns 297/17, toczy się sprawa z wniosku Małgorzaty Stranz o stwierdzenie nabycia spadku po Teresie Polkowskiej, zm. 23 maja 2017 r. w Augustowie, ostatnio stale zamieszkałej w Augustowie.

Sąd wzywa spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia wskazanego w ogłoszeniu zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Sanoku toczy się postępowanie o sygn. akt I Ns 692/17, z wniosku Wojciecha Mroziaka, o stwierdzenie, że z mocy prawa przez uwłaszczenie Józef Bednarz, s. Jana i Justyny, oraz Janina Gnizdur, c. Tadeusza i Franciszki, nabyli z dniem 4 listopada 1971 r. własność działek gruntowych położonych w Sanoku, obręb ewidencyjny Dąbrówka, odpowiednio o numerach ewidencyjnych: 1471 o powierzchni 0,0235 ha oraz o numerze 1470 o powierzchni 0,0260 ha – wpisanych odpowiednio do LWH91 oraz LWH132, gm. kat. Dąbrówka Polska.

Sąd wzywa Jana Skoczypiec, Stanisława Kosturskiego, Zofię Jarzec, Józefa Kandlera, Joannę Jarzec, Marię Jarzec, Michała Jarzec i Wandę Jarzec, bądź ich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy zgłosili się w tut. Sądzie i ujawnili prawo do nieruchomości, gdyż mogą być pominięci w postępowaniu o uwłaszczenie.

NIEPODLEGŁOŚĆ OBCHODZONA

Rok 2018 może ustanowić nowe rozumienie niepodległości przez Polaków. Nie byłoby ono jednak po myśli władzy.

DARIUSZ KOSIŃSKI

Przed kilkoma dniami Narodowe Centrum Kultury opublikowało raport pod tytułem „Świętowanie Niepodległości 11 listopada 2017 roku". Powstał on na podstawie badania opinii publicznej, przeprowadzonego przez firmę badawczą GfK Polonia na zlecenie NCK. Raport, jak piszą we wstępie autorzy, został zrealizowany „na podstawie sześciu zogniskowanych wywiadów grupowych w dwóch miastach – Warszawie i średnim mieście (ok. 50 tys. mieszkańców), kluczowym etapem badania był sondaż zrealizowany na próbie 1000 Polaków w wieku 15+ w dniach 13-16 listopada 2017 r.

Badania przeprowadzono w związku z realizacją programu obchodów 100-lecia odzyskania niepodległości »Niepodległa«. Ich celem było zanalizowanie sposobów spędzania czasu przez Polaków w dniu 11 listopada, analiza sensów i znaczeń, jakie Polacy przypisują Świętu Niepodległości, oraz motywacji i barier uczestnictwa w obchodach Święta". Autorzy raportu często odwołują się do innego ogólnopolskiego badania, przeprowadzonego w dniach 18-31 lipca 2016 r. przez firmę badawczą TNS Polska, zrealizowanego na potrzeby Wieloletniego Programu Rządowego „Niepodległa'18". Raport TNS Polska zawiera wyniki badań przeprowadzonych na próbie 1500 osób w wieku 15+, była to więc próba znacząco większa niż badanie z roku 2017. Jego 37-stronicowa wersja została opublikowana we wrześniu 2016 r. na stronie internetowej NCK. Redakcja „Tygodnika" dotarła do pełnej wersji raportu TNS Polska z 2016 r., przeznaczonej wyłącznie do użytku osób przygotowujących Wieloletni Program Rządowy „Niepodległa'18". Oto nasze wnioski z lektury.

Są, to się je obchodzi

W zasadniczej kwestii obchodów stulecia niepodległości wyniki badań są mało pocieszające dla ich przyszłych organizatorów. Aż 25 proc. badanych nie wie, po co je organizować, a 30 proc. uważa, że trzeba upamiętnić wydarzenia sprzed stu lat, bo są warte upamiętnienia. Innymi słowy: trzeba je obchodzić, bo godne są obchodów. Powszechność tej „pętli upamiętniania" umacniają jeszcze odpowiedzi mówiące, że specjalne świętowanie niepodległości w 2018 r. jest potrzebne, bo stulecie to ważne wydarzenie (11 proc.) i że nie można nie zaznaczyć takiej okrągłej rocznicy (9 proc.). Tylko 6 proc. pytanych stwierdziło, że w świętowaniu chodzi o radość z wolności, 7 proc. zwraca uwagę na cele edukacyjne, a 9 proc. mówi o upamiętnieniu poległych.

Ten ostatni zespół tematyczny dominuje wśród odpowiedzi dotyczących obszarów, na których powinny koncentrować się przyszłe obchody. Na upamiętnianie tych, którzy zginęli w walce o wolność Polski, wskazuje 47 proc. Jest to jednak tylko o jeden punkt procentowy mniej od odpowiedzi mówiących, że obchody powinny się skupiać na przypomnieniu ważnych wydarzeń (46 proc.), co oznacza ponowne uruchomienie pętli upamiętnienia. Trzecia najczęściej ↦

PIOTR MAŁECKI / NAPO IMAGES

DZIEŃ
NIEPODLEGŁOŚCI

↦ zaznaczana odpowiedź mówi o wielkim świętowaniu niepodległości (37 proc.). Te trzy najczęściej wybierane odpowiedzi są też trzema najczęściej zaznaczanymi jako pierwsze (odpowiednio 15 proc., 14 proc. i 12 roc.). Dalej jest przypomnienie biografii wielkich Polaków oraz podkreślenie wyjątkowości kultury polskiej. Tylko 6 proc. respondentów jako najważniejszy temat wskazało doświadczenie jedności (25 proc. wszystkich odpowiedzi), a 4 proc. dyskusję, jaka Polska ma być w przyszłości (17 proc. wszystkich odpowiedzi).

Wyniki te wskazują, że Polacy odczuwają celebrowanie przeszłości jako ważne, bo są przekonani, że przeszłość ma znaczenie sama w sobie. Jej waga nie przekłada się jednak na refleksję na temat tego, co było, ani – tym bardziej – na temat tego, co jest i być może. Takie nastawienie potwierdzają odpowiedzi na pytania o znaczenie wiedzy o przeszłości dla teraźniejszości. Wprawdzie 74 proc. twierdzi, że jest ważna lub raczej ważna, ale gdy zapytać o konkrety, tylko 14 proc. mówi o niej jako o źródle wiedzy przydatnej w teraźniejszości, a zaledwie 1 proc. jako o układzie odniesienia do teraźniejszości (więc w 15 proc. przypadków można mówić o jakiejś nauce wypływającej z historii). Jeszcze bardziej zaskakujące, że tak dziś oczywistą – wydawałoby się – odpowiedź, jak uznanie historii za podstawę tożsamości jednostki i świadomości narodowej, zaznaczyło jedynie 17 proc. respondentów.

Największą grupę odpowiadających (33 proc.) stanowią osoby uznające, że wiedza o przeszłości to istotny składnik kultury i wykształcenia (a więc „znać historię trzeba, no bo tak"). Jeśli dodać do nich jeszcze 14 proc., które po prostu uznały, że wiedza o przeszłości to „wartość", otrzymamy ponownie przeważający obraz samoustanawiającej się pętli („ważne, bo ważne"). Jakby słynny Anioł Historii Paula Klee, interpretowany przez Waltera Benjamina, wpadł w Polsce w jakiś wir i zamiast być niesiony w przyszłość, kręcił się w kółko zapatrzony we własne odbicie.

Charakterystyczne, że tej samozwrotnej roli wiedzy o przeszłości towarzyszy bardzo słaba pamięć rodzinna. Z badań przedstawianych w raporcie wynika, że w polskich rodzinach o przeszłości mówi się rzadko, a jeśli już, to o stosunkowo bliskiej. Mało jest też osób, które badają przeszłość własnych rodzin, wpisując Wielką Historię w porządek osobisty. Wynika stąd, że za ważną traktuje się oficjalną i uogólnioną wiedzę o przeszłości, którą raczej otrzymuje się w postaci gotowych formatów, niż zdobywa na własną rękę.

Znaczenie Święta Niepodległości jest dla Polaków jak powiewająca nad głowami flaga, pod którą toczy się niezależne od niej, prawdziwe życie.

Na tym tle nie dziwi, że wiedza o roku 1918 i o całym okresie II RP jest stosunkowo niewielka. Skojarzenia pytanych odnoszą się przede wszystkim do popularnych pieśni, takich jak „Pierwsza brygada", „O mój rozmarynie" czy „Przybyli ułani". Może to być efekt jednego z najpopularniejszych sposobów świętowania 11 listopada, czyli zbiorowych śpiewów patriotycznych, ale i on jest fundowany na pracy, jaką II RP wykonała w odniesieniu do tej formy wpisania się w zbiorową pamięć. Po niemal stu latach można chyba śmiało powiedzieć, że dwudziestolecie przetrwało poprzez pieśni, które wywołują bardzo silne reakcje afektywne. Są one rodzajem bomb emocjonalnych (w ten sam sposób, choć raczej nostalgicznie, pracują na rzecz pamięci „lat dwudziestych, lat trzydziestych" popularne piosenki z rewii i komedii filmowych). Takie bomby konstruował też PRL. Nie robiła tego natomiast III RP.

Pieśni i ich zbiorowe śpiewanie to jednak wyjątek. Z raportu wynika, że Święto Niepodległości kojarzone jest głównie z ustalonymi od dawna oficjalnymi formami obchodów i „funkcjonuje [ono] w głównej mierze jako pozbawiony wewnętrznej treści rytuał". W oczach badanych ma charakter niemal wyłącznie oficjalny: nie jest powiązane ze sferą prywatną, nie ma w nim osobistych przeżyć. Nie znaczy to, że Polacy uważają je za nieważne. Ale jego znaczenie postrzegają jako unoszące się gdzieś ponad ich głowami, poza tym, co rozpoznają jako swoje życie. Jest jak powiewająca nad drzwiami flaga, pod którą zajmujemy się swoimi, niezależnymi od niej sprawami.

Niepodległość wolności

„Niepodległość" i „wolność" są odróżniane przez Polaków w taki sposób, że ta pierwsza kojarzy się z państwem i jego suwerennością oraz z niezależnością wspólnoty narodowej, natomiast ta druga jest raczej sprawą jednostek i dotyczy zdobywanej samodzielnie niezależności od innych, samowystarczalności i samostanowienia. Niepodległość jest ceniona, ale w sposób deklaratywny i rozumiana schematycznie. Jest bowiem „w praktyce mało angażująca i niepowiązana z życiem codziennym". Co gorsza, ta schematyczność realizuje się w postaci skojarzeń związanych przede wszystkim z przeszłością i walką, ewentualnie z zabiegami dyplomatycznymi, ale nie z pracą w czasie pokoju, wysiłkami na rzecz zagospodarowywania niepodległości.

Jej historyczność ma więc bardzo konkretny wymiar: skoro się niepodległość zdobywa (ewentualnie traci), to poza czczeniem tych, którzy tego dokonali w przeszłości, oraz ostrzeganiem (czyli wzbudzaniem strachu) przed tymi, którzy potencjalnie mogą jej zagrozić, nie bardzo wiadomo, co można by w relacji do niej czynić. Liczy się „samo jej osiągnięcie, a już niekoniecznie właściwe [jej] wykorzystanie". Potwierdza to analiza używanych w wypowiedziach ekwiwalentów „niepodległości". Nie znajdziemy tu „samostanowienia", „samookreślenia", „samodzielności", a więc pojęć, które kładą nacisk na to, co samemu można z nią robić, czy też, jak można i powinno się ją wykorzystać.

Zupełnie inaczej jest z wolnością, która dla większości badanych stanowi wartość bardzo ważną. Wiążą ją jednak przede wszystkim z zaradnością zapewniającą praktyczną niezależność od innych, samodzielnością w realizowaniu własnej woli, z życiem w zgodzie z samym sobą, a także z prawami jednostek zapewnianymi w ramach systemu prawnego (stąd wolność w wymiarze społecznym to swoboda organizacji, wyrażania poglądów itd.).

Co ważne, wolność kojarzona jest też przez badanych z radością, jaką daje jej bezpośrednie, cielesne wręcz odczuwanie. Taki jej obraz jednoznacznie kontrastuje z oficjalnym, sztywnym i schematycznym postrzeganiem niepodległości. Wprawdzie w badaniu sondażowym najwięcej (36 proc.) osób kojarzy niepodległość z wolnością, ale skojarzenie to nie przekłada się na myślenie konkretne i pozostaje na poziomie ogólnego skojarzenia językowego.

Z raportu wynurza się więc obraz społeczeństwa, które wartości odnoszące się do państwa uważa za ważne, bo tak się uważać zwykło, ale w zasadzie nie znajduje konkretnych sposobów i przykładów na praktyczne ich wpisanie w swoje życie. Wolność to dla Polaków coś konkretnego, bardzo mocno związanego z codziennymi decyzjami, zachowaniami i możliwościami tak realnymi, że przekładanymi na wartości ekonomiczne (wolność kojarzo-

na jest na przykład z niezależnością finansową, pozycją zawodową itd.). Natomiast niepodległość swoją wagę zawdzięcza historii i ceremoniom, poprzez które ową wagę się wystawia i ustanawia, ale które pozostają oddzielone od praktyki życia.

Niejedność zafiksowana

W badaniach widać mocny podział na stronę narodowo-konserwatywną, dla której niepodległość to wartość sama w sobie, godna wszelkich ofiar, oraz na stronę liberalno-demokratyczną, która uznaje ją jedynie za warunek demokracji i wolności indywidualnego i zbiorowego działania. Choć i ta część społeczeństwa zachowuje pamięć o wysiłku niepodległościowym, to – jak piszą autorzy raportu – „w tym nurcie brak pozytywnej treści, którą można by wypełnić to święto i przeciwstawić inną wizję tradycji konserwatywnej".

Innymi słowy: przeżywając i ceniąc wolność na poziomie indywidualnym i zbiorowym (ale nie państwowym), liberałowie nie mają do zaproponowania niczego, co mogłoby stać się realną treścią święta niepodległości. Z kolei to, co mają do zaproponowania konserwatyści i narodowcy, nie odnosi się do życia, ale raczej do śmierci – poświęcenia wolności indywidualnej i zbiorowej jako ofiary (przeszłej – czczonej i przyszłej – deklarowanej) na rzecz niepodległości. Niepodległość, w imieniu której prawica maszeruje i defiluje, nie ma teraźniejszej formy istnienia – jest czymś, co zdobyli przodkowie i czego maszerujący i defilujący obiecują bronić przed potencjalnymi wrogami, których sami wytwarzają. Wytworzenie wroga, którego symbolicznie zwalcza się w trakcie demonstracji, to jedyny sposób, by niepodległość zaistniała inaczej niż jako zdobyta przed stu laty. Stąd sugerowanie jej nietrwałości w oficjalnych przemówieniach i agresywna retoryka oraz manifestowanie islamofobii i rasizmu na masowych demonstracjach „patriotycznych".

Wbrew temu, co mówią słabo udający zdziwienie przedstawiciele władzy, związek patriotyzmu celebrowanego na Marszu Niepodległości z ksenofobią nie jest incydentalny, ale konieczny i logiczny – tylko wytwarzając wroga tacy czciciele niepodległości mogą już dziś wystawić się jako jej obrońcy.

Na skutek braku po stronie liberalnej i ekstatycznego nadmiaru po stronie konserwatywnej niepodległość znika z teraźniejszości przeżywanej na co dzień. Istnieje jedynie w celebracji. Badania przedstawione w raporcie NCK potwierdzają, że dla większości badanych Święto Niepodległości łączy się natychmiast ze słowem „obchodzić", a to jego „czynnościowe" pojmowanie sprawia, że istnieje ścisły i bezpośredni związek między schematycznym rozumieniem niepodległości a rozpoznawanym i uznawanym za przyjęty sposobem obchodzenia 11 listopada – sztywnym i oficjalnym: „Odbiorca nie znajduje tutaj przekazu, który mógłby go zaangażować, pokazać odniesienia do jego prywatnej sfery życia, dać szanse zidentyfikowania się z bohaterami wydarzeń, uczestniczyć w ich przeżyciach, albo zapewnić jakiekolwiek emocje pozytywne. Emocjonalna pustka tego obszaru znaczeniowego jest wypełniana jedynie aktualnym sporem politycznym, który jednak ma charakter silnie negatywny i antagonistyczny".

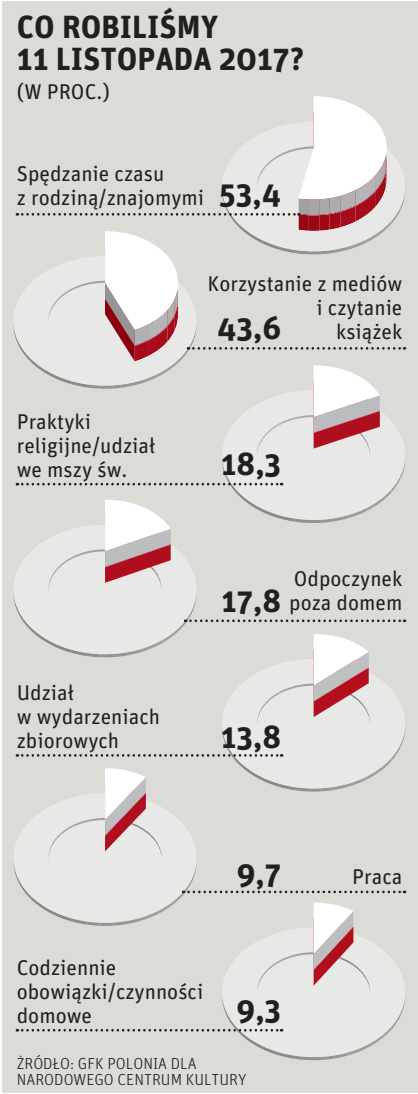

LECH MAZURCZYK

Niepodległość jako wartość, jej rozumienie i emocjonalne otoczenie ustanawiają się więc poprzez obchody i będą takie jak one. Jubileusz stulecia teoretycznie ma tu do odegrania wielką rolę, bo znaczenie, jakie się mu nadaje, wysokość nakładów i liczba oraz rozmach wydarzeń sprawiają, że rok 2018 ma szansę dokonać zasadniczych zmian, wręcz ustanowić nowe rozumienie niepodległości.

Do tej szansy odnoszą się też autorzy raportu, sugerując, że komunikaty związane z niepodległością trzeba oprzeć na wartościach uniwersalnych, że powinna ona zostać przeniesiona na grunt indywidualnej wolności – wolności we własnym domu, możliwości gospodarowania sobą i u siebie. To oczywiste przeciwstawienie się dominującemu obecnie sposobowi myślenia. Oznaczałoby, że organizujące obchody państwo musiałoby uznać swoją niepodległość za drugorzędną wobec wolności obywateli, przyznać, że odzyskanie niepodległości było i jest ważne nie dlatego, żeby Polska była Polską, ale dlatego, żeby ludzie mieszkający w jej granicach mogli czuć radość z tego, że są wolni. Być może taka narracja odwołuje się do wartości, które autorzy raportu uznają za bardziej uniwersalne, ale na pewno nie jest to narracja obecnego państwa.

By wyrwać Święto Niepodległości, a i ją samą z „emocjonalnej pustki" i schematycznego rozumienia, by ją wprowadzić w życie, trzeba poszukać innych niż dotychczasowe sposobów świętowania 11 listopada. Jak dotąd jedyną udaną alternatywę dla sztywnej oficjalności stanowi Marsz Niepodległości, który właśnie dlatego przyciąga wiele osób, że wytwarza efekt autentyczności i zaangażowania (inna sprawa, do czego w efekcie politycznych manipulacji to zaangażowanie jest wykorzystywane). Swoistą „trzecią drogę" próbował swego czasu wytyczyć prezydent Bronisław Komorowski, całkiem zgrabnie łącząc w Marszu dla Niepodległej politykę historyczną, oficjalność upamiętnienia i zbiorową radość, więc – teoretycznie – wartości i cechy cenione przez respondentów. Jego inicjatywa została jednak wyśmiana, a następnie porzucona przez ludzi obecnej władzy, którzy w ten sposób skazali się na oficjalność, bo kibicowskie skandowania i emocjonalnie przeżywana jedność zostały już zagospodarowane przez Marsz Niepodległości, od którego też (lekko, bo lekko, ale jednak) się dystansują.

Oddzielenie państwa i jego niepodległości od życia obywateli wydaje się obecnej władzy bardzo na rękę. Gdy wolni obywatele zajmują się swoimi sprawami, niepodległe państwo może w spokoju zająć się rządzeniem. ©

DARIUSZ KOSIŃSKI

BRIAN SNYDER / REUTERS / FORUM

Oprah Winfrey z senatorem Barackiem Obamą i jego żoną Michelle podczas kampanii wyborczej, Manchester, USA, 9 grudnia 2007 r.

Amerykański sen Oprah

PIOTR TARCZYŃSKI

Czy demokratyczny proces wybierania przywódcy musi zredukować się do rywalizacji o widownię w paśmie największej oglądalności?

Kiedy Toma Hanksa namawiano przed laty do startu w wyborach prezydenckich w Stanach Zjednoczonych, powiedział: „Jestem aktorem, więc jasne, że umiem wygłosić dobre przemówienie. Ale to miałby być powód, żeby na kogoś głosować?". A kiedy podczas rozdania Złotych Globów Oprah Winfrey odebrała nagrodę za całokształt twórczości i wygłosiła niezłe przemówienie na temat akcji #MeToo, amerykańskie media oszalały: „Oprah na prezydenta!", „Cała nadzieja w Oprah!", „#Oprah2020!". Sama zainteresowana jeszcze rok temu zapewniała, że „nigdy, przenigdy nie zamierza ubiegać się o żadne stanowisko", ale teraz milczy, podczas gdy jej przyjaciele i bliscy opowiadają, że „intryguje ją taka możliwość". Jako pierwsza pomysł rzuciła Meryl Streep, entuzjastycznie wypowiedzieli się Steven Spielberg, a także Tom Hanks, który najwyraźniej zmienił zdanie w kwestii tego, co kwalifikuje kogoś do zasiadania w Białym Domu. W tej kwestii w Hollywood panuje więc zgoda.

Dobra na wszystko

Oprah to kobieta-instytucja, która w amerykańskim panteonie zajmuje miejsce wyjątkowe. Donald Trump lubi mówić o swojej „niebywałej" karierze, ale to Winfrey stanowi prawdziwe ucieleśnienie *American Dream*. W odróżnieniu od Trumpa, który wciąż nie ujawnił swoich zeznań podatkowych, ona naprawdę jest miliarderką i to nie dlatego, że odziedziczyła rodzinną fortunę.

Pochodziła z zapadłej dziury w stanie Missouri. Ciężką pracą dotarła na sam szczyt: z dziennikarki lokalnej stacji stała się prezenterką najpopularniejszego *talk-show* USA, królową telewizji i właścicielką medialnego imperium. Zrobiła oszałamiającą karierę na poprawianiu humoru ludziom: czy to przez wysłuchiwanie na wizji katartycznych zwierzeń, czy to przez rozdawanie publiczności prezentów. Została duchową przewodniczką milionów Amerykanów, którym co tydzień mówiła, co czytać, co kupować, jak żyć, a – od pewnego momentu – także jak głosować.

Przez całe lata, zgodnie ze swoim wizerunkiem osoby, która łączy, a nie dzieli, Oprah nie angażowała się politycznie. W kwestiach obyczajowych jest bardzo liberalna, od dawna otwarcie wspiera prawa

LGBT, ale co z resztą? O jej poglądach wiemy niewiele. Polityka zagraniczna? Popiera Izrael i była przeciwko wojnie w Iraku. Opieka zdrowotna? W swoim programie gościła antyszczepionkowców, promowała też kontrowersyjnych lekarzy-znachorów: psychologa Dr. Phila oraz słynnego z reklamowania „magicznych fasolek" Dr. Oza. Gospodarka? Krytykowała zbyt wysokie podatki dla bogaczy, zwłaszcza podatek spadkowy. Jak widać – miks poglądów, od lewa do prawa. Twierdziła zresztą, że równie często głosowała na Republikanów, co na Demokratów.

Życiowa rola

Dopiero w 2006 r. opowiedziała się po jednej ze stron. Zapytana na wizji przez fana, czy nie rozważa startu w wyborach prezydenckich, zaapelowała, by całą energię skierować na młodego senatora z Illinois, Baracka Obamę. Dwa lata później, podczas prawyborów Demokratów, wsparła go nie tylko finansowo – jeździła po kluczowych dla nominacji stanach, przyciągając tłumy na wiece poparcia dla Obamy. Zadziałał „efekt Oprah", taki sam jak w przypadku polecanych przez nią książek – według jednego z badań jej wsparcie dało senatorowi około miliona głosów i zdecydowało o jego wygranej nad Hillary Clinton.

Od tamtego czasu Oprah zaczęto jednoznacznie kojarzyć z Partią Demokratyczną. W 2013 r. wsparła kampanię innego młodego, czarnego polityka – Cory'ego Bookera, kandydującego do Senatu z New Jersey, zaś w 2016 r. ogłosiła „Jestem z nią", ale – ku frustracji sztabu Hillary – nie zrobiła wiele więcej. Oprah jest może i „królową serc", lecz przede wszystkim doskonałą bizneswoman. Kiedy poparła Obamę, jej oglądalność spadła o kilka procent. Doskonale wiedziała, co dla jej marki zrobiłoby aktywne zaangażowanie w kampanię wyborczą tak niepopularnej kandydatki jak Hillary Clinton.

Granica między polityką a show-biznesem staje się coraz bardziej płynna, proces „celebrytyzacji" zaś postępuje. Politycy muszą dziś w równym stopniu zaprezentować swój program wyborczy, jak i siebie – dać się wyborcom poznać i polubić. Gwiazdy nie muszą już tego robić, mają też doświadczenie w występowaniu przed kamerami, publicznym przemawianiu, odgrywaniu ról – a bycie politykiem to dziś w dużej mierze odgrywanie roli polityka.

Donald Trump poszedł jeszcze o krok dalej – codziennie widzimy, że nie tyle sprawuje urząd prezydenta, co po prostu odgrywa rolę, w jakiej został obsadzony. Szczegóły polityki go nudzą, nie rozumie ich i wcale nie zamierza się ich uczyć. Interesuje go nie rządzenie, tylko warstwa publiczna prezydentury: przemowy, wiece, wizyty, zainteresowanie mediów. Kiedy szukał kandydata na wiceprezydenta, zaproponował gubernatorowi Johnowi Kasichowi, że jeśli ten się zgodzi, dostanie nadzór nad polityką wewnętrzną i zagraniczną, czyli *de facto* nad całością administracji. Sam Trump chciał się zająć „czynieniem Ameryki wielką", czyli tym, co odpowiada mu najbardziej – odgrywaniem prezydenta, a raczej tego, jak sobie taką rolę wyobraża. Kasich wprawdzie odmówił, ale prezydentura Trumpa i tak wygląda dość podobnie: analiza jego kalendarza pokazuje, że na prawdziwą pracę poświęca ledwie kilka godzin dziennie, a resztę czasu spędza w części mieszkalnej Białego Domu, gdzie przed trzema ekranami telewizorów, z nosem w komórce, walczy z mediami i „dba" o swój wizerunek.

Oscary kontra Maliny

Medialne szaleństwo i spekulacje, czy za dwa lata Oprah Winfrey rzuci wyzwanie urzędującemu prezydentowi, nietrudno zrozumieć. W czasie kampanii wyborczej 2016 r. stacje telewizyjne dawały Trumpowi nieproporcjonalnie dużo czasu antenowego: każda jego wypowiedź, choćby najbardziej bzdurna, od razu urastała do rangi wiadomości dnia i wałkowano ją bez końca. Media tłumaczyły się z tego „prawem do informacji" i „interesem publicznym", ale dla wszystkich było jasne, że przede wszystkim chodziło im o własny interes. Równie jasne jak to, że „starcie tytanów", Oprah kontra Donald, zapewniłoby rekordową oglądalność. Zdaje sobie z tego sprawę także Trump, który spekulacje na ten temat skomentował wyjątkowo dobrodusznie. Powiedział, że Oprah jest świetna, ale na pewno by ją pokonał. Pikanterii dodaje fakt, że nazwisko Trumpa wymieniła w kontekście prezydenckim właśnie Oprah. Kiedy w kwietniu 1988 r. promował w jej programie swoją książkę „*Art of the Deal*", Winfrey zapytała go, czy zamierza kandydować na prezydenta. „Raczej nie – odparł – ale gdybym wystartował, tobym wygrał". Z kolei, kiedy w 1999 r. Trump poważnie rozważał start w wyborach prezydenckich jako kandydat Partii Reform, to właśnie Oprah widział jako swoją zastępczynię.

Z kolei autentyczni entuzjaści kandydatury Oprah pytają: „Czy nie byłaby lepszym przywódcą od dzisiejszego lokatora Białego Domu?". Cóż, zapewne tak, ale po roku urzędowania Donalda Trumpa można to powiedzieć prawie o każdym. Nie ma wątpliwości, że Oprah, jako nominowana do Oscara, odgrywałaby rolę prezydenta lepiej niż nominowany do Złotej Maliny Trump. Czy jednak odpowiedzią na bogacza-celebrytę, który wszystko opatruje swoim nazwiskiem, naprawdę powinna być bogaczka-celebrytka, która wszystko opatruje swoim imieniem? Czy Amerykanie stracili do reszty umiejętność uczenia się na błędach i wyciągania wniosków? Czy miniony rok nie udowodnił boleśnie, że popularność i pieniądze nie stanowią wystarczających kwalifikacji do rządzenia supermocarstwem?

To prawda, że mowa Winfrey podczas gali Złotych Globów była poruszająca, ale to tylko pokazuje, jaki jest głód inspirujących przemówień i sprawnych retorycznie liderów. Po ośmiu latach prezydentury jednego z najwybitniejszych mówców w dziejach amerykańskiej polityki w Białym Domu zasiadł człowiek, który także i pod tym względem jest jego przeciwieństwem. Używa prostego (by nie rzec: prymitywnego) języka, pełnego powtórzeń, niespójnych przeskoków, zarazem obsesyjnie krążąc wokół jednego tematu, który naprawdę go interesuje – samego siebie. Kilka dni po rozdaniu Złotych Globów Trump zabłysnął po raz kolejny, nazywając uboższe kraje „zasrajdziurami", co tylko zaakcentowało kontrast między nim a złotoustą Oprah.

Mambo-dżambo

W amerykańskiej polityce nie brakowało, rzecz jasna, transferów z show-biznesu do polityki, zwłaszcza w Kalifornii i – co ciekawe – zwłaszcza pod szyldem Partii Republikańskiej. W 1964 r. senatorem został George Murphy, były aktor musicalowy; dwa lata później gubernatorem wybrano Ronalda Reagana, a w roku 2003 Arnolda Schwarzeneggera. Clint Eastwood burmistrzował jakiś czas miasteczku Carmel, zaś Sonny Bono, były mąż Cher, parę lat zasiadał w Izbie Reprezentantów. Poza Kalifornią sukcesy odniósł były wrestler Jesse Ventura, swego czasu gubernator Minnesoty, oraz serialowy aktor Fred Thompson, senator z Tennessee, który w 2008 r. wziął udział w republikańskich prawyborach prezydenckich.

Wszystkie te przykłady dotyczą jednak poziomu lokalnego – do czasu Trumpa tylko jeden „celebryta" odniósł sukces ogólnokrajowy: Ronald Reagan. Często powtarza się, że to „trzeciorzędny aktor, który został prezydentem", ale – jakkolwiek krytycznie oceniać jego rządy – jest to podejście niesprawiedliwe. To prawda, że jako prezydent często wykorzystywał swoje ↦

↦ hollywoodzkie doświadczenie, zmienił sposób, w jaki politycy komunikują się z wyborcami, i wydatnie przyczynił się do zacierania granicy między spektaklem a polityką. Zanim jednak wystartował w wyborach na gubernatora, przez całe lata angażował się w sprawy polityczne, kiedy zaś w 1980 r. pokonywał Jimmy'ego Cartera, miał za sobą osiem lat rządzenia największym stanem Ameryki i był niekwestionowanym liderem konserwatywnej frakcji Partii Republikańskiej. Takim doświadczeniem nie mogą pochwalić się ani Trump, ani Winfrey, którzy nigdy nie próbowali ubiegać się o żadne inne publiczne stanowisko niższego szczebla.

Wygrana Oprah – a nawet już jej sam start w wyborach – byłaby fatalną wiadomością dla Ameryki i całego świata. Stanowiłaby ostateczny dowód na to, że Trump nie jest żadną aberracją, ale postacią prawdziwie transformacyjną, która zapoczątkowała nowy rozdział w dziejach amerykańskiej polityki, całkowitą kapitulację kompetencji przed sławą i pieniędzmi. Demokratyczny proces wybierania przywódcy już ostatecznie zredukowałby się do rywalizacji o widownię w paśmie największej oglądalności. Jeśli uznamy, że prezydentem może być Oprah, to właściwie dlaczego nie raper Kanye West czy aktor filmów akcji Dwayne „Rock" Johnson, którzy zresztą już dawno wyrazili chęć startu w wyborach w 2020 roku?

Przekonanie, że jedna „Królowa Oprah" może uratować amerykańską demokrację, to naiwność rodem z promowanego przez Winfrey samopomocowego mambo-dżambo. Tymczasem wcale nie wystarczy czegoś bardzo chcieć, by to dostać. Dla dobra wszystkich Oprah powinna jak najszybciej zamknąć temat swojej kandydatury. Jeśli naprawdę chce pomóc Demokratom zmienić Amerykę, może to zrobić wspierając finansowo – i osobiście – kandydatów, którzy naprawdę mają szansę pokonać Trumpa za dwa lata. A tak się składa, że w partii nie brakuje osób, które mają i kwalifikacje, i charyzmę: przeważnie zresztą kobiet (Elizabeth Warren, Kirsten Gillibrand), przedstawicieli mniejszości (Cory Booker) albo nawet czarnoskórych kobiet (Kamala Harris). Kiedy nadejdzie czas, „efekt Oprah" będzie najlepszym prezentem, jaki Winfrey będzie mogła dać Ameryce. ©

PIOTR TARCZYŃSKI

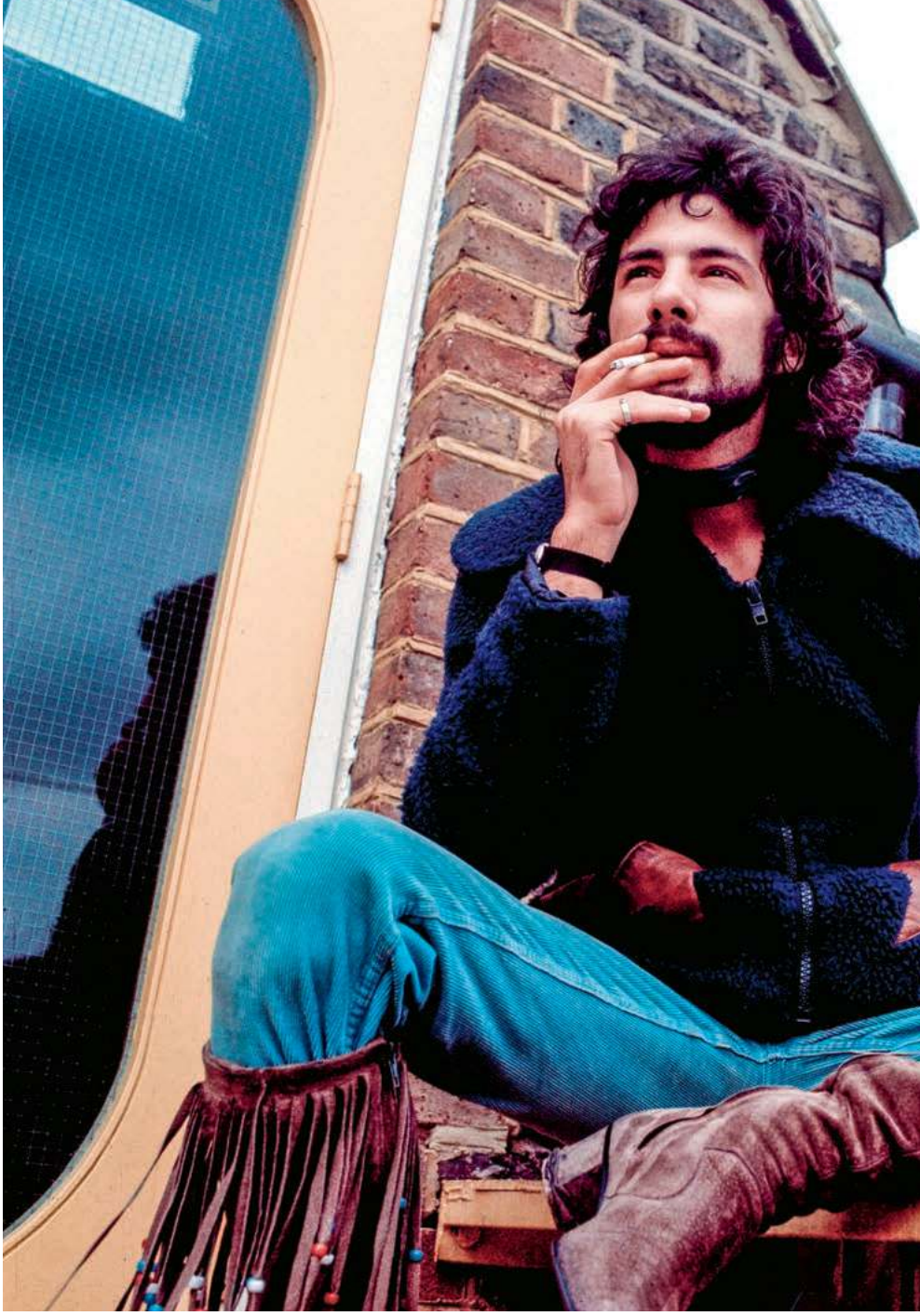

Koci los

ROBERT KASPRZYCKI

Cat Stevens jest fenomenem nie tylko artystycznym. Czy prawowierny muzułmanin może mieć własne zdanie w kwestii bluźnierstwa, polityki Izraela albo praw gejów?

Już sam początek brzmi nieźle: nasz bohater wychował się nad Moulin Rouge. I nie ma w tym zdaniu błędu gramatycznego, nie chodzi bowiem o kabaret nad Sekwaną, lecz nazwę restauracji, którą prowadzili w Londynie jego rodzice, oraz fakt, iż dom rodzinny mieścił się tuż nad lokalem.

Cat Stevens, znany także jako Yusuf Islam, urodził się 21 lipca 1948 r. jako Steven Demetre Georgiou, najmłodsze dziecię Stavrosa Georgiou i Ingrid Wickman, cypryjskiego Greka i Szwedki, członka autokefalicznego Kościoła prawosławnego i baptystki. Ów niezwykły miks podkręcony został posłaniem małego Stevena do

MICHAEL PUTLAND / GETTY IMAGES

Cat Stevens, Londyn, 1970 r.

katolickiej szkoły pod wezwaniem św. Józefa, a jako że wszystko działo się w stolicy światowego kosmopolityzmu, wszelkie znaki na ziemi i niebie świadczyły, iż będziemy mieli do czynienia z artystą niebanalnym.

Początki kariery Stevensa nikną w pomroce dziejów i nic w tym dziwnego – rodzinny interes miał swą siedzibę przy Shaftesbury Road, rzut melonikiem od Piccadilly Circus, zaś charakterystyczna dla Soho atmosfera teatrów i wodewilu sprawiła, iż wejście w świat show-biznesu zdawało się oczywistością.

Swingujący Londyn

Pierwszą gitarę dostał w wieku 15 lat i dość wcześnie zaczął pisać i grać piosenki własne. Obciążony genem wokalnym po ojcu, a plastycznym po matce, młody Steven eksplorował swe talenty na obu polach. Zanim dał się poznać światu jako znakomity *singer-songwriter* (które to słowo jest, jak się zdaje, nieprzetłumaczalne na język polski, zaś bliski znaczeniowo „bard" kieruje naszą uwagę w stronę kogoś, kto przynajmniej raz dziennie pisze hymn narodowy) był, jak Keith Richards czy Eric Clapton, jeszcze jednym młodym muzykiem kształcącym się w zakresie sztuk wizualnych. Choć spędził rok w Hammersmith Art College, sama plastyka mu nie wystarczała.

Początek prawdziwej kariery przypada na połowę lat 60. Stevens debiutuje jako folkowy *songwriter* w klubie Black Horse latem 1964 r., stopniowo zdobywając sobie lokalną popularność, zaś w 1966 r. jego piosenkami zachwyca się Mike Hurst, producent związany z wytwórnią Decca, w efekcie czego już wkrótce staje się Stevens częścią oferty Deram Records – obok innych debiutantów: Davida Bowiego i Moody Blues.

Pierwszy hit „*I Love My Dog*" pojawia się już rok później – za nim „*Matthew and Son*", tytułowy singiel z debiutanckiego albumu. Młody piosenkopisarz dostarcza także repertuaru innym – jego „*The First Cut is the Deepest*" (pochodzące z drugiej płyty) zostaje sprzedane za całe 40 dolarów soulowej wokalistce P.P. Arnold, a po latach stanie się hitem takich artystów jak Rod Stewart czy Sheryl Crow

Zanim jednak Steven stał się Catem, musiał znaleźć stosowny pseudonim. I choć nieźle brzmi wersja, iż chodziło o koci kształt oczu, jeszcze lepiej ujął to sam artysta, mówiąc, iż nie bardzo wierzył w to, że ktokolwiek kupi płytę Stevena Demetre Georgiou. Ów sceptycyzm dzielili z nim wiele lat później Georgios Kyriacos Panayiotou (znany światu jako George Michael) czy Jennifer Joanna Linn Anastassakis (Jennifer Aniston) – mówiąc krótko: było to na długo, zanim George Stephanopoulos zdecydował się pełnić obowiązki doradcy prezydenta USA Billa Clintona pod własnym nazwiskiem.

Trawestując Poetę – wybierając pseudonim, wybieramy szaleństwo – Kot jako *patronus* z jednej strony zapowiada wiele wcieleń i „żyć", „swojość" dróg, którymi się chadza, z drugiej – koci, niepewny los.

Kontrakt z Decca, sukcesy, swingujący Londyn lat 60. miały swą ciemną stronę – katorżniczą robotę, samowolę menadżerów i to wszystko, co z wolnością nie miało wiele wspólnego – to firmy płytowe określały styl, to menadżer narzucał artystyczny wizerunek, zaś odreagowywanie tego zniewolenia za pomocą prochów, alkoholu i seksu nie mogło pozostać bez wpływu na kondycję fizyczną najmłodszego z dzieci państwa Georgiou. Jakkolwiek absurdalnie to brzmi – mamy wszak połowę lat 60. XX w. – Stevens zapada na gruźlicę, spędza pół roku w szpitalu, później niemal przez rok stara się odzyskać siły, również psychiczne. Przeszacowanie życia, przyjaźnie zawiązane w czasie choroby, oscylowanie na granicy życia i śmierci sprawiają, że szuka nowego „ja", także w wymiarze muzycznym.

Kiedy po latach zostanie członkiem amerykańskiej Rock'n'Roll Hall of Fame, laudatorem będzie sam Art Garfunkel, a jeden z elementów przemówienia będą stanowić cytaty z dzieł Stevensa. Art wspomni czasy, gdy duet z Paulem Simonem rozpadał się, zaś na horyzoncie pojawił się ktoś, kto po drugiej stronie oceanu przejmie lutnię – w pewnym sensie tak było – choć za ocean docierały wcześniejsze albumy Stevensa, dopiero wydanie „*Tea for the Tillerman*" z singlem „*Wild World*" uczyniły go gwiazdą w Stanach, czyli gwiazdą *sensu stricto*, i pozwoliły dumnie nieść sztandar folk rocka.

Zanim jednak doszło do nagrania „*Tea for the Tillerman*", Stevens musiał trafić na Barry'ego Krosta, nowego agenta, który umożliwił mu spotkanie z Island Records, które w osobie Chrisa Blackwella obiecały mu „*chance to record [his songs] whenever and with whomever he liked, and more importantly to Cat, however he liked*" („możliwość nagrania (swoich piosenek) kiedykolwiek i z kimkolwiek oraz – co dla Cata ważniejsze – jakkolwiek by chciał"), a także nowym producentem – Paulem Samwellem-Smithem, wcześniej basistą Yardbirds. Już w 1970 r. zostaje podpisany układ z amerykańską A&M Records, a Stevens zaczyna prace nad albumem „*Mona Bone Jakon*" – nagrywanym z gitarzystą Alunem Daviesem. Davies pomoże mu wyjść poza obieg konfekcyjnego pitolenia i stanie się niemal równorzędnym partnerem – połączenie gitar akustycznych, dyskretnego basu czy djembe stworzyły nowego Stevensa. Między muzykami „zażarło" tak dalece, że jeszcze po latach ich przyjaźń wykraczała daleko poza relacje zawodowe.

Pierwszym singlem na „*Mona Bone Jakon*" była „*Lady D'Arbanville*", piosenka o amerykańskiej modelce i aktorce, byłej dziewczynie Stevensa. *Song* brzmiał olśniewająco, bliżej mu było do madrygałowych pieśni Simona i Garfunkela, zdaniem „Rolling Stone" Stevens tworzył coś ↦

↦ „*across the board, across radio formats*" – zmieniając wizję muzyki, jaką należy puszczać w radiu.

Jednak „*Mona Bone Jakon*" było zaledwie przystawką przed „*Tea for the Tillerman*" – arcydziełem, które rozbiło bank – pełnym znakomitych melodii, intrygujących historii, tekstów dalekich od popowej łatwości, subtelnych analiz ulotności uczuć, słowem: trafiło w swój czas. Największym hitem był „*Wild World*", za ciosem poszły „*Hard-Headed Woman*" i „*Father and Son*", w którym Stevens, używając barytonu i tenoru, oddał walkę/dialog/miłość między pokoleniami. Tuż po zamęcie roku 1968, w dobie przedłużającego się kryzysu wietnamskiego, na tle politycznego wiru „Ojciec i syn" stawali się czymś więcej niż tylko piosenką. Stevens zdołał też wypracować rozpoznawalne brzmienie – w 1971 r. wydał „*Teaser and the Firecat*", opromieniony sukcesami „*Peace Train*", „*Morning Has Broken*" oraz „*Moonshadow*". Później nadchodzi czas concept albumów: „*Catch Bull at Four*", „*Foreigner*" i „*Buddha and the Chocolate Box*", będących dowodem nie tylko rozwoju muzycznego, ale i duchowych poszukiwań.

Duchy

Ostatnim albumem Cata Stevensa jest „*Back to Earth*". Ostatnim, bo Stevensowi po raz drugi udało się oszukać śmierć. W 1976 r., nurkując przy plażach Malibu, niemal utonął, zaś dramatyczne doznanie nałożyło się na szereg, jak to ujął, znaków, które zasugerowały mu porzucenie dawnego życia.

Jakiś czas wcześniej otrzymał w prezencie od brata Davida egzemplarz Koranu, który czytał pobieżnie, lecz z narastającym zainteresowaniem. Szansę na wyjście z życiowego impasu dawało zagłębienie się w aspekty duchowe – zresztą, w czasach *swinging sixties* i *glittering seventies* wręcz do dobrego tonu należało poszukiwanie sensu istnienia poza obszarem filozofii zachodniej – przywołajmy tu chociażby Beatlesów czy Beach Boys pobierających nauki medytacji transcendentalnej u Maharishiego Mahesha Yogi, Carlosa Santanę związanego z Guru Sri Chinmoy czy Pete'a Townshenda pozostającego pod wpływem Meher Baby. W pewnym sensie podobny impuls kazał szukać Jimmy'emu Page'owi inspiracji w satanistycznym bełkocie Aleistera Crowleya, ale wszystkich przykrył rondem swego kapelusza Bob Dylan, który zwiedził bodaj wszystkie zaświaty w trójkącie judaizm/chrześcijaństwo/ /agnostycyzm.

W tym zagubieniu odpowiedzią zdawał się być islam – niepodlegający herezjom, tworzący świat wspólnoty, która narzucała rodzaj wspólnej pamięci, wrażliwości, solidarności, także finansowej. W pewnym sensie ten pęd ku znajdowaniu własnych korzeni duchowych dotyczył nie tylko muzyki. Wszak Cassius Clay, pogromca naszego Zbigniewa Pietrzykowskiego, który pod wpływem Malcolma X zmieni swe wyznanie i imię, już jako Muhammad Ali będzie starał się promować islam jako podstawę „czarnej dumy", w której *umma* jest dla wierzących oparciem, ostoją, odpowiedzią.

Niemodna delikatność

Stevens zatem od 1977 r. będzie znany światu jako Yusuf Islam – oba elementy są tu znaczące. Nazwisko w oczywisty sposób stanowi autodefinicję artysty, imię symbolicznie odnosi się do biblijnego Józefa, syna Jakuba i Racheli, który zostaje sprzedany przez swych braci w niewolę, by później wrócić w chwale, wybaczając swym ciemiężycielom. Niewolą jest dla Stevensa show-biznes, wyzwoleniem – oddanie się Allahowi. Stevens zejdzie ze scen, studia, porzuci instrumenty i stanie się prawowiernym muzułmaninem.

Kiedy we wrześniu 1979 r. założył rodzinę z Fawzią Ali, zamieszkał w Londynie, wychowując dzieci i pieczołowicie chroniąc swoją prywatność, zdawało się, że odszedł na stałe. Jednak natura ciągnie do lasu nie tylko wilki. Na początku lat 90. zaczął Yusuf wydawać albumy „czytane", łączące lekturę Koranu z komentarzami, a także z dyskretnym podkładem muzycznym. Rosło jego zaangażowanie w fundacje charytatywne, wspieranie inicjatyw edukacyjnych, pokojowych, ekumenicznych.

Stworzenie własnej fundacji Small Kindness wymusiło na nim głębsze wejście w związki ze światem Zachodu – z czasem pojawiły się też kolejne piosenki, duety, wreszcie całe albumy. „Yusuf" zdecydował się grać piosenki z czasów „Stevensa", wcześniej jednak zdarzały się sytuacje, które co chwila stawiały jego postać w świetle podejrzenia. Tak było w 1989 r., kiedy (jako muzułmanina-celebrytę) odpytano go na intencję fatwy nałożonej na Salmana Rushdiego. Tak było po zamachach 11 września. I na dobrą sprawę zawsze znajdzie się kolejna wypowiedź, która stanowić będzie jeśli nie kamień, to przynajmniej kamyczek obrazy.

W pewnym sensie Stevens stał się ofiarą zjawiska „mów, co chcesz – my i tak wiemy swoje", dlatego, mimo iż niekiedy fetowany jako „budowniczy mostów miedzy światem Zachodu a islamem", brytyjscy dziennikarze, funkcjonariusze amerykańskiej Homeland Security, agenci służb specjalnych Izraela czy działacze południowoafrykańskich organizacji LGTB zawsze mają w jego sprawie własne zdanie – i nie chodzi tylko o to, że nazwisko Yusuf Islam znajduje się na tej czy innej liście *persona non grata* bądź że oskarży się go o wspieranie Hamasu. *Casus* tego artysty to fenomen nie tyle artystyczny, co asumpt do rozważań na temat religii w naszych dziwnych czasach, do rozważań, czy prawowiernemu muzułmaninowi wolno mieć własne zdanie w kwestii bluźnierstwa, polityki Izraela czy praw gejów. Zapewne też niewielu artystów (i to chyba nie paranoja) może liczyć na tak uważne zainteresowanie Echelonu czy co tam nowszego wymyślono na niwie inwigilacji i białego wywiadu.

Ale to wszystko tylko piana – treścią działań Stevensa-Yusufa jest muzyka, której czas się nie ima, jest kilkanaście piosenek, które na zawsze zostaną, bo nie tyle miały swój czas, co ich czas przypisany jest wieczności, dlatego każde pokolenie może wrócić do tamtych dźwięków, słów, drżenia głosu, nieznanej i niemodnej dziś delikatności, do niepewności, do pytań, które Stevens wówczas sobie (i nam) zadawał tym chłopięco-męskim głosem.

I jest wielka nauka w historii wszystkich jego kocich inkarnacji – utalentowany debiutant, obiecująca gwiazdka, która tuż po 18. urodzinach stwierdza, że bycie jucznym osłem jej nie wystarcza, jest samozatrata, gruźlica, kruchość, odseparowanie, półtora roku cierpienia, nieludzkie wręcz przeobrażenie, niewynikające z doraźnej mody czy nadmiaru wolnego czasu.

A później Stevens zszedł z tej metaforycznej czarodziejskiej góry niczym Zaratustra, niosąc słowa nowe i ważkie, przemyślenia głębsze, których treścią była perspektywa już nie tyle metafizyczna, co eschatologiczna, w którym miejsce dla Boga nie mieściło się w rockandrollowym „*Oh my God!*", lecz w dostrzeżeniu kruchości naszego istnienia.

Bo czy nie jest niezwykłe to, że inaczej w naszych uszach brzmi perspektywa przemijalności, gdy wieszczą ją głosy młode, a inaczej, gdy o przemijaniu mówią starcy, że bardziej przejmująco brzmią proste słowa młodzianków niźli nawet najmądrzejsze jeremiady starców? Czy nie jest niezwykłe to, że głębiej zapadają głosy Keatsa, Rimbauda czy dwudziestokilkuletniego Czesława Miłosza, gdy zadawał pytanie: „Miłości moja, gdzież są, dokąd idą / Błysk ręki, linia biegu, szelest grud"? ©

ROBERT KASPRZYCKI

Lament po żonkilu

BARTEK DOBROCH

Miała jeden z najmocniejszych, najbardziej charakterystycznych głosów ostatniej dekady XX wieku. Ale jednym z jej ulubionych dźwięków była cisza.

JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA GAZETA

Dolores O'Riordan i zespół The Cranberries podczas koncertu w Lublinie, czerwiec 2016 r.

Odeszła w poniedziałek, który kultura masowa zwykła uznawać za *Blue Monday*, najbardziej depresyjny dzień w roku. Przyczyny śmierci 46-letniej Dolores O'Riordan nie są znane. Wiadomo, że martwą wokalistkę znalazła sprzątaczka, przypadkowo wchodząc do pokoju londyńskiego hotelu. Policja podała, że śmierć nie nastąpiła z przyczyn naturalnych oraz że nie znaleziono śladów osób trzecich, dlatego nie można wykluczyć samobójstwa.

Z kim nas pomylono

Stało się to w dniu jej planowanej wizyty w londyńskim studiu, gdzie miała zarejestrować wokal do przeróbki „*Zombie*" w wykonaniu zespołu Bad Wolves.

„*Zombie*", szlagier grupy The Cranberries, w której w 1990 r. zaczęła grać i śpiewać O'Riordan, to *protest song* napisany przez nią w reakcji na śmierć dwóch chłopców w zamachu bombowym Irlandzkiej Armii Republikańskiej w angielskim Warrington. Był to drugi z zamachów przeprowadzonych przez IRA w 1993 r. w tym mieście. Bomby umieszczone w koszach na śmieci raniły ponad 50 osób, ale śmierć poniosły jedynie dzieci: trzyletni Jonathan Ball, który poszedł na spacer z opiekunką, by kupić kartkę na Dzień Matki, oraz dwunastoletni Tim Parry, zmarły kilka dni później w wyniku ciężkich obrażeń. „*Who are we mistaken*" („Z kim nas pomylono?") – pytała w ich imieniu O'Riordan.

Ale w tekście nawiązywała też do dramatu drugiej strony – irlandzkiej walki o niepodległość i powstania wielkanocnego w 1916 r. stłumionego przez Anglików. Z czasem zespołowi zarzucano spłycanie tematu konfliktu, ale mimo to „*Zombie*" jest najważniejszym obok „*Sunday Bloody Sunday*" grupy U2 utworem muzyki popularnej poświęconym temu, jak na całe Wyspy Brytyjskie oddziaływały trzy dekady konfliktu w Irlandii Północnej.

Do wydania tego utworu The Cranberries pisali muzykę, która w schyłkowych czasach grunge'u, popularności brudnych gitarowych brzmień, mogła uchodzić za oazę łagodności. Zyskiwali słuchaczy dzięki romantycznemu „*Linger*" czy onirycznemu „*Dreams*" z dziewczęcym, mocno zaakcentowanym wokalem O'Riordan. „*Zombie*", pierwszy singiel z wydanego w 1994 r. drugiego albumu „*No Need to Argue*", było najbardziej agresywnym z ich dotychczasowych utworów.

Nie było drugiej Troi

Teledysk autorstwa Samuela Bayera obejrzało do dziś na oficjalnym kanale zespołu ponad 670 mln użytkowników YouTube'a. Więcej nawet niż uważany za najważniejszy hymn pokolenia lat 80. i 90. „*Smells Like Teen Spirit*" Nirvany (z teledyskiem tego samego reżysera). Dziś, gdy nawet najgłupszy jednosezonowy przebój osiąga miliardy wyświetleń, liczba ta nie robi może wrażenia. Ale to utwór sprzed czasów internetu, gdy miarą popularności była raczej obecność w muzycznej jeszcze wówczas telewizji MTV, a opowiadająca o ważnych rzeczach piosenka miała szanse stać się światowym przebojem.

Lata 90. były czasem kultury teledysków, w której wiele grup przemawiało do odbiorców nie tylko przez muzykę i słowa, ale też obraz. W „*Zombie*" sceny z dziećmi bawiącymi się pośród żołnierzy pod bronią patrolujących ulice mieszały się ze scenami, w których wokalistka otoczona przez zastęp cherubinów stoi pod krzyżem, pokryta złotą farbą niczym figura św. Sebastiana.

Nie było to zresztą w twórczości Dolores jedyne odwołanie do trudnej historii zielonej wyspy, celtyckiego folkloru czy irlandzkiej poezji. W piosence o „Grobie Yeatsa" z tej samej płyty nawiązywała do nieszczęśliwej miłości poety do rewolucjonistki Maud Gonne i cytowała pierwszą strofę jego wiersza „Nie było drugiej Troi".

Nazwisko O'Riordan nie było powszechnie znane, wokalistka nigdy nie zrobiła solowej kariery, wydając zaledwie dwie płyty, które nie przebiły się tak, jak jej dokonania z zespołem The Cranberries. Jeżeli nawet komuś i nazwa zespołu mówi niewiele, to na pewno zna jej głos: jeden z najmocniejszych, najbardziej charakterystycznych – obok m.in. Björk – kobiecych wokali, które zdobyły słuchaczy w ostatniej dekadzie XX wieku.

Tak jak w „*Daffodil Lament*" („Lament żonkila") – być może najpiękniejszej spośród piosenek, które nigdy nie trafiły na listy przebojów – ten głos rozwijał się jak żonkil: piękny, pełny, choć wznoszący się na wiotkiej łodydze. Wystrzelał niemal do krzyku, jakby w pośpiechu zaznaczając swoje istnienie.

Cenił go Luciano Pavarotti, zapraszając O'Riordan do wspólnego wykonania „*Ave Maria*", zachwycał się nim Jan Paweł II, wobec którego wokalistka wyrażała wielki ↦

↦ szacunek i występowała także przed jego następcami.

Coś odeszło z mojego życia

Wychowanie w ultrakatolickiej Irlandii lat 70. i 80. nie poprowadziło jej do antyklerykalnego buntu, jak w przypadku innej irlandzkiej piosenkarki, Sinéad O'Connor. Dolores często podkreślała swoją wiarę, uważała się również za feministkę.

Matka, bardzo religijna Irlandka, nadała jej imię w hołdzie dla Matki Boskiej Bolesnej (Maria de los Dolores). Cierpienie doświadczało córkę od dziecka. Od ósmego roku życia przez cztery lata była molestowana seksualnie przez przyjaciela rodziny. Publicznie wyjawiła prawdę dopiero dwa lata po śmierci ojca w 2011 r., w wywiadzie dla magazynu „Life". Ojciec po wypadku motocyklowym od końca lat 60. cierpiał na niedowład, matka zajęta była pracą, by utrzymać męża i siedmioro dzieci w Limerick, gdzie mieszkali po przeprowadzce z rodzinnego Ballybricken. „Nieszczęście, gdy byłam mała / Nie obchodziło nas..." – wyznawała w „*Ode To My Family*".

Zdarzenia z dzieciństwa jednak w niej rezonowały. Dolores zmagała się z anoreksją, skrajnie niską samooceną, depresją. Miała za sobą próby samobójcze. Wydawało się, że ukojenie przyniosło jej macierzyństwo. W jednym z wywiadów zapytana o swoje ulubione dźwięki, mówiła: „Uwielbiam słyszany z oddali dźwięk placu zabaw i dzieci bawiących się na nim. A moim drugim ulubionym dźwiękiem jest kompletna cisza".

W ostatnich latach znów była kłębkiem problemów. Przeszła rozwód, ból pleców nie pozwalał jej grać na gitarze, a po ataku na stewardesę i policjanta wyszło na jaw, że cierpi na chorobę afektywną dwubiegunową. „Coś odeszło z mojego życia / I nie wiem, dokąd poszło / Ktoś sprawił, że wciąż się zmagam..." – śpiewała już lata temu w piosence „*Empty*".

Nigdy jednak nie wykrzyczała pustki tak jak Sinéad O'Connor, która o swojej walce z depresją i chorobą dwubiegunową opowiedziała w ubiegłym roku w poruszającym nagraniu. Zarówno muzycznie, jak i światopoglądowo te dwa głosy brzmiały w innych światach, ale śmierć Dolores przypomina też o zmaganiach Sinéad.

W ostatniej strofie wspomnianego wiersza Yeats pisał:

„Spotyka się je rzadko teraz, w naszej dobie, / Piękno takie wyniosłe, samotne, surowe. / Cóż mogła więc poradzić, będąc tylko sobą?" (przeł. Ludmiła Marjańska). ©

BARTEK DOBROCH

Géza Morcsányi jako Endre i Alexandra Borbély jako Mária w filmie „Dusza i ciało"

Obcowanie dusz, obcowanie ciał

ANITA PIOTROWSKA

Śnić razem ten sam sen – czy może być bardziej kiczowaty koncept określający duchowe porozumienie? A jednak film Ildikó Enyedi wystrzega się melodramatyzmu.

Obraz, który zwyciężył na ubiegłorocznym festiwalu w Berlinie, nie sięga kieszonkowego Freuda, by opowiedzieć o tym, jak dwoje obcych sobie ludzi spotkało się gdzieś w onirycznej chmurze, w symbolicznym lesie, a na dodatek w przebraniach dzikich zwierząt.

„Dusza i ciało" to film, w którym świat ludzki i zwierzęcy mają ze sobą niejedno sekretne połączenie. Endre i Mária pracują w budapeszteńskiej ubojni bydła – on jest dyrektorem do spraw ekonomicznych, ona właśnie została zatrudniona na stanowisku kontrolera jakości mięsa. Trudno wyobrazić sobie mniej romantyczną scenerię dla historii o miłości. Zwłaszcza że węgierska reżyserka z dokumentalną skrupulatnością rejestruje codzienną pracę rzeźni: rażenie prądem, podciąganie na hakach, oprawianie i ćwiartowanie. Czasem widać, jak podczas wstępnej obróbki w zwierzęcych ciałach tli się jeszcze życie. Enyedi nie epatuje jednak cierpieniem zwierząt, ani w obrazie, ani w dźwięku. Sam proces produkcyjny przedstawiony został chłodno i sterylnie – jak przystało na nowoczesną, „humanitarną" fabrykę mięsa. Zdjęcia kręcone były zresztą w autentycznej ubojni i, jak zaznaczają twórcy, żadne zwierzę nie zostało zabite specjalnie dla potrzeb filmu.

Jeśli obraz mocniej chwyta nas za serce, to tuż przed samym momentem uboju: kiedy kamera Máté Herbaiego zatrzymuje się na smutnym spojrzeniu krowy idącej na rzeź, na jej pożegnaniu ze światem. Zawiera się w tym cichy protest przeciw redukowaniu żywej, czującej istoty do jej cielesności, czy raczej mięsności. Ofiarami tej redukcji stają się też w filmie sami ludzie. Mężczyzn porównuje się tu do buhajów (ktoś nawet próbuje podreperować swoje libido, kradnąc preparaty przeznaczone dla byków), a kobiety traktowane są czasem niczym rozpłodowe jałówki (doświadcza tego np. za-

AURORA FILMS

trudniona przez ubojnię młoda psycholożka). Nie znajdziemy jednak u Enyedi wyłącznie ponurego naturalizmu. Posługując się minimalistycznymi środkami wyrazu, w tym również powściągliwym humorem, reżyserka „Duszy i ciała" szuka dróg wyjścia z prymitywnie rozumianej zwierzęcości.

Służą temu ucieleśnione na ekranie sny, w których dwoje mocno niedoskonałych bohaterów zamienia się w parę doskonale pięknych jeleni. Te subtelne „sceny miłosne" w komiczny sposób rozjeżdżają się na jawie z niezgrabnym tańcem godowym w wykonaniu Márii i Endrego. Okazuje się, że obcowanie dusz nie tak łatwo przełożyć na harmonijne obcowanie ciał. Zwłaszcza że bohaterowie cierpią na rozmaite ułomności – tak duszy, jak i ciała. Starzejący się Endre ma bezwładną rękę, Mária zaś posiada wiele cech osoby autystycznej i być może doświadczyła w dzieciństwie jakiejś straszliwej traumy. Grający parę zdziwaczałych samotników Alexandra Borbély (Europejska Nagroda Filmowa) i Géza Morcsányi (debiutujący na ekranie emerytowany wydawca i dramaturg) uprawiają bardzo ascetyczne aktorstwo, kojarzące się z kinem Akiego Kaurismäkiego. Podkreślają tym samym wewnętrzne zblokowanie swoich bohaterów. Enyedi wyłapuje w ich zachowaniach rozmaite ekscentryzmy, symetrycznie je ze sobą zestawia, przybliżając, to znów oddalając szansę na miłosny *happy end*.

Seks i sen, myśli i zmysły, dusza i ciało tworzą w filmie Enyedi jedyną w swoim rodzaju miksturę. Twórczyni, rocznik 1955, znana głównie z tytułów „Mój wiek XX" (z Dorotą Segdą) i „Szymon Mag", powraca do filmu fabularnego po prawie dwóch dekadach nieobecności. Żaden z jej pięciu poprzednich projektów filmowych nie znalazł dofinansowania na Węgrzech i aż chciałoby się podejrzewać, że właśnie dlatego Enyedi zdecydowała się wypreparować swoją opowieść z politycznego czy społecznego kontekstu na rzecz lekko surrealistycznej fantazji. Bo nawet jeśli stosunki panujące w ubojni pokazane zostały bez ogródek: oto za kulisami oficjalnej działalności odbywa się nielegalny proceder, a co za tym idzie, kwitnie także łapówkarstwo, to trudno doszukiwać się w „Duszy i ciele" jakiejś krytycznej metafory dzisiejszych Węgier.

Ciekawe pod tym względem byłoby zestawienie filmu Enyedi z „Pokotem" Agnieszki Holland – oba startowały na Berlinale w tym samym konkursie, oba zostały zrealizowane przez kobiety z tego samego pokolenia i z tej samej części Europy, oba też zabierają głos w coraz bardziej żywej dzisiaj „kwestii zwierzęcej". Węgierska reżyserka celuje jednak zupełnie gdzie indziej. Jej film dotyka przede wszystkim współczesnej samotności, opowiada o ludziach emocjonalnie opancerzonych, niezdolnych do intymnego kontaktu, uwięzionych w swoich duszach i ciałach. O ludziach tęskniących za bliskością, a zarazem panicznie się jej lękających. Wizualny język tej opowieści, inspirowany m.in. uliczną fotografią Saula Leitera czy hiperrealistycznym malarstwem Richarda Estesa, przenosi nas w rejony filmowej medytacji. Komunikuje się z widzem na poziomie tego, co nie do końca świadome, i dlatego wnika znacznie głębiej niż niejeden film zaangażowany. I pozostaje w nas o wiele dłużej. ©

DUSZA I CIAŁO *(Teströl és lélekröl) – reż. Ildikó Enyedi. Prod. Węgry 2017. Dystryb. Aurora Films. W kinach od 26 stycznia.*

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 w Radio Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika".

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM **www.radiokrakow.pl**

WARTO ZOBACZYĆ W TV [27 I – 2 II]

1. MOCK

Teatr TV, reż. Łukasz Palkowski, Polska 2018, TVP1, 29 I, 20.25

Twórca filmów „Bogowie" i „Najlepszy" jako pierwszy przenosi na mały ekran prozę Marka Krajewskiego. W scenerii Breslau z początków XX w. toczy się kryminalna intryga, którą próbuje rozwikłać Eberhard Mock, będący dopiero na początku policyjnej kariery. W roli tytułowej Szymon Warszawski.

2. Martwe wody

Komedia, reż. Bruno Dumont, Belgia/Francja/ /Niemcy 2016, Canal+, 29 I, 21.00, Canal+ 1, 29 I, 22.00

Juliette Binoche, Fabrice Luchini i Valeria Bruni Tedeschi w filmie jednego z najciekawszych twórców współczesnego kina europejskiego dostali bardzo ryzykowne zadanie. Opowieść o francuskich arystokratach sprzed stulecia to połączenie społecznej satyry, slapstickowego humoru i aktorskiej szarży. Dla jednych brawurowe, dla innych – nieznośne.

3. Altered Carbon

Serial science fiction, reż. zbiorowa, USA 2018, Netflix, od 2 II

Popularny serwis streamingowy wyprodukował kolejny serial, tym razem oparty na cyberpunkowej powieści Richarda K. Morgana wydanej w Polsce pod tytułem „Modyfikowany węgiel". Jesteśmy w świecie dalekiej przyszłości. Dzięki zdobyczom nowych technologii człowiekowi udało się przezwyciężyć śmierć, a jego ciało i świadomość nie są już tym, czym kiedyś.

4. Vincent i koniec świata

Komediodramat, reż. Christophe Van Rompaey, Francja/Belgia 2016, HBO, 1 II, 14.35, 2 II, 7.30

Bohaterem czarnej komedii belgijskiego reżysera jest nastolatek, który pod wpływem ekologiczno-katastroficznych fiksacji zatracił poczucie sensu życia. Kiedy do akcji wkracza jego zwariowana francuska ciotka, pojawia się szansa, że ich wspólna wyprawa do Paryża odwiedzie Vincenta od samobójczych myśli.

JAN

Klata: *Jest rok 1325*

Najpierw myślałem, że „Korona królów" to familijny serial o rodzinie dentystów, ale bliscy (jak to bliscy) wyprowadzili mnie z błędu. Mianowicie okazało się – aż tu nagle! – że „Korona królów" jest familijnym serialem o rodzinie „najwybitniejszego władcy w dziejach Polski – Kazimierza Wielkiego". Treść w cudzysłowie jest treścią promocyjną TVP, równie kontrowersyjną co cała TVP oraz zdecydowanie mniej kontrowersyjną niż sam prezes Jacek Kurski, którego oczkiem w głowie jest wzmiankowany tele-epos. „Od dwudziestego odcinka robi się fascynująco" – powiedział prezes, i trudno o stwierdzenie bardziej uczciwie obiecujące, zważywszy że dwudziestego odcinka jeszcze nie ma. Nie mogąc obejrzeć od razu dwudziestego odcinka, skazany byłem na odcinek pierwszy.

Na początku serialu leci w uszy starosłowiańska muzyka oraz dym, a przed dymem obraca się szczodrze wyposażona korona. Dlaczego korona? Tego jestem w stanie się domyślić. Dlaczego wokal jest czysto damski? Bo Polska jest kobietą. Nie wiem tylko, dlaczego Polska nie śpiewa niczego konkretnego, tylko wokalizuje (co autorka chciała przez to powiedzieć?) *à la* „Warszawa" Davida Bowiego, tylko szybciej i wyżej, jakby Bowie galopował wzdłuż fosy, zarazem będąc białogłową grającą na wczesnośredniowiecznej wiolonczeli. No, ale jak serial, to serial, musi być odrobinę tajemniczo – w „Twin Peaks" też nie wszystko wiadomo od początku, no i nie było korony. Nabrzmiałą w znaczenia kropkę nad i na końcu muzyki stawia złowieszczo-obiecujący dźwięk dobywanego z pochwy Szczerbca. Podsumowując: czołówka „Korony królów" ryje beret.

W tyłówce jest z grubsza ta sama wokaliza Polski, tylko dłuższa i bez Szczerbca. Napisów występuje tak dużo, że trzeba się skupić, ale warto. Czcionka jest królewska, więc nawet takie postaci jak PAJDA, SŁUGA GAMOŃ, KMIEĆ/WIEŚNIAK (zdecydujcie się, na Swaroga!), KUNDZIA, GARNCARZ JÓZEF czy MNISZKA Z KLASZTORU W SĄCZU prezentują się zacnie i cieszą oko. W lekką konfuzję wprawia jedynie SYN MĘŻCZYZNY, no ale „Korona królów" jest jednak serialem doby *in vitro*, nawet jeśli nie podlega refundacji. Z racji wykonywanego zawodu staram się uważnie czytać napisy, więc pragnę nadmienić, że jeśli wierzyć akurat napisom końcowym (a czemu w życiu wierzyć, jeśli nie napisom końcowym), scenariusz pisała Ilona Łepkowska, a za konsultację scenariuszową odpowiada... Ilona Łepkowska – co jest może odrobinę schizofreniczne, ale niewątpliwie prawdziwe. Reżyserów jest dwóch i obydwaj obyli się bez ani jednego konsultanta, bo i co tu konsultować. ©

Lektor: *Poza szlakami*

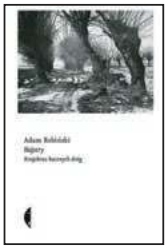

• *Adam Robiński*, **HAJSTRY. KRAJOBRAZ BOCZNYCH DRÓG**
Wydawnictwo Czarne,
Wołowiec 2017, ss. 224,
seria Sulina

Kolejne świadectwo odrodzenia prozy krajoznawczej. A właściwie narodzin jej nowej odmiany. Inspirowanej po trosze przez Anglosasów, ale odwołującej się też do własnej, zapomnianej tradycji.

Hajstra to bocian czarny, mieszkaniec lasów, widywany rzadziej od swojego białego kuzyna, choć ostatnio pojawia się nawet w parkach Warszawy. Jak zauważa autor, hajstra nie jest w Polsce ptakiem szczególnie rzadkim, ale zobaczenie go wymaga wiedzy, starań i cierpliwości. Trzeba wiedzieć, gdzie szukać. Ano właśnie. Cała książka Adama Robińskiego – książkowy debiut dziennikarza, rocznik 1982, stałego współpracownika naszego pisma – jest o tym, gdzie i jak szukać, by odkryć rzeczy nieoczekiwane, by naprawdę zobaczyć. „Być może najbliższy prawdy o podróżowaniu był Francuz Xavier de Maistre, który w dwóch książkach opisał wyprawy dookoła swojej sypialni" – pisze Robiński (nb. pierwsza z nich, „Podróż dookoła pokoju", owoc 42 dni spędzonych w 1794 r. w areszcie domowym w Turynie, ukazała się w „Literaturze na Świecie" w przekładzie Szymona Żuchowskiego). Robiński wychodzi wprawdzie z pokoju, ale jego cele nie są ani zbyt odległe, ani zbyt popularne wśród turystów. Mazowsze, Wisła, nasza jedyna niby-pustynia (Błędowska), Łuk Mużakowski na pograniczu polsko-niemieckim, pozostałości Kanału Mościckiego na pograniczu polsko-ukraińsko-białoruskim, resztki Puszczy Karpackiej, Kopaniec w Górach Izerskich. Wszędzie jakieś tajemnice, wszędzie też pozostawili ślady poprzednicy naszego podróżnika. Bo pokazując nam swoją Polskę, Robiński składa równocześnie hołd tym, którzy nauczyli go ją odnajdywać. Są wśród nich geograf Wacław Nałkowski, ojciec Zofii; pisarz Igor Newerly; dziennikarz Wojciech Giełżyński, autor „Vistuliady"; Aleksandra Wachniewska, malarka drzew. A także Jadwiga Czachowska, której książka została dedykowana – babcia autora, znakomita znawczyni literatury i bibliografka. Odnalezienie w jej bibliotece „Przewodnika po Puszczy Kampinoskiej" Lechosława Herza dało początek znajomości Robińskiego z tym „dinozaurem krajoznawstwa"... „Droga 816" Michała Książka, „Dwanaście srok za ogon" Stanisława Łubieńskiego, proza Michała Cichego, teraz debiut Adama Robińskiego... Różni je sporo: autorski zamysł, temat przewodni, indywidualny styl. Łączy jedno – wszystkie są wspaniałą lekcją uważności, portretem świata widzianego poprzez szczegół, odkryciem na nowo rzeczywistości niezwykłej, która wydaje nam się tak zwyczajna, że w ogóle przestaliśmy zwracać na nią uwagę. Przypominają, że Polska nie jest tylko nudnym płaskim talerzem, który ktoś położył między Karpatami i Sudetami a Bałtykiem. I że każdy krajobraz jest wielowarstwowym zapisem domagającym się odczytania – przyrodniczym mikrokosmosem i zarazem kroniką aktywności naszych przodków. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Nasze robaki

Dwa tysiące. Tyle mniej więcej gatunków stawonogów (a większość z tego to owady) zjadają ludzie na całym świecie wedle szacunków ONZ-owskiej agendy FAO. Szczególnie w tropikach, gdzie przecież niejeden gatunek owada albo pająka można spokojnie nazwać „tłustym". My tu, panie, w cywilizowanej części świata robactwo tępimy azotoksem, zostawiając zamiłowanie do larw i chrząszczy podejrzanym moralnie poetom i hipsterskim szefom kuchni, jak Aleksander Baron (I jak się to skończyło? Nie ma już tej jaskini zmysłowych eksperymentów, jakim była stołeczna restauracja na Solcu...).

Może sobie Leśmian pisać w erotyku, że „wypełznął czerw spod ziemi zwilgotniałym pyskiem czynny", ale są to tylko chore rojenia, w dodatku antypolskie (czy to przypadek, iż wstrętny robal sponiewierał polskie dziewczę akurat o imieniu Jadwiga – nie sądzę). Mało tego, śmiał jeszcze podkopać fundamenty chrześcijańskiej Europy. Czerw bowiem, nasyciwszy swoje oralne fantazje, na pytanie dziewoi, czy jest Bóg na niebie, „zadarł pysk ku niebu i mackami wzruszył dwiema", by z nietzscheańskim chichotem ogłosić jego nieistnienie.

I tu się ten współplemieniec Sorosa przeliczył, bo nawet najbardziej lewacki entomolog nie zaprzeczy, iż co jak co, ale macki u czerwi nie występują. Wkrótce zaś powinniśmy zacząć się oswajać z morfologią owadów czy pająków, z tymi wszystkimi odnóżami, odwłokami i czułkami, Unia bowiem, na drodze do samozagłady, zamierza nas przymusić do jedzenia robali.

W każdym razie tyle można by wynieść z lektury tekstu na portalu „Russia Today". Trzeba przyznać tej kremlowskiej tubie propagandowej, że jest skrupulatna w przeczesywaniu nieskończonej liczby regulacji, wypowiedzi, dokumentów i tabel, przydatnych jako pretekst, by wykazać nieuchronny moralny krach brukselskiego projektu Gejropy. Zauważyła ostatnio wejście w życie rozporządzenia Parlamentu Europejskiego i Rady UE 2015/2283 w sprawie nowej żywności – które, jak widać z cyferek w nazwie, istnieje w przestrzeni prawnej od ponad dwóch lat. Jedyne, co jest nowego, to że obowiązuje w pełni dopiero od trzech tygodni. Ale chłopcy Putina sprytnie dostrzegli okazję i dali newsa pod tytułem: „Nie będzie deseru, dopóki nie zjesz świerszczy! Wskutek unijnego rozporządzenia do menu Europejczyków wkraczają owady".

W rzeczy samej, po trzech latach legislacyjnego ping ponga posłowie zgodzili się usprawnić procedury wpuszczania na rynek nowej żywności – czyli w eurożargonie takiej, która nie była w sposób intencjonalny i w znaczącym stopniu spożywana przez ludzi przed rokiem 1997. Mowa jest bardzo szczegółowo o żywności stworzonej z nanomateriałów i nowych kultur komórkowych (to np. sztuczne mięso, o czym niedawno traktowała nasza rubryczka), a przy okazji, obok tych cudów inżynierii, upraszcza się atestowanie żywności złożonej z „części zwierząt lub całych zwierząt, w tym owadów". W dokumencie, gdzie słowo „nowe" powtarza się ze sto razy, przewidziano osobną procedurę dopuszczania owadów, co do których można wykazać, iż w innych krajach stanowią tradycyjny i ugruntowany składnik diety. Im bardziej coś jest stare, tym chętniej uznamy to za nowe – zdają się twierdzić eurokraci. Czy ktokolwiek w ich szklanych pałacach czerpie ukradkową radość z takich paradoksów?

Krótko mówiąc, wielkie pluskwiaki z Chin, smażone skorpiony z Tajlandii i meksykańskie gąsienice znajdą szybszą drogę na nasze półki – ale obowiązku ich jedzenia nie będzie. Chyba że do głosu dojdą eksperci wskazujący, że odpowiednie gatunki robaków są świetnym sposobem na uzyskanie taniego białka dzięki ilości odpadów organicznych, jakie wyrzuca nasz marnotrawny system masowej dystrybucji. Ileż można produkować samego kompostu? – pytają i radzą, by tworzyć przemysłowe farmy staro-nowych owadów i larw.

Pies zatem z kulawą nogą, jeśli nie liczyć moskiewskich redaktorów, nie zwróciłby na to w Europie uwagi, gdyby nie wiecznie obrażeni na cały świat działacze slowfoodowi z Włoch, którym od razu się przypomniało, że od lat biją się o dopuszczenie na wspólny rynek robaczywego sera z Sardynii, zwanego *casu marzu*. Powstaje on przy współudziale larw widocznych w całej obrzydliwości po rozkrojeniu, ale ponoć smakuje niebiańsko. Stanowi atrakcję wciskaną turystom na wyspie jako pokątna przyjemność, podobnie jak nasza łącka śliwowica. Gdyby się stał legalny i miał wszystkie możliwe atesty, nagle by się okazał tylko taką sobie ciekawostką dla nielicznych. Ale kampania wyborcza we Włoszech trwa w najlepsze i argument, że dla Unii „nasze" robaki są gorsze od tajskich gąsienic, zawsze pomoże zdobyć trochę głosów. ©℗

Kto z góry deklaruje, że nie tknie w życiu chrząszcza czy polnego konika, niech mi odpowie: czy jada krewetki? Przecież z wyglądu krewetka jest równie „owadzia": ma skorupkę, różne odnóża i paskudne farfocle. Oto zabawny wariant bruschetty, który wymaga fasolki flażoletki, niegdyś popularnej, ale i dziś da się ją upolować w puszce. Uwielbiam jej rozkoszną nazwę. Na patelni podgrzewamy w trzech łyżkach oliwy przepołowiony ząbek czosnku. Kiedy zacznie się rumienić, wyjmujemy i dodajemy tuzin krewetek black tiger. Podlewamy niewielką ilością białego wina i dusimy parę minut na dużym ogniu, by odparować większość płynu. Odstawiamy z ognia i staramy się zdjąć skorupki z ogonów krewetek. Dorzucamy na tę samą patelnię 300 g odcedzonej fasolki flażoletki z puszki, szczyptę soli, odrobinę soku z cytryny i pieprz. Mieszamy i czekamy, aż wszystko nieco ostygnie. Osobno podpiekamy kromki białego chleba, które następnie nacieramy przepołowionymi ząbkami świeżego czosnku. Układamy na nich krewetki z fasolką, polewamy odrobiną oliwy.

SCHMITT FRANCK / AFP / EAST NEWS

Przy cerkwi pw. św. Archanioła Michała w Michałowie, lipiec 2017 r.

MUZEUM NAJMNIEJSZE

Pomysł był prosty: zapytać świadków historii o to, jak to jest – przyjechać w nowe miejsce, wejść do cudzego, opuszczonego domu i zacząć od nowa.

TEKST ADAM ROBIŃSKI ZDJĘCIA DAWID ZIELIŃSKI

Na pierwszym nagraniu jest 91-latek z Czarnego w Beskidzie Niskim. Do dziś pamięta wiele szczegółów z życia wsi. Ostatnią dużą mszę w cerkwi i to, że na dwa tygodnie przed Czarnem wojsko przyjechało do sąsiedniej wsi Długie, pół kilometra dalej. „Pięć rodzin tam mieszkało. Pewnego dnia był straszny szum, ruch, pobiegłem zobaczyć, co się dzieje, i zobaczyłem, że właśnie wysiedlają tę wioskę. Pomogłem im się ładować, musiałem nawet świnię zabić, bo nie było komu. Załadowali ją na transport i pojechali. Mi wojsko kazało iść do domu. I wtedy już wiedzieliśmy, że jeżeli oni, to i my" – odtwarzany z pliku dźwiękowego głos nie nosi śladów emocji.

Jest raczej sumienną relacją: „Lament, płacz, jak się w dwie godziny zapakować? Myśmy mieli dwa konie, to jeden do jednego wozu, drugi do drugiego. (...) Wieźli nas aż do Ścinawy przez Opole, Wrocław, Legnicę, bo w Brzegu Dolnym most na Odrze był zarwany. (...) W Ścinawie się rozładowaliśmy. Dali kilka sa-

mochodów państwowych, żebyśmy mogli cięższe urządzenia załadować. No i zawieźli nas do Chobieni, 17 km od Ścinawy. Tam pozostawili na placu, byśmy się rozlokowali. (...) Na drugi dzień trzeba się było meldować u sołtysa. I tam nam powiedzieli, że możemy sobie szukać mieszkań, gdzie chcemy".

Na drugim nagraniu – pani Maria, mieszkanka Michałowa, powiat polkowicki. „Było zebranie we wsi z wojskowymi. Usłyszeliśmy, że na drugi dzień będziemy wyjeżdżać. Jakieś wozy dawali z sąsiedniej wsi. Nie wiem, czy wszystkim, ale naszym tak. Wieźli do Grybowa, w Grybowie już na pociąg, przeważnie po dwie rodziny. Wtedy były te bydlęce wagony, nie osobowe (...) Nasz nowy dom to ani dachu, ani niczego. Spalona stodoła, spalone szopy. Drzwi powybijane, ani pieca, ani kuchni. (...) Ci, co przyjechali wcześniej, podostawali wszystko, i bydło, i sprzęty, i domy eleganckie, i meble. My u siebie na starym mieliśmy wszystko nowe, bo się niedawno pożeniliśmy. Wszystkiego nie zabraliśmy, bo myśleliśmy, że wrócimy. Szafy do sąsiedniej wsi zawieźliśmy. Jak się wróci, to będziemy mieli, mówiliśmy".

I jeszcze nagranie trzecie – mieszkanka Godkowa, powiat elbląski, rocznik 1934. „Mam 83 lata, zapominam, co było wczoraj, a to dokładnie pamiętam. Wziął mnie żołnierz pod paszki, posadził na wóz. Co mogliśmy, tośmy wzięli. Pamiętam obraz, żołnierz zdjął go ze ściany (...) i mówi: proszę pani, wieziemy was na Ziemie Odzyskane. Tam będziecie żyli. Tam będziecie mieli dom".

Detale są różne, ale historia ta sama. Zaczyna się gdzieś w południowo-wschodniej Polsce w 1947 r. wraz z rozpoczęciem wymierzonej w Ukraińców, Łemków i inne mniejszości etniczne akcji „Wisła". Kończy współcześnie, w Polsce zachodniej lub północno-wschodniej. Jest w niej trauma przesiedlenia i niepewność co do pozostania na nowym miejscu, którą kończą dopiero polsko-niemieckie traktaty o trwałości granic, pierwszy z 1970 r. i drugi, podpisany już przez premiera Tadeusza Mazowieckiego. Są wnioski o możliwość powrotu w rodzinne strony i uparte odmowy, są też niespodziewane, ale serdeczne wizyty dawnych niemieckich gospodarzy. Zarejestrowane głosy to wiekowi świadkowie wydarzeń sprzed 70 lat, których namówiono na wspomnienia. I choć nagrano je raptem kilka miesięcy temu, już są muzealnymi eksponatami.

Poniemiecki spadek

Muzeum Migracji działa od dwóch lat. Bez adresu pocztowego, choć ze stałą siedzibą. Jest nią stara przyczepa kempingowa z fabryki w Niewiadowie, rocznik 1986, model N126. Oznaczenie brzmi znajomo, bo produkowano je z myślą o małych fiatach. Ma niecałe cztery metry długości i dwa szerokości. Samo muzeum jest z kolei placówką wędrowną, czynną od wiosny do później jesieni, obsługiwaną przez grupę aktywistów z warszawskiego Towarzystwa Krajobraz.

– Wszyscy pracowaliśmy wcześniej w programie „Latający animatorzy kultury" – mówi Jan Mencwel, jeden z pomysłodawców projektu. – Jeździliśmy po całej Polsce z warsztatami dla młodzieży i odkrywaliśmy, że kiedy prowadzimy zajęcia wokół lokalnej tożsamości, to raczej bez większych problemów udaje się opowiadać historię żydowskich mieszkańców tych miejsc. Zwykle jest ona dostępna i od lat oswajana za sprawą różnych działań kulturalnych. Za to zupełnie nieobecne były relacje o niemieckiej przeszłości dziś polskich ziem i związanych z tą zmianą przesiedleniach.

Mencwel dodaje: – Kiedy jedzie się do jakiejś miejscowości na zachodzie kraju, to owszem, młodzież używa terminologii typu „poniemiecki dom", a na cmentarzu są obce nagrobki, ale nikt nie szuka w tym znaczeń. Teraz wreszcie chcieliśmy powiedzieć o tym problemie wprost, bez niedopowiedzeń. Odtworzyć historię miejsc, w których po wojnie nagle pojawia się człowiek wyrwany z kontekstu. W PRL-u dominowała narracja, że Ziemie Odzyskane to zawsze była Polska, że zawsze tu byliśmy. A potem zniknął PRL, wraz z nim propaganda o pionierach i krzewicielach polskości, ale w zamian nie pojawiło się nic innego.

Inspiracją był też projekt animatorki kultury, Doroty Borodaj, pochodzącej z napływowej rodziny z Dolnego Śląska. W jej rodzinnym miasteczku stał zrobiony z niemieckich nagrobków podest, coś na kształt sceny, na której od czasu do czasu ktoś występował. Wszyscy wiedzieli o nietypowym budulcu, ale nikt specjalnie się nim nie przejmował. Po latach Borodaj przyjechała do tej miejscowości już jako animatorka. Dzięki jej staraniom, mimo początkowych oporów, podest rozebrano i przerobiono na lapidarium.

– To nam pokazało, że choć pewne tematy wydają się nie do ruszenia, to jednak da się o tym rozmawiać. A na końcu okazuje się, że ludzie pozbywają się jakiegoś ciężaru, którego istnienia sobie nie uświadamiali – mówi Mencwel.

Pomysł na muzeum był prosty: zapytać żywych świadków historii o to, jak to jest przyjechać w zupełnie nowe miejsce, wejść do cudzego, opuszczonego domu, rozgościć się i zacząć nowe życie.

Z nazwą nie było problemu. „Muzeum Ziem Odzyskanych" wydawała się zbyt zabarwiona politycznie. A że Muzeum Migracji brzmi prawie jak samorządowe Muzeum Emigracji w Gdyni?

– Dzięki tej zbieżności mamy pewnie trochę więcej fanów na Facebooku – śmieje się Mencwel.

Pieniądze dała podobna, choć trochę większa placówka – Muzeum Historii Polski w ramach programu „Patriotyzm jutra". I to dwa razy.

– Nie jesteśmy ani edukatorami, bo nikogo nie uczymy, ani naukowcami, gdyż ten projekt nie daje żadnej obiektywnej wiedzy historycznej. Raczej zbieracze opowieści, mobilni kustosze. Może trochę reporterzy? – zastanawia się Agnieszka Pajączkowska, animatorka kultury i jedna z kilkorga stałych członków załogi muzeum.

Dlaczego przyczepa?

– Bo kojarzy się z mobilnością, z ruchem – wyjaśnia Mencwel. – Ta z Niewiadowa to fajny, jeszcze nieograny symbol z czasów PRL. Dobrze zaprojektowana, lekka, nieduża, a sporo się w środku mieści. W sam raz na salkę ekspozycyjną. Przyczepa to przecież przenośny dom, a więc świetna ilustracja życia tych ludzi, o których chcieliśmy mówić.

Znaleźli ją na Facebooku. Zaraz po otrzymaniu pierwszej dotacji zamieścili ogłoszenie, czego szukają. Za 300 zł swój mocno wyeksploatowany już egzemplarz odsprzedał im ojciec znajomej muzealniczki z POLIN. Zjeździł w niej pół Europy, ale od lat stała nieużywana. Żeby mogła zyskać drugie życie, trzeba było ją wyremontować. Wypruli całe wnętrze do tego stopnia, że została tylko goła skorupa z podłogą. Dorobili stolik, ściany obili sklejką, żeby łatwiej było wieszać fotografie, w oknie napisali „Muzeum". A potem ruszyli w trasę, zatrzymując się przy szkołach, placach zabaw, skwerach.

Stylowa meta

W pierwszym roku działalności odwiedzili pięć miejsc: Białą Piską na Mazurach, Lisewo Malborskie na Żuławach Wiślanych, Stepnicę na Pomorzu Zachodnim, Sokołowsko nieopodal Wałbrzycha i sam Wałbrzych. Scenariusz był zawsze ten sam: przyczepa zwykle na tydzień stawała w centralnym punkcie wsi. ↦

Przez ten czas aktywiści nagrywali wspomnienia mieszkańców, wypożyczali od nich eksponaty, stare zdjęcia, pamiątki rodzinne związane z przesiedleniami. Ktoś przyniósł starą popielniczkę, którą jego matka znalazła na stole zasiedlonego po wojnie domu. Ktoś inny porcelanową wazę. Przedmioty, tak jak ludzie, miały opowiadać konkretne historie. W ten sposób powstawała wystawa.

– W tym roku chcieliśmy mówić tylko o akcji „Wisła". Rok wcześniej uświadomiliśmy sobie, że jeśli weźmiemy pod uwagę wszystkie powojenne przesiedlenia, to przypadki związane z akcją „Wisła" są zupełnie inną, wyjątkową historią. Migracje z 1945 r. nie były zorganizowaną akcją przesiedleńczą, raczej indywidualnymi, czasem dobrowolnymi decyzjami warunkowanymi nową, powojenną rzeczywistością – mówi Mencwel. – Przekonaliśmy się, że ci, którzy przyjechali w ramach akcji „Wisła", mieli wręcz poczucie krzywdy względem tych, którzy znaleźli się w nowych miejscach wcześniej. Wszędzie to słyszeliśmy: „Oni zajęli lepsze domy. Kiedy przyjechaliśmy my, wszystko już było zajęte".

Jakby na potwierdzenie, jeszcze raz nagranie trzecie: „Rozwozili po dwie, po trzy rodziny. Nie było okien. A szuwary, Boże, jakie wysokie! Myszy, szczury! Nie ma co jeść. Ochotnicy, co pierwsi jechali po Niemcach, coś tam już mieli, ziemniaki sadzili. (...) Do gminy chodziliśmy po mąkę kukurydzianą. Mama smażyła placuszki i takeśmy na tym żyli. Dłuższy czas biedowaliśmy. Zanim się człowiek zaczepił, zanim coś zaorał, zanim wydali ziemię".

Schemat działania muzeum był taki sam jak przed rokiem. W niektórych miejscach wcześniej się zapowiedzieli, inne odwiedzali z zaskoczenia. Pęciszewo, niewielką wieś tuż przy granicy z obwodem kaliningradzkim, Pajączkowska znała ze swoich wcześniejszych projektów. Była tam parę lat temu z Wędrownym Zakładem Fotograficznym, zapamiętała je jako położoną na końcu świata wioskę zamieszkaną przez samych Ukraińców z akcji „Wisła". Teraz wróciła, zaparkowała w środku wsi, zaczęła rozmawiać z gospodarzami, a po tygodniu miała gotową ekspozycję. Ludzie przychodzili do przyczepy nie tylko po to, by mówić, ale i słuchać. Dla wielu z nich była to pierwsza w życiu okazja, by otworzyć się przed sąsiadami.

Podobnie w Lisewie Malborskim, gdzie stacjonowali dłużej, bo przez kilka tygodni, ich przyczepa stała się atrakcją turystyczną dla mieszkańców wsi. – Najbardziej stylową metą – mówi Michał Romanowski, nauczyciel z lisewskiej szkoły, który razem ze swoimi podopiecznymi włączył się w przygotowywanie wystawy. – Sama sytuacja była niesamowita. Gimnazjaliści z małej wsi z lekkim zdziwieniem mogli się przekonać, że skoro ludzie przybyli z Warszawy są żywo tą małą wsią i jej mieszkańcami zainteresowani, to coś w niej musi być. W szkole taka okazja wpuszczenia tlenu w postaci pełnej entuzjazmu perspektywy z zewnątrz jest bezcenna.

– Wystarczy wyczuć ten moment, gdy młodzi dojrzewają do buntu, gotowi krytykować wszystko i wszystkich w poszukiwaniu narzędzi do budowania własnej tożsamości – kontynuuje nauczyciel. – Młodzież nie jest skazana tylko na mity o żołnierzach wyklętych, może na przykład przyjrzeć się pogmatwanym losom polsko-niemieckiej społeczności przedwojennej żuławskiej wsi, albo odkryć, że społeczeństwo powojennej Polski wcale nie było podzielone na luminarzy komunistycznej władzy i walczących z nimi niezłomnych. Że było w nim też miejsce dla czyjejś babci, która skończywszy 14 lat rozpoczynała ciężki zasuw w PGR-ze, albo dla dziadka, który przeżył wojnę i nie widzi w niej niczego romantycznego i ekscytującego.

Dylemat spadochroniarza

Agnieszka Pajączkowska: – Ktoś mógłby nam zarzucić, że przyjeżdżamy na miejsce, dotykamy tematów, które są przedmiotem sporów, zbieramy budzące emocje historie, a potem wyjeżdżamy. Zostawiamy ludzi z tymi emocjami samym sobie. Ale nam nie chodzi o trwałą zmianę lokalną, a jedynie poruszenie trudnego tematu. Oczywiście, że boimy się sytuacji, w których nasze działania będą miały negatywne konsekwencje dla danej społeczności. Wśród animatorów kultury działających lokalnie od dawna da się zaobserwować obawę przed tzw. spadochroniarstwem. W naszym środowisku odbywa się wiele dyskusji na temat tego, co jest, a co nie jest unikaniem odpowiedzialności. Ale to chyba nierozstrzygalny dylemat.

Ilustracją jej słów może być sytuacja z tego roku, kiedy przy okazji wizyty muzeum w jednej z wsi władze gminy zorga-

Obok: Muzeum Migracji przed Kolibą Studencką Politechniki Warszawskiej na Przysłupie Caryńskim w Bieszczadach
Poniżej: Zwiedzający przy placu Dominikańskim, tuż przy przemyskim rynku, sierpień 2017 r.

nizowały w bibliotece zebranie dla mieszkańców. Przyszedł tłum: dużo ważnych osób, wójt, radni, w większości Polacy, ale i dwóch wiekowych już Ukraińców przesiedlonych w 1947 r. W powietrzu czuło się napięcie, które wzrosło, gdy ci ostatni rozpoczęli opowieść pełną pretensji do Polaków. Awantura wisiała w powietrzu. Z kolei w Przemyślu ktoś zajrzał do przyczepy tylko po to, by zagrozić, że jeśli natychmiast nie zwiną jej z rynku, to zostanie spalona.

– Na pewno ogromną siłą projektu jest to, że mamy możliwość spotkania ludzi w sytuacji jeden na jednego. Nasza przyczepa jest bardzo mała, w środku zmieszczą się może cztery osoby, nie więcej. W efekcie każda rozmowa to bardzo kameralna sytuacja – dodaje Pajączkowska.

Gdy lato zbliżało się do końca, Muzeum Migracji ruszyło w trasę ze stałą ekspozycją. Złożyły się na nią nagrania, zdjęcia i pamiątki podarowane placówce na dłużej. To znów były miejsca objęte przesiedleniami, ale tym razem takie, gdzie z wystawą można wyjść do większej liczby ludzi: wspomniany już Przemyśl, kilka lokalizacji przy szlakach Bieszczadzkiego Parku Narodowego, Sanok, dolnośląska Miedzianka, gdzie odbywał się festiwal reportażu, a także Berlin i Cottbus. Mencwel szacuje, że łącznie do przyczepy mogło zajrzeć nawet tysiąc osób. – W Niemczech witano nas bardzo miło, goście oglądali wystawę o akcji „Wisła" i komentowali, że to trochę jak z nimi. Mówili o podobnych przeżyciach niemieckich rodzin, odnosili te wspomnienia do siebie – mówi.

Rocznica bez fajerwerków

Mobilni kustosze na razie nie chcą mówić o planach na przyszły rok.

– Ta rozmowa jeszcze przed nami – wyjaśnia Pajączkowska. – Problem w tym, że cały projekt ma charakter dość improwizowany, zależny od naszych sytuacji życiowych. Wszyscy robimy dużo innych rzeczy, więc niestety nie możemy traktować muzeum priorytetowo. Podczas ostatniego przystanku na tegorocznej trasie, czyli festiwalu filmowego w niemieckim Cottbus, gdzie nas zaproszono, wpadliśmy za to na pomysł nakręcenia dokumentu o pracy muzeum. O nas i o ludziach, których w muzeum spotykamy. Chodzi o to, by wrócić w niektóre z odwiedzonych już miejsc i zrobić samym sobie „sprawdzian" z tego, co się wydarzyło. Ale to jeszcze odległa sprawa.

– Naturalnym odruchem byłoby przeniesienie ekspozycji na stałe do internetu. Wszyscy zwiedzający o to zresztą pytają – dodaje Mencwel. – Ale to mogłoby zupełnie zmienić charakter naszego działania. Musielibyśmy wszystkich rozmówców pytać o zgodę, wielu mogłoby odmówić podzielenia się swoją historią. Chcemy uszanować ten tymczasowy charakter przedsięwzięcia, on bardzo uwiarygadnia nasze działanie.

– Cokolwiek się stanie, na pewno dalej będziemy zajmować się wydarzeniami z lat 1945 i 1947. To ciągle biała historyczna plama – konkluduje Pajączkowska. – Połowa gości przyczepy na festiwalu w Miedziance nie miała pojęcia, czym była akcja „Wisła". Inni mówili, że przecież tych ludzi trzeba było przesiedlić, bo inaczej pozabijaliby sąsiadów. Liczyliśmy na to, że przy okazji 70. rocznicy akcji odbędzie się w Polsce jakaś głębsza dyskusja na ten temat, ale niestety nic spektakularnego się nie wydarzyło.

Na koniec nagranie czwarte, prosto z Legnicy: „U nas w rodzinie akcja »Wisła« się jeszcze nie skończyła. Syn ożenił się z lwowianką wyznania greckokatolickiego, córka wyszła za mąż za wnuka księdza greckokatolickiego. Ich dzieci mówią językiem przodków. Moi rodzice ciągle mówili, że to tylko na jakiś czas, do pięciu lat, że to się unormuje i tam wrócimy. (...). Czujemy się ludźmi drugiej kategorii. Nasz wnuczek poszedł do przedszkola we Wrocławiu, nie umiał ani słowa po polsku. Córka poszła do wychowawczyni i mówi, że on mówi mową łemkowską. Ona na to: proszę się nie martwić, my tu mamy różnych, angielskich i francuskich. Ale któregoś razu idzie z synem po schodach i słyszy: zobacz, to ten Łemek". ©

ADAM ROBIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:
Efekt Koguta

Nasze rozważania chcielibyśmy dziś zacząć od amatorsko zmontowanej wariacji znanego porzekadła, która brzmiałaby tak oto: „Pańskie oko konia chudzi". Ten dziwny czasownik przyszedł nam do głowy w związku z ostatnimi wydarzeniami na tzw. polskiej scenie politycznej. Ale nie tylko, solidnie bowiem się namyśliwszy, uznaliśmy, że słowo „tuczy" jest w polszczyźnie słowem zasadniczo teoretycznym, zwłaszcza gdy używamy go w charakterze paraboli.

Otóż, jak wszyscy tu ponuro siedzimy, powinniśmy zrobić teraz solidny rachunek sumienia i szczerze rzec, że życie upłynęło nam głównie na „chudzeniu" i dekonstrukcji (by nie rzec na dewastacjach) niźli na jakimkolwiek tuczeniu, konstruowaniu czy naprawianiu. Zważmy, każdy we własnym burym sosie, ileż razy rozebraliśmy jakiś mechanizm, i porównajmy natychmiast, ile razy udało nam się ów mechanizm odbudować. Oto prawda jest taka, że w tuczeniu jesteśmy słabi, w „chudzeniu" zaś znakomici. Gdyśmy już ustalili fundament, spróbujmy coś skonstruować.

Oto weźmy dziś oryginalnie na tapetę naszego Gospodarza i żywioły weń buzujące, czyli manie burzenia i dekonstruowania, ale i budowania i konstruowania. Wbrew opiniom krążącym, które na podstawie tzw. rekonstrukcji rządu stawiają tezy o marszu partii Gospodarza ku wyborcom myślącym centralnie, stawiamy kontrtezę, że mianowicie czyn ów miał inną etiologię, tzn. była to po prostu niejako odruchowa, a mimowolna dekonstrukcja. Rząd zbudowany przez Gospodarza na fali wielkiej wiktorii był idealnie naoliwionym mechanizmem, w którym zestaw myśli, poglądów, charakterów, urody, mody ubraniowej, postur i wykształcenia składał się na najspójniej zbudowany zespół ludzi w bolesnej historii formowania polskich reprezentacji. Nic tam nie zgrzytało ani nie piszczało, był to chirurgiczny inox, zwany popularnie nierdzewką. Wszyscy tam radośnie chorowali na echolalię, zarówno tzw. natychmiastową, jak i odroczoną, były to idealnie takie same moduły sylabizujące i skandujące to samo, reagujące identycznie na bodźce Gospodarza, czy jak kto woli: na trzask jego biczyska. Komu się wydawało, że jest inaczej, temu się zaledwie wydawało właśnie.

Złudzenie, że coś można by w tym rządzie poprawić, podmienić jakąś część na sprawniej działającą, było złudzeniem w ujęciu najczystszym. I co? Jesteśmy blisko mety. Oto Gospodarz to rozmontował, rozkręcił, poluzował, odkręcił, rozkalibrował mutry i mufy, nierdzewkę zastąpił rdzewką, co tam chciał, to podrutował, ale też poprzecinał kabelki, a do szpar, z których rzekomo ciągnęło, poupychał zwitki gazet bądź jakieś pożółkłe watki. Niby zdawało się wszystkim, że Gospodarz dekonstruuje wyłącznie opozycję, że tamże piłuje i tnie, ale odkryciem naszym jest spostrzeżenie, że nie tylko. Jeśli ktoś kręci nosem na nasze tu twierdzenia, niechże się puknie w głowę swą gipsową i spróbuje nam wytłumaczyć, skąd zatem wziął się – to też nasz patent – tzw. Efekt Koguta. W czasach rządu Szydło Efekt Koguta był nieznany.

Przeglądając nasze kalendarze i notesy, widzimy, że Gospodarz ilekroć trzasnął z bicza, zawsze osiągał swe cele. Czy w czasach sprzed demolki byłoby możliwe skorzystanie przez jego ludzi z okoliczności tajemnicy głosowania w parlamencie? Przeciw biczysku Gospodarza? Nigdy. Tę zmianę nazywamy właśnie Efektem Koguta. Biczysko nie jest już straszne, a jego trzasku da się – w Efekcie Koguta – nie usłyszeć. Stąd nasze filologiczne brawury na temat porzekadła, stąd wzięło nam się owo zdanie brzmiące „Pańskie oko konia chudzi". Bo takoż mniemamy, że chudzi. Gospodarz po latach uprawiania efektywnego chowu klatkowego zaczął nieoczekiwanie ekologizować. Przerzucił się na z gruntu ryzykowną i nieopłacalną metodę ściółkowania, to się musi skończyć kolejnym etapem, czyli hodowlą w warunkach wolnego wybiegu, a to oznacza problemy. Wielkie, inne i nowe. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

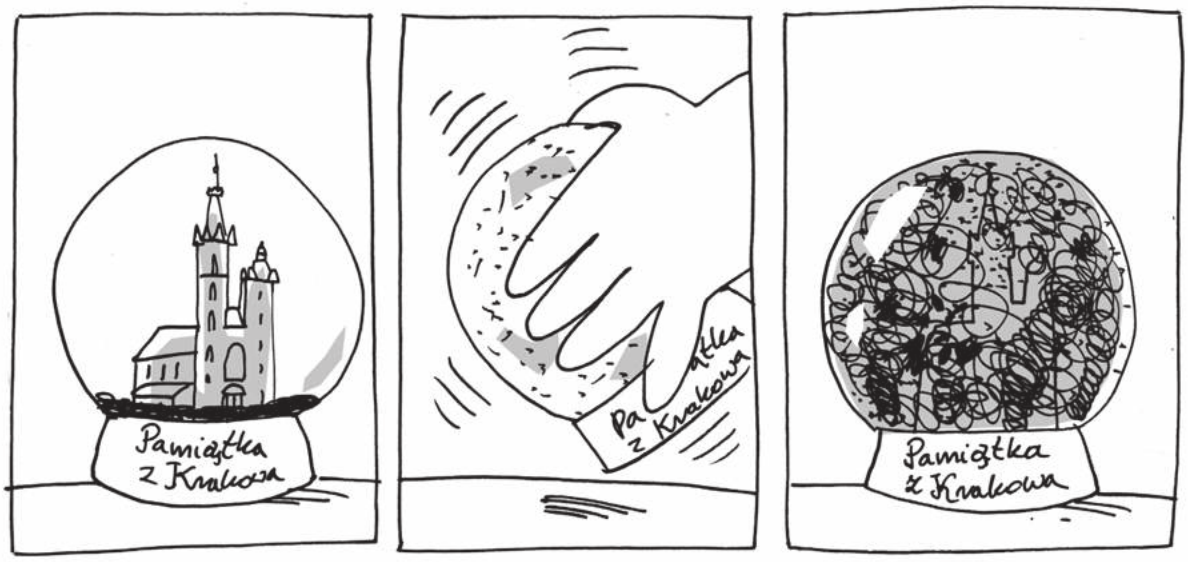

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KUP PRENUMERATĘ PAPIEROWEGO WYDANIA „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” NA 2018 ROK

i otrzymaj **PREZENT NA POWITANIE – bestsellerową książkę Szymona Hołowni „Instrukcja obsługi solniczki”*** – o wartości 22,90!

Ostatnia szansa, by otrzymać książkę!

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ:

Prenumerata	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	299 zł	349 zł
Półroczna (26 numerów)	189 zł	209 zł
Kwartalna (13 numerów)	99 zł	109 zł

Prenumeratę można zamówić przez:
- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
  Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
  Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

PRENUMERATĘ ZAGRANICZNĄ można opłacić poprzez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Joanna Mazur-Polańska pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

UWAGA! Oferta ważna do 31 stycznia 2018 r., po tym terminie nie ma gwarancji otrzymania książki.

*„Instrukcja obsługi solniczki”, wydanie papierowe, cena rynkowa 22,90 zł – wydanie pierwsze, WAM 2017.
Wysyłka książek będzie realizowana w styczniu 2018 r. bez dodatkowych opłat.

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALES MANAGO marketing automation

WAM

TYGODNIK POWSZECHNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

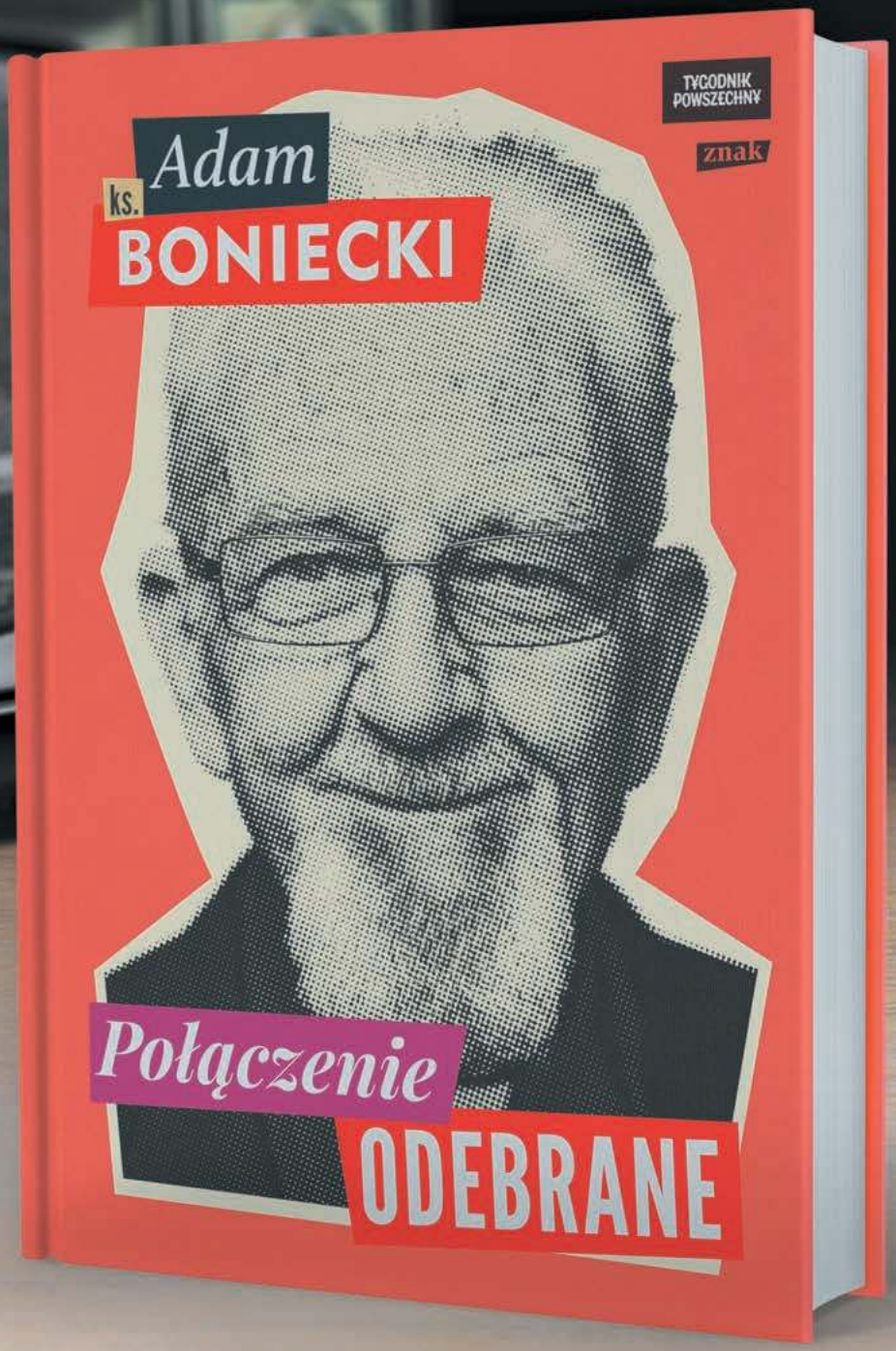

Najważniejsze teksty ks. Bonieckiego

Szukaj w salonach empik i na empik.com

znak